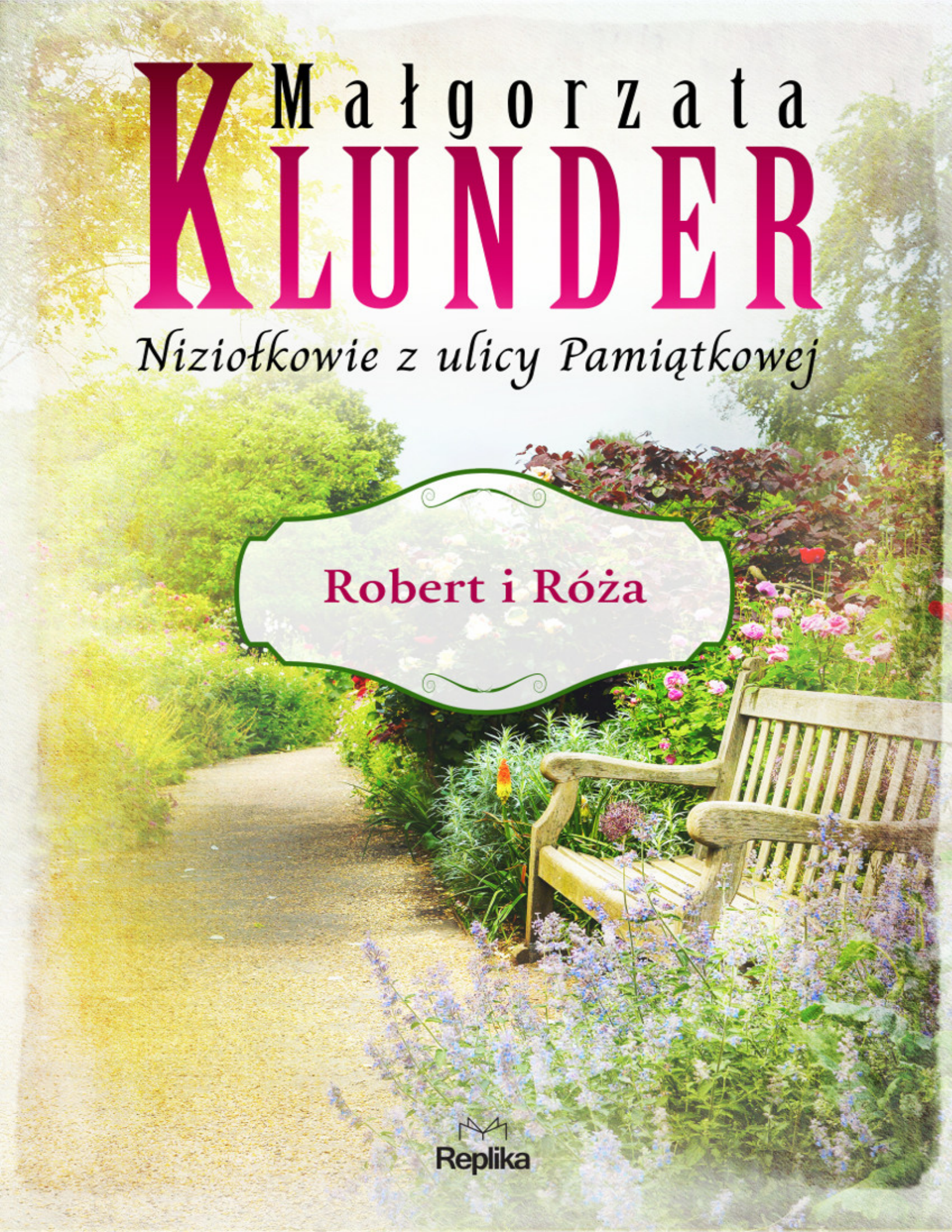
Małgorzata
KLUNDER
Niziołkowie z ulicy Pamiątkowej
Robert i Róża
Replika

Robert i Róża

Małgorzata

KLUNDER

Niziołkowie z ulicy Pamiątkowej

Robert i Róża

Replika

Copyright © Małgorzata Klunder
Copyright © Wydawnictwo Replika, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Monika Orłowska

Projekt okładki
Miokołaj Piotrowicz

Skład i łamanie
Maciej Martin

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2020

eISBN 978-83-66481-19-0

Wydawnictwo Replika
ul. Szarotkowa 134, 60-175 Poznań
tel./faks 61 868 25 37
replika@replika.eu

Pamięci Pani Marii Pruszkowskiej,
autorki Przyślę Panu list i klucz*,*
z zapewnieniem,
że to życie, a nie literatura, jest
największym w świecie plagiatem.

Drzewo genealogiczne rodziny Niziołków

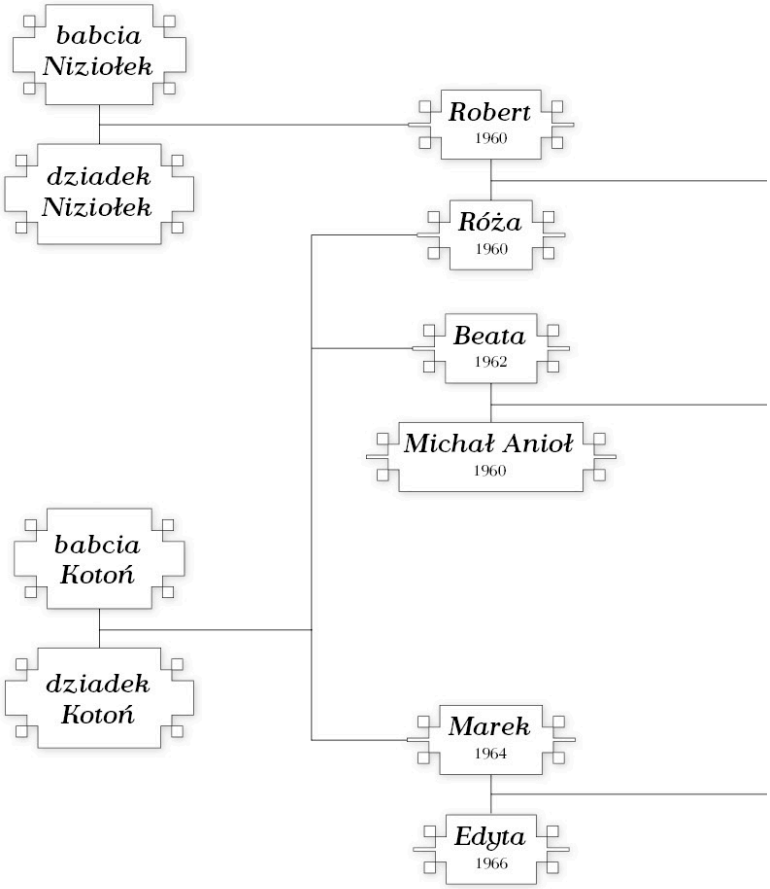

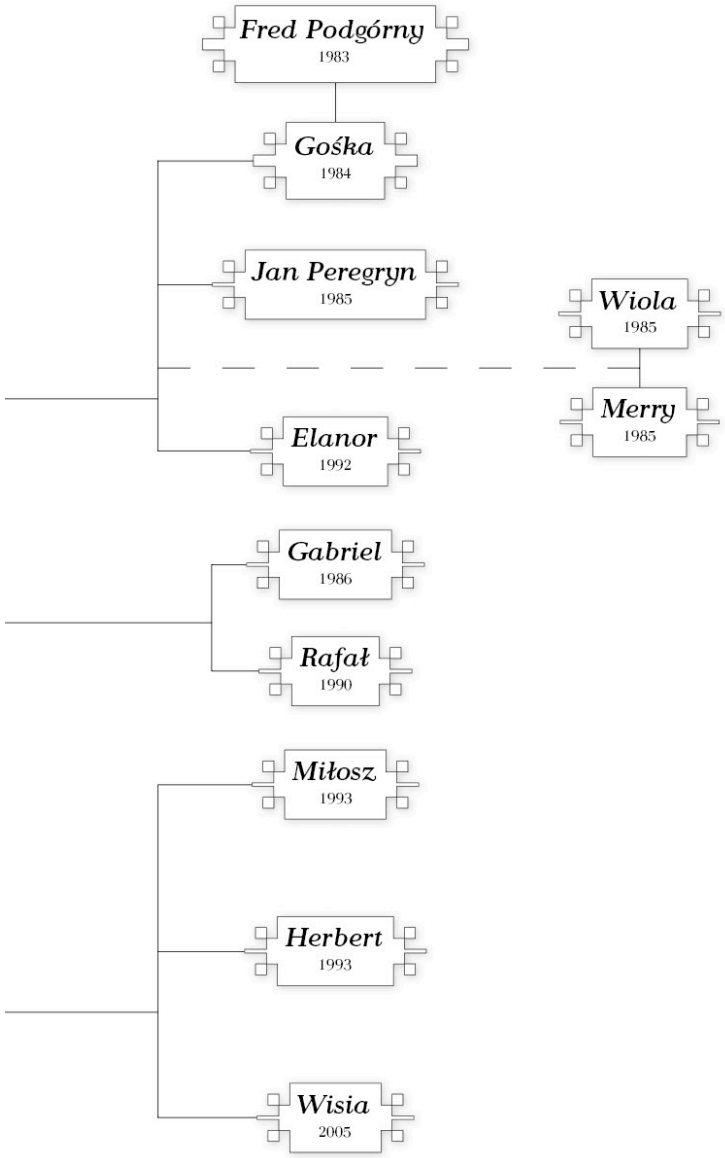
Fred Podgórny
1983
Gośka
1984
Jan Peregryn
1985
Wiola
1985
Merry
1985
Elanor
1992
Gabriel
1986
Rafał
1990
Miłosz
1993
Herbert
1993
Wisia
2005

Rozdział I

Tata

To nieprawda, że róża pod innym imieniem także by pachniała. W przypadku taty wszystko zaczęło się od nazwiska.

Tata nazywa się Niziołek, Robert Niziołek. Imię jak imię, niezłe, ale nazwisko przesądziło o jego całym życiu.

Tak się bowiem złożyło, że kiedy mały Robuś miał ze trzy latka, babci Niziołkowej wpadło w ręce świeżutkie tłumaczenie *Władcy Pierścieni*. Siedziała sobie zatem w cieple domowych pieleszy, jak porządnemu Niziołkowi wypadało, i czytała ze smakiem bodajże *Powrót króla* – tego już ani babcia, ani tym bardziej tata nie pamiętają.

– Co robisz? – zainteresował się Robuś, porzucając budowę wieży z klocków.

– Czytam książkę – krótko i zwięźle powiedziała babcia, będąc w tym momencie duchem na Gorgoroth, a nie na Poznańskiej 38.

– A o czym ta książka? – uparcie dopytywał się potomek.

– O dwóch dzielnych hobbitach – odpowiedziała niezbyt ściśle babcia, mając wielką ochotę spławić Robusia, ale nie pozwoliło jej na to nieczyste sumienie, że ona tu sobie, prawda, czyta jakieś bzdury, zamiast opiekować się dzieckiem i pilnować, żeby klocków do buzi nie wpychało, szczególnie tych, które uprzednio wylizał pies Bari. Nie przewidziała, biedaczka, co zaraz nastąpi.

– A co to jest hobbitach? – skrupulatnie powtórzył Robuś.

Nauczycielskie nawyki nie pozwoliły babci tak tego zostawić.

– Kim są hobbici – poprawiła mechanicznie, nie odrywając oczu od kartki.

– A kim są hobbici? – grzecznie powtórzył mały tata.

Chyba już wiecie, do czego nieuchronnie zmierzał ten dialog.

– Hobbici to tacy mali ludzie. Niziołki – odpowiedziała babcia i w tym momencie zorientowała się, że otworzyła puszkę Pandory.

– Czytasz o nas?! – zachłysnął się Robuś. – Opowiedz!

No i babcia musiała zacząć opowiadać. Opowieści rozłożyły się na wiele, wiele wieczorów, a mały tata po raz dziesiąty i dwudziesty potrafił zamawiać sobie:

– A opowiedz o tym, jak Samwise Mężny walczył z wielkim pająkiem! – Po czym z kwikiem zakrywał się z głową pierzynką. Albo:

– A opowiedz jak Frodo czołgał się pod górę i nie mieli co pić, i nie mieli co jeść, i byli strasznie zmęczeni!

Babcia opowiadała. Chyba trochę cenzurowała, a trochę konfabulowała, bo tata wspominał, że kiedy wreszcie po raz pierwszy samodzielnie brnął przez *Wyprawę*, bo tak zatytułowana była w tamtych czasach *Drużyna Pierścienia*, prawdziwym szokiem było dla niego, że Boromir jest taki zły.

Do legend rodzinnych przeszło, że Robercik umiał czytać, mając zaledwie sześć lat. W tak młodym wieku mimo wszystko nie był to *Władca*, dziadkowie zapewne podsuwali mu coś z repertuaru *Poczytaj mi mamo*. Cha, cha, poczytaj mi mamo! Babcia była doskonałym, doświadczonym pedagogiem: tak zmanipulowała Robusia, że ten uznał samodzielne czytanie za dumę, honor i oznakę dorosłości. A babcia mogła spokojnie oddawać się własnej namiętności, jaką były krwiste kryminały z jamnikiem i kluczykiem.

Tata, indagowany przez nas o swoje najwcześniejsze lektury, odpowiadał na odczepnego, że nie pamięta. No pewnie, że nie pamięta. *Władca* rzucił mu się na mózg tak skutecznie, że na zawsze ukształtował jego prywatną gradację literatury: najpierw Tolkien, potem długo, długo nic, potem Sienkiewicz, a potem cała reszta. I tak zresztą Robert czytał na okrągło co się dało, a robił to całym ciałem, całą duszą i całym sercem. W odróżnieniu od taty babcia pamiętała doskonale, jak znalazła skulonego w szafie potomka, który trzymając w trzęsącej się ręce latarkę, czytał potworny kryminał

Śmierć i Kowalski. Sama po latach wyciągnęłam to babci z półki i byłam tą staroświecką ramotą wstrząśnięta – jacyś zboczeńcy zwabiali swoje ofiary do garażu, truli, a ciała betonowali w kanale. Makabra. Do szafy też nieraz właziłam – cudownej, wspaniałej, wielkiej brązowej szafy z rzeźbionymi listkami na drzwiach – tylko że ja czytałam w niej, co nietrudno zgadnąć, *Opowieści z Narnii*.

W każdym razie babcia musiała zrewidować swoje poglądy, które dałoby się streścić w ten sposób, że kiedy dziecko fizycznie potrafi coś przeczytać, to i duchowo sprosta tej lekturze. W przypadku piekielnego Robusia recepta taka zawiodła. Kryminały wycofano do tylnego rzędu, a tacie podsunięto *Hobbita*, właśnie kupionego w antykwariacie na Starym Rynku. Tata rzucił się na niego niezwykle łapczywie, przeleciał przez pierwsze kilkanaście stron, zwolnił, po czym powiedział z zażenowaniem:

– Mamusiu, ale to jest dla dzieci, o krasnoludkach!

Miał rację, bo w roku 1960, kiedy pani Maria

Skibniewska dopiero zaczynała swoją przygodę z Tolkienem, nie wyczuła proporcji i nie czarujmy się, mocno Bilba i spółkę zinfantylizowała. No i faktycznie przetłumaczyła *dwarves* jako „krasnoludki" („krasnoludki umieją dźwigać bardzo ciężkie brzemiona"). „Krasnoludy" pojawiły się dopiero rok później we *Władcy*.

Mam w rękach ten egzemplarz, bo choć „dla dzieci", ale wszak na wieki wpisany został do kanonu tatusiowych ksiąg świętych i pyszni się na półce na honorowym miejscu. Oprócz „krasnoludków" jest tam karłowaty Smaug i skrzydlate elfy na ślicznych skądinąd rysunkach Jana Młodożeńca. Zaryzykowałabym, że orszak krasnoludów z Bilbem to czysta antycypacja filmu!

Ale babcia wkurzyła się na smarkacza, że nie docenia jej wysiłków, i potem, po latach długo kazała się prosić, zanim przekazała Robertowi *Hobbita* w posagu. Na razie zaś podsunęła mu Curwooda, żeby sprawdził, skąd wzięło się imię wilczastego kundla, rozpaskudzonego przez wszystkich domowników. Rozpaskudzenie przejawiało się tym, że Bari byle czego nie jadł, co prawda bez

przesady, nie był tak paskudny jak Tjuzdejek z *Puc, Bursztyn i goście*, który tolerował tylko siekaną cielęcą wątróbkę.

Ano właśnie, jedną z pierwszych tatusinych książek musiały być właśnie opowiadania Grabowskiego, bo w rodzinnych wspomnieniach przetrwała właśnie taka anegdota:

– Zrób na obiadek cielęcą wątróbkę – poprosił grzecznie Robercik i dodał z żelazną precyzją: – Siekaną cielęcą wątróbkę.

Babcia, a przede wszystkim prababcia, która i wtedy, i przez wszystkie następne lata, także długo po upadku komuny, kiedy kartek dawno już nie było, czuła się odpowiedzialna za aprowizację, zafrasowały się. Vis-à-vis kamienicy numer 38 przy Poznańskiej znajdował się zaprzyjaźniony rzeźnik, ale cielęca wątróbka to była przesada. Wtedy to ojczulek został uświadomiony po raz pierwszy: powiedziano mu z brutalną szczerością, że pan Grabowski żył przed wojną, a teraz to może dostać co najwyżej wątrobę wieprzową. Niesiekaną.

– Dobrze – spolegliwie przystał tata, ale po kilku dniach wystąpił z nowym dezyderatem, tym razem ściśle po linii tolkienowskiej:

– A jak się robi potrawkę z króliczków?

– Z króliczków? – ucieszyła się prababcia. – Dobrze, postaram się na Rynku Jeżyckim o królika. – Po czym zaczęła snuć długą i barwną opowieść, jak to w czasie ostrzału artyleryjskiego w czterdziestym piątym ona jedna miała odwagę, żeby pójść do klatek z królikami i zrobić właściwy użytek z ich lokatorów. Od skórowania poczynając…

Dla mnie i opowieść ta była mocno obrzydliwa, i potrawki z królików bym nie tknęła, chociaż wyobrażam sobie, że była bez porównania lepsza niż ta zrobiona przez Sama – nie miał biedak przecież w zasadzie żadnej przyprawy prócz soli, może listki jakieś. A nie, listki to wrzucał tylko na filmie, w książce Gollum kategorycznie odmówił zdobywania przypraw. Ale film Jacksona to dużo, dużo późniejsza sprawa i zasługuje na osobny rozdział, a może i dwa.

Na razie Robert po biblijnemu wzrastał w latach i roztropności, a objawiało mu się to w ten sposób, że gdzieś tak w trzeciej klasie

podstawówki postanowił nauczyć się angielskiego, żeby móc, rzecz jasna, czytać sobie Tolkiena w oryginale.

– Ależ kochanie, to za trudne będzie dla ciebie – zaczęła babcia, ale zreflektowała się, że to niepedagogicznie i rozejrzała się za kimś sensownym dla dziecka, żeby go nie zraził do języka, tylko potrafił zachęcić. Wybór padł na przyjaciela rodziny, pana Wiktora, byłego lotnika, który godzinami potrafił czarować wszystkich opowieściami o swoich wojennych szlakach. Jeżeli chodzi o nauczanie angielskiego, był w całym tego słowa znaczeniu naturszczykiem i myślę, że właśnie dlatego tata nie mógł trafić lepiej. Pana Wiktora nie obchodziła gramatyka, czasy i cała ta reszta, którą obrzydzają nam życie w budzie. On gadał swoje, Robercik chłonął całym sobą, odpowiadał bez cienia skrępowania, nie zważając, że prawda, szyk przestawny i *Past Continuous* by się należał. Pan Wiktor spokojnie poprawiał, Robercik całą frazę lokował w odpowiednim miejscu swojego pojemnego rozumku i da capo al fine. Po trzech latach już swobodnie wymieniali się wrażeniami, jeden o tym, jak gdzieś tam w Iranie szczury wspinały się po linie pod sufit, żeby wyżreć żołnierzom konserwy, a drugi… cóż, łatwo się domyślić, o czym paplał drugi. W trzech przypadkach na pięć o dzielnych niziołkach wędrujących w siną dal, w czwartym na przemian o *Andrew, son of Kmita* ewentualnie *Zbig from Godsbounty*[1], a dopiero w piątym o czymś bardziej normalnym, jak wynik meczu. W końcu rodzina znieść już tego nie mogła, bo Robert zawłaszczał pana Wiktora dla siebie, a o szczurach i lotach zwiadowczych, i wielu innych fascynujących przygodach, tak barwnych w gomułkowskiej szarzyźnie, chcieli posłuchać wszyscy. Posłano zatem tatę do normalnej nauczycielki, która wspominana była z łezką w oku, bo nawet gramatykę – teraz już jak najbardziej na miejscu – sprzedawała niczym pasjonującą szaradę. Poza tym miała tę niebagatelną zaletę, że pożyczała wdzięcznemu uczniowi książki po angielsku.

– Czytaj bez słownika – nakazywała tacie. – Zrozumiesz połowę. Wtedy czytaj drugi i trzeci raz. Dopiero wtedy wolno ci zacząć sprawdzać słówka.

Nie pozwalała mu jednak wziąć się za *Władcę* w oryginale, zupełnie jak nauczyciel gry na fortepianie, który najpierw każe odbębnić tonę palcówek, a ty rwiesz się do *Ave Maria* albo *Marzenia*. Wobec tego tata postanowił zdobyć zakazany owoc samodzielnie, tylko że pamiętajmy, który to był rok. Maksymalnie siedemdziesiąty czwarty. Gdzie tu znaleźć Tolkiena po angielsku?! Na pomoc dziadków liczyć nie mógł, bo babcia, sama nauczycielka, z żelazną konsekwencją przestrzegała lojalności zawodowej (do czasu, ale to też zupełnie inna historia). W filii Biblioteki Raczyńskich przy ulicy Słowackiego „tak dostojnego towaru" nie było, to oczywiste, bo inaczej dorwałby się do niego już dawno. W znanym nam skądinąd antykwariacie na Starym Rynku został spalony, kiedy to uprzejmy pan księgarz, nieświadom rodzinnych układów, zaraportował dziadkowi:

– Proszę powiedzieć Robertowi, że *The Lord of the Rings* niestety ciągle nie ma.

Trzeba było sforsować podwoje Biblioteki Uniwersyteckiej.

W tym celu tata skorumpował niejakiego Miecia z czwartego piętra, który w zamierzchłych czasach uczył go na podwórku gry w oko, a teraz szpanował indeksem studenta prawa. Tata zaproponował mu wszelkie usługi lingwistyczne, na co Miecio poszedł z okrzykami radości, bo lektoraty łaciny i ruskiego szły mu wystarczająco ciężko, zaś język zachodni w postaci angielskiego, jak przystało na emancypowane czasy Gierka, to była dla niego zgroza i koszmar (biedakowi zapewne na dzień dobry zaaplikowano gramatykę). Zaopatrzony w instrukcje, jak to się pisze, zdobył co trzeba, poderwawszy przy okazji dziewczynę z wypożyczalni, zachwyconą jego erudycją.

Jak niegdyś do kryminału w szafie, tak teraz Robert dopadł zdobytego z takim trudem Tolkiena.

Dopadł i przepadł. Na początku świadomość, że książkę dostał na miesiąc, wcale mu nie przeszkadzała. Pięćset stron, nawet po angielsku, spacerkiem załatwiał w dwa tygodnie. Po tygodniu, kiedy ciągle jeszcze był w Shire i poczuł za plecami tykający zegar, zaczął oszukiwać i czytać symultanicznie ze Skibniewską. W żaden sposób nie przyspieszyło to lektury, przeciwnie, po raz pierwszy doświadczył,

czym jest analiza tłumaczenia i tak go to wciągnęło, że zaopatrzywszy Miecia w kolejną porcję ściąg, wydębił przedłużenie terminu. Spisek został wykryty tak mniej więcej przy zwierciadle Galadrieli, ale wtedy nawet babcia nie miała serca oderwać syneczka od jego procederu. Tata udowodnił, że potrafi, że nie odpuści i że chce kontynuować. Wobec tego odpuszczono i jemu, nawet tróję z geografii, bo tolkienowskie szaleństwo nie przeszło bez szkolnych konsekwencji. Geografię Śródziemia miał wszak w małym palcu…

Wtedy też Robert ostatecznie zadecydował, co będzie robił w życiu. Oczywiście skończy anglistykę i zostanie tłumaczem.

– A teraz chcę się uczyć walijskiego – oznajmił stanowczo.

Dziadkom i pradziadkom opadły szczęki.

– Dlaczego akurat walijskiego? – wyszeptała słabo babcia.

– Mamo, no przecież na podbudowie walijskiego powstał sindarin – krótko i zwięźle odparował Robert.

– Teraz już wszystko jasne, nieprawdaż? – mruknął pradziadek. Biedak nie był świadomy tego, że w grę potencjalnie mógł wchodzić jeszcze fiński, pierwowzór quenyi.

– Może najpierw niemieckiego? – pragmatycznie zaproponował dziadek.

Tata łypnął ponuro, ale babcia miała w tym momencie przypływ geniuszu.

– Potraktuj go jak Czarną Mowę – zaproponowała słodko. – *Ein Ring, sie zu knechten, sie alle zu finden, ins Dunkel zu treiben und ewig zu binden*![2]

Bardziej zaimponować Robertowi nie mogła i w ten sposób problem nauki walijskiego został odsunięty na kolejne dwa-trzy lata. Tata był jednak konsekwentny i na początku liceum wyłowił z grupy przysłanych na wymianę uczniów pewnego Walijczyka, Brendana. Sam Brendan co prawda za bardzo języka ojców już nie znał, ale polski kumpel, który w odróżnieniu od innych bezbłędnie nawijał po angielsku, jednocześnie go zawstydził i zaraził swoją pasją. Dwa lata trwała bardzo specyficzna korespondencja, którą obaj delikwenci traktowali trochę jak siódme wtajemniczenie, a która polegała na pisaniu o d…. Maryny, ale oczywiście po walijsku. Przy czym każdy list zaczynał się i kończył osobliwym salutem w postaci nazwy

pewnej walijskiej wsi, ponoć najdłuższej w Wielkiej Brytanii, jeżeli nie na świecie, której ja nigdy nie potrafiłam napisać poprawnie, a wymawiało się ją mniej więcej tak: Sanwair-puskundies-goger-horentropos-santysylio-gogogoch. Dlaczego żadna cenzura nie zainteresowała się czymś, co mogło podpadać pod wyrafinowany szyfr, Bóg raczy wiedzieć. Pikanterii dodawał jeszcze fakt, że Brendan nazywał się Bach, co po walijsku znaczy po prostu „mały". Tak to Niziołek z Małym uprawiali sobie sztukę epistolograficzną…

Wreszcie i tata doczekał się wyjazdu do bratniej szkoły, a Brendan postarał się o lokum u swojego wuja. Po prawdzie, pokrewieństwo między nimi było takie bardziej jak między Bilbem a Frodem, mianowicie ojciec Brendana był ciotecznym siostrzeńcem, ewentualnie stryjecznym bratankiem gospodarza, jak kto woli, ale za to rzeczony wuj mówił płynnie po walijsku. Przy czym dzieci nie miał, jak Bilbo, i jak Bilbo darzył Brendana wujowym afektem.

Tata był tak szczęśliwy, że z pieśnią na ustach odwalił całą przedwyjazdową biurokrację: najpierw musiał wyrobić sobie tymczasowy dowód osobisty, bo brakowało mu kilku tygodni do osiemnastu lat. Zaraz potem ten dowód mu zabrano i wydano paszport, surowo przykazując, że po powrocie do Polski ma go zdać w ciągu siedmiu dni. Zupełnie jak w *Misiu*.

Potem zmobilizował całą rodzinę do realizacji dezyderatu pani profesor, która mianowicie zadysponowała, aby uczniowie zabrali dla swoich gospodarzy prezenty.

– To ma być coś, co pozytywnie utrwali wizerunek Polski! – zażądała twardo.

– I najlepiej, żeby było z Cepelii – zrelacjonował skrupulatnie Robert.

Tak nazywały się za komuny sklepy z rękodziełem ludowym.

– Ciupagę? – prychnął dziadek.

Babcia z prababcią popatrzyły na siebie znacząco.

– Żadną ciupagę – oznajmiła stanowczo babcia. – Załatwimy to inaczej.

Na Rynku Jeżyckim nabyto koszyk. Prababcia wygrzebała z szuflady kredensu przepiękną białą serwetę z haftem richelieu. Wyłożono nią koszyk jak do święconki, a w środku umoszczono

babcine *spécialité de la maison*: konfitury poziomkowe, z owoców dzikiej róży (z owoców, nie z płatków) i z rokitnika. Nimi to swego czasu podbiła szturmem serce teściowej, robi je do dzisiaj, a tajemnicę receptury obiecała mi zapisać w testamencie. Natomiast dziadek dołożył nieco wstydliwie swój własny przebój – piersiówkę dereniówki, całkiem jak z Rodziewiczówny.

Tak wyekwipowany tata wyruszył na podbój Albionu.

Wujostwo Brendana przyjęło tatę z otwartymi ramionami. Koszyk z polskim żarciem wprawił ich w zachwyt pomieszany z zażenowaniem.

– Ależ mój drogi, to za wiele – szeptała wzruszona ciotka.

Konwersacja przy kolacji szło gładko, po angielsku i walijsku, według ścisłych brytyjskich kanonów, z omijaniem tematów tak drażliwych jak polityka i religia – tata brylował swoimi lingwistycznymi talentami, tłumacząc, co to takiego rokitnik i dereń (w domu przed wyjazdem skrupulatnie posprawdzał nazwy w wielkim słowniku), a pan domu zdegustował nalewkę, cmokając w ekstazie.

Wreszcie tatę wyprawiono na spoczynek do pokoju gościnnego. Stał tam regalik z książkami i oczywiście tata nie byłby sobą, gdyby nie zaczął go penetrować, chociaż – to również rzecz jasna – w lekturę na podróż zaopatrzony był w sposób dostateczny i przemyślny – lekką w jak najbardziej dosłownym tego słowa znaczeniu. Z uśmieszkiem satysfakcji powywlekał Londona i Twaina, po czym dotarł do drugiego rzędu, sięgnął po książkę w niebiesko-zielonej obwolucie i osłupiał.

Trzymał w rękach pierwsze wydanie *Hobbita* z 1937 roku z własnoręcznym podpisem Tolkiena. Zaczął dygotać jak Nel w febrze i niewiele myśląc, tak jak stał, ledwo narzuciwszy szlafrok, runął na dół.

Wuj Brendana kontynuował degustację dereniówki, a ciotka chrupała grzankę z konfiturą. Oboje zastygli nieco zawstydzeni, ale tata miał oczy pokryte mgłą i nie zwróciłby uwagi na słonia w kapeluszu, a co dopiero na ten maleńki akt obżarstwa.

– Proszę państwa… – Pierwszy raz, odkąd zaczął uczyć się angielskiego, zabrakło mu słów. – Ta książka… To Tolkien…

– Być może, synku – powiedział serdecznie wuj. – My się na tym za bardzo nie znamy.

– A tak. – Ciotka przyjrzała się książce. – To kiedyś dawno temu dostałam w prezencie, ale nie podobało mi się, więc stoi tak sobie od lat w gościnnym pokoju…

Tata trząsł się z emocji i zimna, bo gospodarze, jak w kryminałach Agaty Christie, poprzestawali na ogrzewaniu kominkowym. Był chłopcem dobrze wychowanym, świadomym przy tym, że Bóg mu powierzył honor Polaków, poznaniaków i pierwszego liceum, więc nie był w stanie wydusić z siebie: jak tak, to mi ją dajcie. Musiał mieć jednakże emocje wypisane na twarzy, bo ciotka jak prawdziwa *lady* powiedziała z dobrotliwym uśmiechem:

– Weź ją sobie, kochanie, skoro tak ci się podoba. My i tak pozostaniemy dłużnikami twojej rodziny.

Tata nie wytrzymał nerwowo, wybełkotał podziękowania i umknął z łupem, ale w nocy ruszyły go wyrzuty sumienia.

– Słuchaj, stary – zwierzał się następnego dnia Brendanowi. – Twoi wujostwo dali mi *Hobbita* Tolkiena. Pierwsze wydanie. To nie wypada, ja nie mogę tego przyjąć.

– Jak ci dali, to bierz – stanowczo uciął Brendan. – Dopiero by im było przykro, jakbyś odrzucił ich dar. Tego właśnie tutaj nie wypada robić!

– Ale to za drogie. – Tata wił się w męczarniach pożądania i skrupułów jednocześnie. – Na pewno kosztuje w antykwariacie kupę forsy…

– Twoja serweta też nie taka najtańsza – ripostował Brendan. – Przecież to stara ręczna robota!

– Ale ona ma podpis autora… – brnął z opóźnionym zapłonem tata, a miał na myśli, rzecz jasna, książkę, a nie prababciną deczkę.

– Potraktuj to jak lokatę kapitału – zakpił Brendan. – A jak za trzydzieści lat będziesz ją chciał spylić, to pamiętaj o mnie, odpalisz mi za pośrednictwo i będziemy kwita.

Słowa Brendana były prorocze, ale finał przygody z Hobbitem też zasługuje na osobną opowieść, więc na razie pozostańmy przy tym, że tata odjechał do Polski ze swoim niewyobrażalnym trofeum, a cztery razy do roku, odpowiednio do wegetacji drzew owocowych

i okresu przetwórczego derenia, ekspediował do Anglii okazałe paczki, pozostając we wdzięcznej pamięci wujostwa Brendana do końca ich dni.

Tymczasem zdał maturę, dostał się na anglistykę i tak dotarł do punktu, w którym historia naszej rodziny zaczęła się naprawdę.

Mianowicie na wuef zapisał się na pływalnię, może nie dlatego, że był to jego ulubiony sport, bo takowym pozostawało łażenie po górach, ale za to zajęcia trwały tam tylko czterdzieści pięć minut zamiast półtorej godziny, jak gdzie indziej, a czas można było przecież wykorzystać na tak zbożne cele, jak czytanie. Okazało się, że trafił do grupy koedukacyjnej z dziewczynami z matematyki.

– Oooo… – Lubiliśmy drażnić się z tatą, ile razy wspominał tę historię. – Nieźle!…

– E tam! – machał ręką tata. – Wtedy były obowiązkowe białe stroje. Diabli wiedzą po co, chyba żeby nie farbowały. Wyobrażacie sobie, jak koszmarnie wyglądaliśmy w trójkątnych płóciennych badejkach wiązanych na tasiemki po bokach?

Trener zgromadził pierwszoroczniaków na brzegu basenu i zaczął z wysiłkiem odcyfrowywać ręcznie sporządzoną listę obecności. Tata błądził myślami wokół wypożyczonego właśnie ze znanej nam skądinąd Biblioteki Uniwersyteckiej *Silmarillionu* (po angielsku, rzecz jasna, był rok 1979 i to był i tak rarytas jak na tamte czasy, polskie tłumaczenie wyszło dopiero w 1985). Z błogostanu wyrwało go głośne:

– Koton, Róża!

Tata poderwał głowę i poszukał wzrokiem dziewczyny o tak nieprawdopodobnym imieniu i nazwisku.

– Kotoń! – sprostowała wdzięcznie panienka w stroju, a jakże, białym, ale z naszytą uśmiechniętą od ucha do ucha żabą. – Jestem!

Tata zastygł wgapiony w nią jak cielę w malowane wrota, a potem próbował utrzymać równe tempo na torze, co nie bardzo mu wychodziło, bo panienka śmigała kraulem aż miło, a on preferował stateczny styl klasyczny.

Róża pod innym mianem także by pachniała? Nie sądzę.

Po wyjściu z basenu tata nie wahał się ani chwili. To nie mógł być zbieg okoliczności, to był dar Boży. Piorunem wciągał ciuchy na

mokre ciało i potem warował z pół godziny pod damską szatnią, przerażony tylko, czy wśród zwyczajnie ubranych dziewczyn, z włosami, to jest w normalnym uczesaniu, a nie w obcisłych gumowych czepkach, rozpozna tę Różę. Na szczęście ona poznała jego, uśmiechając się tak miło, jak tylko prawdziwa Różyczka Cotton by potrafiła. Ośmielony pan Niziołek ruszył do ataku z animuszem godnym Samwise'a Mężnego, zapraszając ją do herbaciarni na Starym Rynku. Trasa z ulicy Chwiałkowskiego na Szkolną tylko umocniła jego determinację, bo okazało się, że dziewczyna lubi książki i wędrówki górskie, a nazwisko Kotoń pochodzi od szczytu w Beskidzie Makowskim.

Potem wszystko poszło piorunem. Byłaż to historia stara jak świat czy też może czar pierścienia i róży? Ewentualnie Pierścienia i Róży? A może po prostu: Róży i Roberta?

Pocałowali się pierwszy raz tydzień później.

Miesiąc później powiedzieli sobie, że po studiach się pobiorą.

W maju uznali, że właściwie po co czekać tyle lat.

No i we wrześniu, po pierwszym roku, wzięli ślub, a w podróż poślubną pojechali do Zawoi, żeby zdobyć Babią Górę i Kotoń.

Kiedy zdarzały im się mniejsze lub większe utarczki słowne, mama sięgała po żelazny argument:

– Bo ty ożeniłeś się ze mną dla nazwiska!

Na co tata rozbrajał ją sprostowaniem:

– Dla imienia i nazwiska, skarbie!

[1] Gdybyś się, drogi Czytelniku, poczuł skonfundowany, kto zacz Zbig from Godsbounty, zajrzyj, proszę, na koniec, znajdziesz tam wiele wyjaśniający tezaurus.

[2] Jeden, by wszystkimi rządzić, Jeden, by wszystkie odnaleźć, Jeden, by wszystkie zgromadzić i w ciemności związać. Wg tł. Marii Skibniewskiej.

Rozdział II

Mama

Happy end poprzedniego rozdziału okazał się szczęśliwym początkiem całej naszej rodziny i w przeciwieństwie do powieści Małgorzaty Musierowicz nie został odwołany. Pani Musierowicz jest moją ukochaną autorką, ale tego jednego, a mianowicie odwoływania happy endów, nigdy nie mogłam jej darować. Ileż razy ona to zrobiła! Przy Gabrysi dwa razy. Przy Idzie też dwa. Przy Natalii… raz, dwa… w zasadzie trzy razy, a jeszcze w *Kalamburce* do ostatniej chwili trzymała czytelnika w napięciu co do tożsamości pana młodego. Przy Patrycji się zmęczyła, ale tu z kolei czytelnik zrobił się czujny i podejrzliwy i nie umiał się już cieszyć szczęściem inkryminowanej pary, wietrząc jakiś postęp. Ale rekordem absolutnym było zrobienie kompletnych głupków z Laury i Wolfiego. Czy ktoś z was potrafiłby uwierzyć, że osobnicy dziewiętnastoletni mogą być tak debilni, że chcieliby brać ślub kościelny z marszu, z ulicy, jak w starym westernie, bez nauk, zapowiedzi i tych wszystkich ceregieli? Tata i mama w każdym razie są jawnym tego zaprzeczeniem.

Ale skoro już przy Musierowicz jesteśmy, nie mogę nie opowiedzieć kapitalnego rodzinnego pre-plagiatu – „pre” dlatego, że miał miejsce w roku 1959, a plagiatu, bo dotyczył był ślubnego obuwia dokładnie jak w przypadku Idy.

Było to tak. Babcia in spe Kotoniowa jechała wczesnym styczniowym rankiem w swoje dwudzieste trzecie urodziny z Obornik

do Poznania na własny ślub. Cywilny tylko, co prawda, kościelny miał się odbyć miesiąc później, a ten cywilny był potrzebny wcześniej po to, żeby dziadkowie mogli się zameldować razem w wynajętym pokoju. Babcia wiozła ze sobą ślubną kreację – zieloną sukienkę i odpowiednio dobrane kolorystycznie buciki, jak mi to opowiadano potem nie raz z detalami, tak zwane kaczuszki. Rozumiem, że chodziło o obcas i fason. Buciki jechały z honorami w kartonie, w osobnej siatce.

Babcia dotarła do domu dziadka Kotonia, została przyjęta serdecznie przez swoją przyszłą teściową, po czym prababcia Kotoń zainteresowała się ślubną wyprawą synowej i zadała to niesłychanie drażliwe pytanie:

– Córeńko, a gdzie ty masz buty?

Butów nie było. Pojechały dalej pociągiem do Wrocławia albo do Katowic, pięknie zapakowane w kartonik i pieczołowicie umieszczone na półce…

Tu zaczął się problem à la Ida Borejko, tyle że Ida miała numer buta czterdzieści jeden, a babcia przeciwnie, trzydzieści cztery. Straszne, nieprawdaż? Wielkość stopy odziedziczyłam po niej i doskonale wiem, ile wysiłku trzeba włożyć w zdobycie damskiego obuwia na obcasie w takim rozmiarze. W każdym razie buty prababci Kotoń były na pannę młodą o jakieś trzy numery za duże. Wyobraźcie sobie: poranek, ślub o godzinie ósmej czterdzieści, sklepy otwierają, rzecz jasna, o dziesiątej. W perspektywie ślub w śniegowcach. Wtedy prababcia nie po raz pierwszy i nie ostatni objawiła swoje talenty – rodzina miała okazję obserwować je potem wielokrotnie, choćby za stanu wojennego, kiedy owa dzielna niewiasta robiła coś z niczego. Tym razem złapała sylwestrowe sandałki synowej, które szczęśliwie u nich zostały, oskrobała z nich lux torpedą srebrny brokat i wysmarowała czarną pastą, bo na farbowanie nie było już ani czasu, ani środków. No i ślub się odbył, w zielonej sukience i czarnych sandałkach, a po powrocie czekał na babcię tort z dwudziestoma trzema świeczkami. Dlatego zawsze, żeby nie wypominać jej wieku, mama składała rodzicom życzenia z okazji tego pamiętnego kontraktu.

Dla babci Kotoń, tak jak i babci Niziołkowej, książki były immanentną częścią rzeczywistości. Siłą rzeczy mama wchłonęła taką postawę życiową z mlekiem matki, w jak najbardziej dosłowny sposób. Otóż babcia Kotoń wspominała, że na porodówce czytała *Złego* Tyrmanda, a wszystkie położne krzyczały:

– Kochana, co pani robi? Mleko się pani zwarzy i dziecko będzie miało kolkę!

Nawiasem mówiąc, położne te były niezłymi erudytkami, skoro wiedziały, czego się można spodziewać po *Złym*. No, chyba że wystarczył im tytuł albo babcia odsłoniła kulisy intrygi.

Poza tym babcia czytała też najróżniejsze książki, wywożąc Różyczkę i kolejne Kotoniątka na spacer. Raz, przy lekturze *Wszyscy jesteśmy podejrzani* Chmielewskiej tak ryczała ze śmiechu, że mało co nie wywróciła wózka wraz z zawartością.

Mama zatem miała po kim odziedziczyć swoje szaleństwa, przy czym mając znacznie lepszą pamięć od taty, doskonale potrafiła odtworzyć swoje pierwsze lektury. Tą najpierwszą, wyłowioną z mroków wspomnień kilkulatka, była, o dziwo, *Królewna Wanda* Makuszyńskiego. Dlaczego akurat *Wanda*, a nie *Koziołek-Matołek* albo *Małpka Fiki-Miki*? I dlaczego w ogóle dziadkowie czytali małemu dziecku bajkę, która się źle kończyła?

– Pewnie dlatego ją tak dobrze pamiętam – kwitowała moje dywagacje mama. – To tak jak z miejscami. Dziecko nie pamięta własnego mieszkania, ale dwulatek może przechować wspomnienia znad morza albo, co nie daj Boże, ze szpitala.

I żeby się ze mną podroczyć, dodawała:

– *Wanda* to tylko początek hardkorowej literatury. Potem był jeszcze *Dzielny ołowiany żołnierzyk*, *Dziewczynka z zapałkami* i makabreski braci Grimm…

Prawdać-to, dziadek Kotoń, a może pradziadek, albo jeden i drugi, dostali od babci zdrowy opieprz za czytanie dziecku o *Dziewczynie bez rąk* i *Wiernym Janie*. Znacie *Wiernego Jana*? Jest cool! Wierny sługa został zamieniony w posąg i żeby go odczarować, trzeba było zabić małych królewiczów, poćwiartować ich i krwawymi szczątkami posmarować tenże posąg. A potem jakaś niemiecka pobożna katoliczka drze szaty o *Harry'ego Pottera*, że prawda, panie dziejku,

horror, bezbożnictwo i deprawacja maluczkich. Co powie na swoją rodzimą klasykę? I na tego świętego Piotra, który „pokrajał wszystkie członki nieboszczki, wrzucił je do wody, a gdy mięso odstało od kości, poskładał je według naturalnego porządku, poczem przeżegnawszy je pobożnie, powtórzył trzykrotnie »W imię Trójcy Św. wstań!«". Voldemort ze strony 666 niech się schowa!

Wydanie *Bajek* braci Grimm z 1938 roku, straszliwie zniszczone, stoi z honorami na mojej półce. Było jedną z nielicznych książek Kotoniów, które przetrwały wojenną zawieruchę. Babcia Kotoń była w jeszcze gorszej sytuacji, bo jej rodzina uciekała przed Niemcami tak jak stała, bez żadnego dobytku. Siłą rzeczy babcia z dziadkiem książki kupowali nowe, takie jakie były i takąż literaturę wchłaniała mama.

Znacie kawał o tym, jak mały Żyd i mały goj licytują się, który z nich wcześniej zaczął samodzielnie chodzić? Mały goj mówi: „Ja miałem jedenaście miesięcy!". A na to mały Żyd: „Ja też, ale kazałem się nosić do dwóch lat!". Identycznie było z mamą i tatą. Tata, jak sobie powiedzieliśmy, umiał czytać, mając lat sześć. Mama też, ale uwielbiała, żeby czytali jej dziadkowie i pradziadkowie, i korzystała z tych dobrodziejstw do rozpaczliwie późnego wieku, który sama wstydliwie przemilczała. Fakt, że wykorzystywała do tego procederu młodsze rodzeństwo, któremu wszak czytanie należało się znacznie dłużej…

Rezultat był taki, że mnóstwo bajek znała nieomal na pamięć i poprawiała czytającego, jeśli skręcił mu się język i coś przeinaczył albo próbował skrótów. Kiedy w domu pojawiły się jakieś perskie lub arabskie bajki, jedną z nich, zatytułowaną bodajże *O Ibrahimie i pięknej Sinedhur*, dziadek dla ułatwienia przekręcił na „Sindehur", a mama natychmiast to zarejestrowała i było przechlapane. Co ktoś próbował czytać poprawnie, protestowała, że „tam nie było tak napisowane!". Pamięć do cytatów została jej do dziś, włącznie z umiejętnością rozpoznawania tłumaczenia. Kiedy po latach sama zaczęła czytać Gośce i Pipowi *Tomka Sawyera*, po pierwszych trzech zdaniach odłożyła śliczne nowe wydanie z kolorowymi obrazkami i wygrzebała własne, stare, zdarte, na brzydkim papierze i z brzydkimi obrazkami – ale tłumaczenie to było to – jej pierwsze

i przez to najlepsze. I tylko w nim tłumacz ośmielił się napisać: „o psiakryda, sztywny jak drut!”. Zdechły kot na brodawki, oczywiście.

Z otchłani dzieciństwa mama pamiętała też, żeby było śmieszniej, ruskie miesięczniki *Wiesiołyje kartinki*, które dziadkowie zbierali i zszywali rocznikami. Cyrylicy, oczywiście, wtedy jeszcze nie znała, ale jak jej babcia raz i drugi opowiedziała jakiś komiks, to potem przeglądała już sama i sama układała sobie fabułę. Na konsekwencje nie trzeba było długo czekać.

Raz na spacerze babcia Kotoń się przeraziła – dziecko bowiem szło i mamrotało pod nosem.

– Co robisz, Różyczko? – jęknęła tragicznie babcia.

– Układam sobie bajkę – odpowiedziała spokojnie mama.

Zostało jej to do dzisiaj i kiedy ze szklistymi, nieprzytomnymi oczami robi obiad, nie znaczy bynajmniej, że jest chora, tylko że układa kolejną „bajeczkę”, tyle że pilnie strzeże tajemnicy co do jej fabuły. Domyślamy się, że są to nieskończone prequele, sequele i interquele wszystkich naszych ulubionych powieści, z *Władcą* rzecz jasna na pierwszym miejscu. Przy czym mama uwielbia poprawiać charaktery głównych bohaterów i zamieniać złe zakończenia na dobre. Ja i Gośka odziedziczyłyśmy po mamie manię tworzenia fanfików, tylko że my przeciwnie, kochałyśmy się w zakończeniach tragicznych i łzawych. O kilku z nich w swoim czasie, teraz zostańmy przy mamie.

Co jeszcze mama pamięta z bardzo, bardzo wczesnego dzieciństwa? Bajkę o trębaczu z wieży kościoła Mariackiego, zabitego w połowie hejnału przez Tatarów. Mama wzięła sobie jego dolę do serca na tyle głęboko, że panicznie bała się nadawanego w południe hejnału z tą urwaną końcówką, bo jej się kojarzyło. Jednocześnie zdawała sobie sprawę z własnej głupoty i ukrywała ten stan, jak długo mogła.

– Różyczko, zegar stanął, podaj mi radio, sprawdzę godzinę – zadysponowała raz babcia.

– Nie, nie – gwałtownie zaprotestowała mama, wyczuwając bezbłędnym instynktem, że zbliża się dwunasta. – Zejdę do garażu zapytać tatę!

Tym razem jej się udało, ale została osaczona i skompromitowana w miejscu jak najbardziej publicznym, mianowicie na dworcu w Legnicy. Przez megafon sączył się dostojnie południowy sygnał, a mama spanikowała. Drżącą, z zamkniętymi oczami i zatkanymi uszami, wyciągnęli dziadkowie spod kasy, pełni mieszanych uczuć – współczucia, irytacji i rozbawienia jednocześnie…

Dzieciństwo mamy naznaczył też *Wiatrak profesora Biedronki*, który babcia czytała swoim pociechom w stołówce na wczasach w Trzęsaczu, bo żarcie było paskudne, a przy tej książce rzeczone pociechy zjadały wszystko. Dalej szła cudowna *Gałka od łóżka*, taki pre-Harry Potter, tylko jak by nie omieszkali zauważyć pani Kuby z panem Tekielim pospołu, bardziej pobożna. Panna Price wszak była działaczką parafialną i grała w kościele na organach. A że w wolnych chwilach uczyła się czarów…

Z kolei od *Kubusia Puchatka* wzięła się miłość mamy do imienia Krzyś: przez całe dzieciństwo chciała być Krzysiem, a syna pragnęła nazwać, rzecz jasna, Krzysztof, ale… O tym też w swoim czasie.

W księgarniach było wtedy dużo rosyjskiej literatury, dziadkowie, jak mówiłam, kupowali łapczywie wszystko, żeby uzupełnić straty, a zdarzały się wśród tych zakupów prawdziwe perły. Cudowne jest opowiadanie o Zenku i Miśku, którzy na balu dla dzieci postanowili zdobyć nagrodę przeznaczoną dla tego, kto będzie ważył dokładnie dwadzieścia pięć kilo. Niestety, okazało się, że Misiek waży o pół kilo za dużo, a to dlatego, że opił się oranżadą. Z kolei Zenkowi brakowało pół kilo, wobec tego operatywny Misiek postanowił dla wyrównania spoić przyjaciela. Ostatnią szklaneczkę wlewał w niego już na siłę, w trakcie ważenia bąbelki wylatywały delikwentowi nosem, ale nagroda – do sprawiedliwego podziału na dwóch – została zdobyta. Na to, co stało się tuż za progiem świetlicy, autor miłosiernie spuścił kurtynę milczenia. Zapamiętajcie sobie dobrze tę scenę, bo ona również będzie miała swój ciąg dalszy.

Był jeszcze *Siedmioletni brat* z rozpaczliwym rozdziałem, w którym duzi źli chłopcy grali w piłkę ukochanym pluszowym zającem głównego bohatera, *Słony śnieg* o pierwszoklasiście, który nie mógł nauczyć się literek, i *Czarodziej, co chodził po mieście*. Tę ostatnią książkę mama gdzieś zapodziała, nie zdołała jej odkupić, bo nie

pamiętała autora i tylko wspominała z nostalgią, że była to przedziwna, zupełnie nie na tamte czasy, wręcz filozoficzna opowieść z motywem „dnia wczorajszego” i złego czarodzieja.

Osobnym rozdziałem był oczywiście Curwood – tu mama z tatą mieli dużo do wspominania. Tata uwielbiał wszystkie powieści o zwierzętach, a jego pierwszy pies miał przecież na imię Bari. Mama przeciwnie, dolą zwierząt przejmowała się do tego stopnia, że nie mogła o niej spokojnie czytać, preferowała więc, trochę niekonsekwentnie, *Łowców wilków* i *Łowców złota* z finałem *Łowcy przygód* pióra Jerzego Marlicza.

Z literaturą angielskojęzyczną w przypadku mamy było tak: dziadkowie, uczeni w szkole rosyjskiego i łaciny, wymawiali angielskie nazwiska najczęściej tak, jak były zapisane – jeden Sojer się uchował.

– Wiesz, Eluniu – opowiadała mi raz mama z lekkim zażenowaniem w odpowiedzi na moje indagacje – przy tacie nie wypadało mi przecież czytać Gosi i Jankowi tych wszystkich imion i nazwisk na żywca. Więc ze skóry wyłaziłam, żeby wymawiać prawidłowo z pięknym akcentem: Łabi, Dru, panna Prajs. I kurczę, czułam się, jakby zdradzała starych przyjaciół…

Byli nimi wszak Wabi, Rod Drew i panna Price, czysto po polsku…

Nawiasem mówiąc, kiedyś na wakacjach mama czytała nam o osaczonej przez niedźwiedzia Minnetaki. Ja tego nie pamiętam, ale Gośka i Jasiek z kibicującym im tatą wciągnęli się do tego stopnia, że za diabła nie dali mamie wypowiedzieć magicznych słów na dobranoc: „a teraz nastąpił nasz ukochany ciąg dalszy”. Mama musiała lecieć przez trzy rozdziały, żeby sprawa definitywnie się rozwiązała, bo pan Marlicz bardzo precyzyjnie dawkował emocje i rozkładał je na wiele wątków. Najzabawniejsze w tym wszystkim było to, że pani kierowniczka domu wczasowego stała pod drzwiami i podsłuchiwała, do czego przyznała się potem po latach dziadkom.

No i wreszcie mama dorosła do samodzielności: stwierdziła, że woli czytać sobie sama, że oni już nie umieją. Czytanie stało się dla niej czynnością na tyle intymną, że nie chciała się nią dzielić z młodszym rodzeństwem – a może raczej wstydziła się dzielić swoimi emocjami.

Wtedy to objawił się drugi maminy fioł à la Alina z *Przyślę Panu list i klucz* Marii Pruszkowskiej. Dla przypomnienia, Alina naśladowała życie bohaterów książek z tak zabójczą dokładnością, że jako kilkulatka nawiała z domu, kiedy chciała być Jasiem Wędrowniczkiem. Mama wiernie jej sekundowała, a wujek Marek i ciocia Becia byli bardzo przydatni, bo zapewniali doskonałą obsadę drugoplanową – Alina dysponowała wszak tylko jedną siostrą, która musiała być jednocześnie Stasiem wyruszającym na polowanie i uwiązanym za szyję Sabą, któremu nie wolno było za nim polecieć.

Były oczywiście jakieś tam epizody z *Królewną Śnieżką* z bardzo wczesnego dzieciństwa mamy, kiedy wujka i cioci nie było jeszcze na świecie i wszystkie role poza Śnieżką, czyli złą królową, myśliwego, księcia i rzecz jasna siedmiu krasnoludków musiał odpracować uwielbiający swoją Różyczkę pradziadek. Teraz jednakże na tapetę poszedł *Pan Wołodyjowski*, może dlatego, że właśnie w tym czasie Jerzy Hoffman nakręcił swój pierwszy film. Mama dorwała książkę w cichym kątku i wyczytała starannie według recepty Eli z *Dziewczyny i chłopaka* Ożogowskiej wszystko to, co było „rzadko pisane". Chwała Bogu, że tylko tyle, miała wszak wtedy z osiem latek i na smakowite opisy nabijania Azji na pal nie natrafiła. Jako że były to czasy, kiedy pozwalała sobie jeszcze czytać, nie będący na bieżąco dziadkowie podsunęli jej *Order Podniesionej Przyłbicy* Władysława Kozłowskiego. Rezultat był taki, że mama poczuła się całkowicie globalnie, ciałem i duszą rycerzem, kleiła sobie z kartonu uzbrojenie, rysowała rycerzy z baaardzo długimi kopiami, przeczącymi prawu powszechnego ciążenia, a w roli Basi – odmiennie niż Alina – obsadzała ciocię. Dla wujka zostawali Turcy i Tatarzy.

Beatka i Mareczek zawiedli, kiedy na wakacjach w Szklarskiej Porębie z kolei mama wzięła na warsztat wyżej wspomnianych *Dziewczynę i chłopaka*. Wujek był o cztery lata młodszy od mamy i żeby nie wiem co, nie mógł jej dublować. Wobec tego przypadły mu hurtem wszystkie role męskie z Józinkiem włącznie, zaś ciocia odpracowała Elę, Celę i Adelkę. Mama zaś zagrała jednocześnie Tosię i Tomka, i to tak skutecznie, że panie z sąsiednich pokoi przekonane były, że Kotoniątek jest łącznie czworo, a nie troje.

Ach, te mamusine szaleństwa literackie… Zosia-Dyna u Pruszkowskiej trzy razy przeżyła „paroksyzm, co przyszedł na ojczyznę”. Mama też co najmniej trzy, a każdy następny był gorszy od poprzedniego.

Pierwszy raz był czysto obyczajowy, bez żadnych podtekstów, bo mama była wtedy za smarkata, a sprawa polityczna zrobiła się z niego przez czysty przypadek.

Było to w głębokiej podstawówce. Mama, pod wrażeniem lektury Niziurskiego, *Siódmego wtajemniczenia, Nikodema, czyli tajemnicy gabinetu* i *Awantury w Niekłaju* założyła z dwiema przyjaciółkami tajną bandę.

– Miałyśmy własny szyfr, tajne skrytki do zostawiania korespondencji i nawet pieczęć – opowiadała mama. – Pieczęć była elegancka, nie z ziemniaka, tylko z szarego mydła.

– Umiałyście zrobić w mydle pieczęć? W trzeciej klasie?! – zdumiewałam się za każdym razem, kiedy tylko słyszałam tę opowieść. Sama miałam maślane łapy i do dzisiaj te wszystkie cuda, które mama miała na zetpetach, czyli zajęciach praktyczno-technicznych, to dla mnie czarna magia. W mydle faktycznie mama rzeźbiła namiętnie jako Wawrzuś z *Historii żółtej ciżemki*. W mydle, bo dziadkowie Kotoniowie byli rozsądni i pilnując Różyczki, usunęli twardsze materiały z zasięgu jej łapek, żeby ich sobie nie poobcinała. Ale normalny ostry nóż jej zostawili! Tak się wtedy dzieci chowało!

Wracając do meritum, mama i jej przyjaciółki postanowiły wystosować tajne ultimatum do niejakiej Ulki. Bez żadnej osobistej złości, najzwyczajniej w świecie Ulka pasowała do roli adwersarza – Matusów albo Kolonistów, albo diabli wiedzą kogo. Pismo sporządzone czerwonym atramentem, z odciskami krwi i rzecz jasna pieczęcią, brzmiało mniej więcej tak:

> Wycofaj się z naszego terytorium! W przeciwnym razie w barakach przed szkołą będzie na ciebie czekała Niewidzialna Ręka.

Wszystko pięknie, tylko dziewczątka nie były świadome, że skoro mama Ulki zatrudniona jest na Kochanowskiego, to w instytucji bardzo, ale to bardzo jednoznacznej. Zrobiła się chryja, babcię Kotoń wezwano na dywanik i przeczołgano, że ona, nauczycielka, dziecka odpowiednio nie edukuje (obie babcie były nauczycielkami, babcia Niziołek uczyła polskiego, a babcia Kotoń geografii). Mamie zaś obniżono stopień ze sprawowania i pohańbiono ją w ten sposób, że kazano jej oddać odznakę wzorowego ucznia.

– Wyszło mi to tylko na zdrowie – powiadała dzielnie mama, choć widać było po jej oczach, że po dziś dzień przeżywa tamto zajście. – Odtąd nigdy nie zależało mi na żadnych odznakach z dzieciątkiem Lenin.

Zwrot „dzieciątko Lenin" użyte tu było anachronicznie, bo wymyślił je dużo później wuj Anioł, czyli mąż cioci Beci, ale o tym niezwykle barwnym członku naszej rodziny przy innej okazji.

Drugi raz mama cierpiała z powodu literatury w klasie ósmej. Mama była poważniejsza, literatura i awantura proporcjonalnie też.

Od pewnego czasu mama prowadziła walkę podjazdową z panem od polskiego. A to o *Pana Tadeusza*, kiedy napisała była obrazoburcze wypracowanie pod tytułem „Dlaczego *Pan Tadeusz* jest epopeją narodową?". Jako osóbka oczytana i myśląca logicznie najpierw przytoczyła definicję epopei: jest to długi utwór wierszowany, traktujący o wydarzeniach ważnych i przełomowych. Wyszło jej, że *Pan Tadeusz* jest li i jedynie – jak by powiedziała rodzinka Żaków – długi i wierszowany. Opowiada zaś o rzeczach błahych, lokalnych kłótniach i zajazdach oraz romansie dwudziestolatka ze starszą panią. Wydarzenia ważne dzieją się niejako poza kadrem, a wszystko kończy się fałszywym happy endem, bo wiadomo, co potem było – Napoleon zamarzł pod Moskwą, a Rosjanie jak zawsze znaleźli się na wierzchu.

– Ależ Różo – oburzył się pan od polskiego, który na dzień dobry poczuł się obrażony zwrotem „starsza pani", jako że był wtedy mniej więcej w wieku Telimeny. – Nie wzięłaś pod uwagę podstawowych faktów. A Jacek Soplica? A powstanie kościuszkowskie? Dąbrowski? Ja nie mogę ci dać pozytywnego stopnia za to wypracowanie!

Mamie krew uderzyła do głowy. *Pana Tadeusza* przeczytała nadzwyczaj skrupulatnie, doczytała sobie co trzeba i co nie trzeba u Jastruna i Boya-Żeleńskiego, a poza tym, jak już sobie powiedzieliśmy, potrafiła myśleć nawet bez podpierania się autorytetami.

– Jacek Soplica był karierowiczem i warchołem dużo gorszym od Kmicica – wystrzeliła od razu z najgrubszej kolubryny. – Kmicic pod osłoną moskiewskich siepaczy na Wołmontowicze nie napadał!

Pan zatchnął się nieco na „moskiewskich siepaczy", a mama leciała dalej:

– A jego nawrócenie jest farbowane i bardzo grubymi nićmi szyte! Po co dał Zosię pod opiekę bratu? Czy nie po to, żeby pilnować interesu i wydać ją za Tadeusza? I wszystko w porządku, sumienie czyste, a talary w kufrze!

Tym razem skończyło się na „napiszesz jeszcze raz", po czym mama oczywiście nie napisała, a pan nie miał siły polecenia wyegzekwować.

Innym razem starli się o Baczyńskiego, kiedy to pan poleciał Pigoniem, że bez sensu jest strzelać do wrogów z brylantów. Mama odwinęła błyskotliwie:

– No pewnie, Baczyński powinien był tak jak Mickiewicz siedzieć dobrze schowany za miedzą i romansować z mężatką, a potem tylko odcinać kupony!

Mimo wszystko oboje się chyba lubili i doceniali, a kiedy przyszedł czas łapanki na uczestników wszelakich olimpiad, mama oczywiście wśród nich się znalazła. W roku owym organizatorzy mieli ambicje regionalne i polecili uczniom między innymi wyuczyć się na pamięć wiersza poznańskiego autora. Za dużego wyboru w połowie lat siedemdziesiątych nie było, Krynicki z Barańczakiem na cenzurowanym, więc mama wzięła na warsztat Kazimierę Iłłakowiczównę i znalazła urokliwy wiersz *Wyszlim rano*:

Wyszlim rano ulicą
we mgle;
może świt już przeświecał,

może nie.
Na rogu Reja i Sienkiewicza
anioł stał i jaśniał obliczem.
Pochylilim się i uklęklim,
a wnet już nie anioł,
ale chłopak we dzwonek brzękał,
kogoś wiódł, a może osłaniał…
Może chłopak? Może nie anioł.

Panu nie za bardzo pasował idealistyczny duch utworu, ale jakoś go przełknął. I oto nadszedł dzień eliminacji dzielnicowych. Mamę poproszono do środka z dziewczyną z Dębca, która ku jej konsternacji najpierw brylowała, opowiadając o *Zatoce żarłocznego szczupaka* Paukszty, a potem wyrecytowała dokładnie ten sam wiersz, który przygotowała mama. Biedna mama musiała się gimnastykować z Pertkiem i tym tysiącem marynistycznych szczegółów, które w owym czasie zupełnie jej nie leżały.

– Cóż – przeciągnął przez zęby przewodniczący komisji – widzę, że twoje zainteresowania dotyczą innych dziedzin… A wiersz? O, ten sam… no to trudno, drugi raz nie będziemy go słuchali, dzię…

Nie zdążył powiedzieć „kuję", bo mama jak d'Artagnan rzuciła się, by walczyć do końca:

– Ale ja znam jeszcze inne wiersze Iłłakowiczówny, to żaden problem dla mnie powiedzieć coś spoza listy!…

– Słuchamy wobec tego. – Facet, tak jak dyrektor Szkoły Morskiej w Tczewie, nie lubił osobiście dorzynać ludzi.

Mama „przybrała pozycję" i bez zaanonsowania tytułu – co było z jej strony genialną intuicją, bo w przeciwnym razie mogła być zgaszona od razu – zaczęła:

Chciałam o kulturze napisać
naprawdę inteligentnie,
lecz zaczęły kule świstać
i szyby dygotać i pękać.

Komisja była trochę zmęczona, nie skojarzyła i jeszcze nie zwietrzyła niebezpieczeństwa. Kule wszak świstały na każdym zakręcie naszych dziejów.

Mama zaś nabierała rozpędu:

Niemy dotąd warknął koci łeb,
splunęła granitowa kostka:
„Znowuśmy się dali wziąć na lep,
położono nas – jak zawsze – mostem".

Do tego momentu było jeszcze dobrze, brzmiało trochę jak Tuwim i nie stanowiło zagrożenia. Ale mama z impetem szwoleżera spod Somosierry walnęła szablą między oczy:

A ja na tym moście jak kiep
do essayu oczy przysłaniam,
krew nie płynie już, już tylko skrzep…
Rozstrzelano moje serce w Poznaniu.

Komisja obudziła się, otworzyła szeroko oczy, ale nie zdążyła otworzyć ust, bo dzielna Róża dokończyła, nie bacząc, że w gorączce improwizacji coś tam po drodze zjadła:

Szkoda kul. Szkoda leków na nie
Moje serce – wszak to tylko rymy…
Rozstrzelano moje serce w Poznaniu.

Zapadła martwa cisza. Dziewczyna z Dębca wpatrywała się w mamę zdumionym spojrzeniem. Przewodniczący odchrząknął.

– Dziękujemy – powiedział drewnianym głosem. – Poproście następną dwójkę.

Mama poszła spokojnie do domu, a następnego dnia, ledwo rozpoczęła się druga lekcja, wywołano ją do dyrektora i kazano

czekać. Czekała, dziecię naiwne i nieodtwarzające ciągu przyczynowo-skutkowego, aż wreszcie zobaczyła w drzwiach pana polonistę i dziadka Kotonia.

– Co się stało? – jęknęła przerażona, bo sytuacja skojarzyła jej się z Kubą z *Elektrycznych Gitar* Haliny Rozwadowskiej (nie mylić z Kubą Sienkiewiczem), którego w taki właśnie sposób zawiadomiono o wypadku mamy.

– Różo – powiedział oficjalnym głosem pan od polskiego – czy możesz wyjaśnić, co cię skłoniło do wygłoszenia wczoraj takiego wiersza?

– Jakiego wiersza? – zainteresował się łagodnie dziadek Kotoń.

– To pan nic nie wie? – włączył się do rozmowy dyrektor. – Córka recytowała wczoraj na eliminacjach olimpiady polonistycznej wiersz o… – dramatycznie ściszył głos – o wypadkach poznańskich!

– Bez uzgodnienia ze mną! – dodał z tragicznym wyrzutem w głosie pan od polskiego.

– Czyli chodzi o to, że powiedziała, czy że powiedziała bez uzgodnienia? – z właściwym sobie spokojem drążył dziadek.

– Czy pan nie rozumie, że musimy wiedzieć, skąd ona ten wiersz w ogóle znała?! – z naciskiem dokończył dyrektor.

– To może wreszcie dopuścimy Różyczkę do głosu – podsunął życzliwie dziadek, a mama posłała mu wdzięczne spojrzenie.

– Z tomiku *Lekkomyślne serce*! Z biblioteki na Dzierżyńskiego! – zawołała i zaczęła pośpiesznie wyjaśniać, jak to koleżanka powiedziała jej wiersz i ona musiała szybko wymyślić coś innego.

– No to chyba sprawa się wyjaśniła i nie będziemy Róży dłużej zatrzymywać – powiedział dziadek, ciągle bardzo spokojnym głosem, w którym jednak pojawiły się jakieś twarde nutki. – O uzgodnieniach możemy porozmawiać we własnym gronie – dodał z naciskiem.

Mamę odprawiono, a co potem się działo za zamkniętymi drzwiami, Bóg sam raczy wiedzieć. Musiało to jednak dziać się dość długo, bo kiedy wreszcie mama wyszła po pięciu lekcjach ze szkoły, dziadek czekał na nią, okadzając się intensywnie dymem z papierosa. Pomaszerowali razem do domu, a w pewnym momencie dziadek rzucił w przestrzeń:

– Ale z biblioteki na Dzierżyńskiego to ty tego nie miałaś…

– Nie?… – speszyła się Różyczka. – Myślałam…

– Nie opowiadaj mi głupot. Oni mogli się nabrać na *Lekkomyślne serce* i tak dalej. Refleks to ty masz, ale wątpię, żeby ten wiersz był kiedykolwiek publikowany. Więc?… Z pamiętnika mamy, tak?

– Tak…

Babcia miała pamiętnik w drewnianych okładkach z zakopiańskim motywem, gdzie przyjaciółki wpisywały jej najróżniejsze teksty.

– To dobrze. Chodźmy na obiad.

Na tym się skończyło. Ale konsekwencje były takie, że mama solennie przyrzekła sobie nie pchać się więcej na żadną olimpiadę polonistyczną ani co gorsza historyczną. I zapowiedziała rodzinie, że do liceum idzie na profil matematyczno-fizyczny, bo ma dosyć narzucanych jej siłą lektur, a ona chce czytać to, co jej się podoba. Choć argumentacja była nieco dziwna, to decyzja została zaakceptowana, bo rodzina ucieszyła się, że dziecko obierze sobie jakiś praktyczny zawód. Panią inżynier będzie albo księgową…

Tak to mama znalazła się w piątym liceum na Traugutta i, zgodnie z zapowiedzią, przez nikogo nie zmuszana sama zaczęła wybierać lekturę.

Wtedy po raz trzeci za sprawą literatury przysporzyła sobie problemów życiowych i tak jak u Dyny, tym razem wina była całkowicie po jej stronie. Skutki zaś były już nie obyczajowe, nie polityczne nawet, lecz transcendentalne! Tylko matka mogła coś takiego zrobić!

Natrafiła mianowicie na powieść bliźniaczą do *Przygód Anatola Stukniętego na początku* z *Siódmego wtajemniczenia* Niziurskiego. Jak pamiętacie, miała ona niezwykłą moc oddziaływania. Kiedy Anatol uciekał boso po śniegu, czytającemu marzły nogi. Kiedy na torturach przypalano go żywym ogniem, ten i ów dostawał gorączki i musiał wejść pod prysznic. Wreszcie wszyscy zasypiali, kiedy Anatol pogrążony był w odurzającym śnie.

Dla mamy takąż „mocną” książką stał się *Szerszeń* Lilian Ethel Voynich, traktujący o perypetiach bojownika o zjednoczenie Włoch. Rezultat zaś był następujący: Różyczka ku zgrozie całej rodziny oznajmiła, że przestaje chodzić do kościoła, bo musi być wewnętrznie uczciwa. Krótko i zwięźle.

Choć mama chowała przed nami to kuriozalne dzieło, dla chcącego nic trudnego – w swoim czasie dopadłam go, żeby się przekonać, na czym polegało jego diabelstwo. Trochę tak, jak co poniektórych ciągnie do pornosów.

Przeczytałam i doznałam przemożnego zawodu. Książczydło było staroświeckie i napisane z nieznośną, łzawo-sentymentalną manierą. Główny bohater „tyle miał w sobie diabła, co trucizny w zapałce". Kabotyn, który własnymi rękami napytał sobie biedy, a potem odreagowywał kompleksy na wszystkim, co się rusza. Nawet jego teatralne gesty przed plutonem egzekucyjnym do mnie nie trafiły. Byłam – ku swojemu lekkiemu rozczarowaniu, bo spodziewałam się bo ja wiem czego, jakiegoś dreszczyku – całkowicie impregnowana.

A mama w swojej upartej apostazji zrodzonej z literackiego szaleństwa trwała cztery lata. Do czasu, kiedy – jak to sama ujmowała – za sprawą anioła stróża pojawił się tata i uczynił, co trzeba, niech mu to będzie w niebiesiech policzone.

I tak zatoczywszy koło, wróciliśmy do ulubionego motywu wszystkich – tak, wszystkich! – pisarzy, czyli do ślubu.

Rozdział III

Tata i mama

Zanim jednak rodzice stanęli na ślubnym kobiercu, ba, zanim jeszcze dali sobie słowo, przed mamą stanęło niezwykle zasadnicze zadanie.

Musiała bowiem przeczytać *Władcę Pierścieni*.

Tak, tak, nie przejęzyczyłam się. Róża Kotoń, ukochana pewnego Niziołka, nie czytała dotąd *Władcy Pierścieni*. Kiedyś tam próbowała czytać *Hobbita*, nie podobało jej się zupełnie jak Mrs Bach, bo jak to ujmowała:

– Ciągle tam szli i szli, a potem coś się im przytrafiało, a potem znowu szli i szli…

Jak widać, entuzjastką powieści drogi mama nie była. Trzeba przy tym wziąć pod uwagę, że *Drużyna Pierścienia* też w dużej mierze jest powieścią drogi. Nie ma więc co się dziwić, że Różyczkę odrzuciło. Chociaż teoretycznie, jako osóbka literacko wyedukowana, wiedziała, kto zacz Tolkien i o co w tym wszystkim chodzi.

I co z tego, zapytacie? Kiedy Jackson kompletował swoją Drużynę Pierścienia, jeden chyba tylko Dominic Monaghan był zaznajomiony z tematem. Pan Mortensen nawet nie zamierzał ukrywać, że powieść czytał jego syn, ale nie on; podobnie reszta, z Frodem i Gandalfem na czele.

No tak, ale oni nie wchodzili do rodziny Niziołków.

Poznawszy swojego jednego jedynego Roberta, mama dała dowód miłości w ten sposób, że błyskawicznie rzuciła się na *Władcę*, żeby

nadrobić skandaliczne zaległości. Zrobiła to w sposób autorski, wielokrotnie wykorzystywany przedtem w liceum. Mianowicie najpierw przerzuciła całość z dwudziestoprocentowym zrozumieniem, notując jednocześnie wszystkie imiona i nazwy i zakładając paseczkami papieru newralgiczne wydarzenia.

Osobiście mogę potwierdzić, że w wydaniu mamy była to metoda doskonała, perfekcyjnie tuszująca wszelką ignorancję. Kiedy oblewałyśmy moją maturę, rozpamiętując jednocześnie szkolne przygody moje i Gośki, rozochocona mama oświadczyła:

– A ja się wam do czegoś przyznam, ale pozmywacie!

– Dobra! – zgodziłyśmy się ochoczo, ciekawe, do czegóż to mama chce się przyznać.

– Nie przeczytałam nigdy w całości *Zbrodni i kary*…

Osłupiałyśmy.

– Cooo? Nigdy?!

– Nigdy. Nudne takie to było…

O Jezu… A tak skrupulatnie dyrygowała mną, kiedy pisałam wypracowanie o Raskolnikowie!

Skoro tak, to dla mamy zaznajomienie się z fabułą *Władcy* do następnej randki było pestką. Potem już tylko zgłębiała temat, a że pchała ją miłość, dużo czasu nie potrzebowała, żeby stać się ekspertem.

Swoją drogą, ciekawe, czy te ich randki wyglądały tak:

– Różyczko, a kto twoim zdaniem był starszy, Gandalf czy Tom Bombadil?

– Och, Tom Bombadil, oczywiście, nie ma o czym dyskutować!

– Tak myślisz… – Tata musiał patrzeć na mamę z niezgłębionym uznaniem. – No tak, masz rację, bo przecież… – Tu następował wykład, a mamie pozostawało inteligentnie przytakiwać. Po czym to ona inicjowała, z właściwą sobie logiką i precyzją:

– A nie uważasz, że Gandalf za łatwo wpadł w pułapkę Sarumana? – I da capo al fine.

W razie czego, gdyby tata zadał pytanie zbyt jednak specjalistyczne, na przykład:

– Jak sądzisz, czy Variagowie z Khandu to odpowiednik Waregów? – zawsze mogła posunąć się do działań kierujących jego uwagę

w zupełnie inną stronę…

Wróćmy jednak do tematu tak pasjonującego, jakim był ślub.

Czy pamiętacie z *Autobiografii* Joanny Chmielewskiej, jaką taktykę zastosowała osiemnastoletnia Joanna, a właściwie Irenka, będąc już wtedy w ciąży, aby zawiadomić rodzinę o ślubie? Najpierw przedstawiła narzeczonego i zapowiedziała plany matrymonialne na jakąś bliżej nieokreśloną przyszłość. Przeczekawszy kilka tygodni (dłużej nie można było ze względów oczywistych), młodzi ogłosili, że ślub odbędzie się na Boże Narodzenie, czyli za kilka miesięcy. Następnie skrócili termin do miesiąca. A do wnuka w drodze przyznali się, kiedy klamka zapadła.

Tata z mamą, w owym czasie dwudziestoletni studenci po pierwszym roku, zrobili dokładnie na odwyrtkę. Najpierw pozwolili przez tydzień-dwa pospekulować rodzinie do woli, że Różyczka jest w ciąży. Kiedy w takim kontekście oznajmili, że biorą ślub we wrześniu, nikt nawet słowa nie pisnął. Potem wedle poznańskiego porzundku przystąpili do załatwiania tych wszystkich formalności, których z właściwą sobie dezynwolturą zaniedbali Laura z Wolfim. Wśród nich była karkołomna zaiste biurokracja kościelna, polegająca na tym, że jeżeli ktoś miał fanaberię, jak tata z mamą, wziąć ślub u dominikanów, pierwsze kroki musiał skierować do parafii panny młodej – w tym przypadku do kościoła na Rynku Wildeckim. Stąd dostawało się ni mniej, ni więcej, tylko delegację (ale fajne nazwy!) do kościoła przy Fredry, czyli do parafii, w ramach której funkcjonowali dominikanie. Dopiero ksiądz z Fredry przekierowywał do dominikanów. Dokładnie to samo winni byli uczynić Laura i Wolfi, skoro chcieli pobrać się w kaplicy na Wiktorówkach, należącej do parafii w Małem Cichem! Nawiasem mówiąc, à propos zawiłości administracyjnych: niech mi odpowie jakiś inny wielbiciel twórczości pani Musierowicz, jak Róży Pyziak udało się przez miesiąc nie zarejestrować dziecka w USC? Bo przecież tak być musiało, skoro nie było problemu z przemianowaniem Melanii na Milenę! Pytam nie bez kozery, gdyż procedura rejestracji dzieci była w naszej rodzinie niezwykle ciekawa, o czym – powtarzam się – również w swoim czasie.

Wracając do mamy i taty, dopiero kiedy wszystkie papiery i terminy były zaklepane, przyznali się, że oni bynajmniej nie muszą się żenić, tylko chcą. Zmaltretowana rodzina, szukająca już w mieszkaniu miejsca na łóżeczko, poczuła taką ulgę, że ani jej było myśleć o proteście.

Nie zapominajmy przy tym o jeszcze jednym delikatnym problemie, który wypłynął pod koniec poprzedniego rozdziału, a mianowicie należało najpierw Różyczkę (Kotoń rzecz jasna) przywrócić na łono Kościoła. Robert okazał się młodzieńcem o niezwykłych talentach dyplomatycznych, bo tak jak nie dementował supozycji o błogosławionym stanie wybranki, tak o jej odszczepieństwie ani pisnął, na zasadzie „po co babcię denerwować, niech się babcia cieszy". Doskonale wiedział, że Róży niewiele brakuje i wystarczy ją cierpliwie zapraszać na randkę do Jana Góry na mszę młodzieżową o siedemnastej (sic!), by delikwentka skruszała w atmosferze pieśni z Taizé i *Nigdy z królami nie będziem w aliansach*. Co nieuchronnie się stało, amen.

A nie był to jeszcze koniec przedślubnych komplikacji, bo tata zaparł się, że jego świadkiem ma być Brendan. Wiązało to się oczywiście z gimnastyką paszportowo-wizową, żeby wszystko zgrać w czasie. Kolejny problem wyszedł w Urzędzie Stanu Cywilnego, kiedy pani urzędniczka poprosiła o personalia świadków. Usłyszawszy „Brendan Bach, Cardiff", zapytała surowo:

– Czy ten pan mówi po polsku?

– Nie – odpowiedział tata zgodnie z prawdą, bo Brendan umiał powiedzieć tylko „dziedobry", „dziekuje" i „kurrrwa". To pierwsze jak nie przymierzając szpak z *Kasi i krokodyla*, to ostatnie zaś jak papuga z *Młodego warszawiaka zapisków z urodzin*. Bardzo mu się podobało to nasze warczące rrr.

– To nie może być świadkiem – ucięła pani.

– Najmocniej przepraszam – powiedział tata niezwykle uprzejmym tonem – ale wydaje mi się, że przepisy przewidują w takich sytuacjach asystę tłumacza. Może będzie pani tak łaskawa sprawdzić.

Tata wyniósł z domu nieskazitelne maniery, które nie raz i nie dwa torowały mu skutecznie drogę w rozlicznych instytucjach. Teraz też

pani pokonana jego urokiem osobistym poszła do kierownika działu i wróciła z akceptacją.

Skoro urzędniczy Lewiatan został pokonany, to już doprawdy pestką pozostawał fakt, że Brendan był anglikaninem, bowiem dominikanie okazali się ekumeniczni na wskroś i w ogóle się tym nie przejęli.

Dzień ślubu się zbliżał, a przed mamą stanęło kolejne wyzwanie, aby tym razem sprostać konwersacji z najlepszym przyjacielem swojego przyszłego męża. W liceum uczyła się niemieckiego, a z angielskim miała jedynie króciutki flirt w podstawówce, bo po kilku miesiącach nauczycielka zachorowała i kurs został przerwany. Kiedy poznała tatę i wyszły na jaw jego nieprzeciętne umiejętności językowe, jednym ze sposobów wyrażenia miłości Różyczki do najdroższego Roberta, następnym w kolejce po czytaniu *Władcy*, była nauka angielskiego. Po niespełna roku czuła się na siłach poprowadzić konwersację o rodzinie i zainteresowaniach przy zachowaniu podstawowych reguł gramatycznych.

Jakoż Brendan przyjechał, został jej przedstawiony, a mama swobodnie powiedziała:

– *Hi, Brendan. I have heard a lot about you. I'm afraid I have met you at last.*[3]

Zdanie było całkowicie poprawne gramatycznie: słyszała o Brendanie do tej pory dużo, ale przecież jeszcze żyje, więc może usłyszeć więcej, zatem trzeba zastosować *Present Perfect*, a trzecią formę czasownika odszukała błyskawicznie w zakamarkach pamięci. I biedaczka dobrą chwilę nie mogła zrozumieć, dlaczego panowie padli sobie w ramiona, rycząc radośnie i poklepując się po plecach z wielkiego ukontentowania. Kiedy dotarło do niej, co właściwie powiedziała, najpierw spłonęła żywym ogniem, a potem uczyniła rzecz jedynie słuszną – razem z chłopakami zaśmiewała się tak, że aż jej łzy ciekły po twarzy.

Ślub cywilny z tłumaczem poszedł jak po maśle, ale potem, kiedy klęczeli przed ołtarzem, na przemian jedno i drugie dostawało głupawicy, gdy tylko w polu widzenia pojawiał się asystujący z namaszczeniem Brendan. Spuszczali więc głowy, ocierali oczy, byle

tylko nie doszło do permanentnej kompromitacji, a wszystkie babcie, prababcie, ciotki i kuzynki szeptały:

– Patrzcie, jacy oni słodcy, jacy wzruszeni! Kto by to pomyślał, że dzisiejsza młodzież jest tak uczuciowa! – zupełnie jak wtedy, kiedy Magdalena Samozwaniec poszła na pogrzeb wujka, którego ledwo znała, ale cały czas rozpaczliwie szlochała, bo przypominała jej się zabita drzwiami wiewiórka.

W każdym razie kiedy dzisiaj mama z tatą chcą się ze sobą podroczyć, mówią, że to całkiem niezły powód do unieważnienia małżeństwa – żadne z nich nie było świadome tego, co mówi…

Po powrocie z Zawoi ulokowali się w małym mieszkaniu w oficynie przy ulicy Żurawiej, ofiarnie udostępnionym przez prababcię Niziołkową, i oczywiście pierwsze, co zrobili, to zaczęli instalować na półkach książki „moje, twoje i nasze". Żeby im było przy tej czynności milej, włączyli sobie radio, piękne staroświeckie radio prababci.

I wtedy, w połowie września 1980 roku, nagle ochłonęli. Dotarło do nich, co się właśnie dzieje. Przedtem byli zajęci sobą, ślubem i wszelkimi z tym związanymi sprawami, i ledwo rejestrowali, że strajk, że stocznia, że Solidarność. Można im to wybaczyć, bo od pierwszego dnia nowego roku akademickiego ramię w ramię rzucili się ruszać „bryłę z posad świata" – przy czym niech nikt mi się nie ośmieli suponować, że cytat ten pochodzi z *Międzynarodówki*! Z Mickiewicza, oczywiście, z *Ody do młodości*! Mama miała do Mickiewicza stosunek ambiwalentny, ale te wczesne kawałki wieszcza bardzo lubiła, a już *Oda do młodości* doskonale wprost harmonizowała z jej ówczesnym stanem ducha.

Oczywiście Różyczka z Robertem nie byliby sobą, gdyby powyższego i bliźniaczych postulatów, typu „zestrzelmy myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy!" nie realizowali po swojemu. Zabrali się bowiem za kolportaż drugoobiegowych wydawnictw – jakby kto nie wiedział, co to znaczy, to wyjaśniam: poza cenzurą komuchów.

Punktem honoru taty stało się nasycenie odpowiednią lekturą przede wszystkim własnego gniazda. Dotąd bowiem zdarzało się, że profesor dysponował:

– Przeczytacie *Folwark zwierzęcy*. Nie obchodzi mnie, skąd to weźmiecie.

Tak przynajmniej twierdziły stare wygi z czwartego roku. Teraz jednak nastały cudowne czasy: wystarczyło przypolować Niziołka, doskonale widocznego z daleka, bo łaził wszędzie z ogromnym czerwonym plecakiem na stelażu. Onże siadał na ławeczce, wydobywał swój towar w postaci jakichś tam Orwellów czy Huxleyów i w ten sposób „niósł oświaty kaganiec". Wkrótce rozszerzył swoją działalność poza blok A Collegium Novum i zaczął wymieniać łupy z historykami: Zbychem, Jurkiem, Markiem i Markiem Jurkiem.

– Tato, skąd brałeś te książki? – pytaliśmy dociekliwie rodziciela.

– A, różnie – machał ręką tata, bo swoją ówczesną działalność bagatelizował i odcinał się od wszelkiej martyrologii.

– Szedł do meliny – mruczała z boku mama.

– Bzdury dzieciom opowiadasz! – oburzał się tata. – Do meliny, jak powiadasz, czyli do tajnej księgarni, szło się w stanie wojennym i później.

– To co, wuj Brendan przysyłał?

– Trochę przysyłał, ale to były pojedyncze sztuki, nie mogliśmy go przecież tak naciągać. To, co przysłał, zostawało u nas albo dawaliśmy komuś na prezent.

– No więc skąd?

– Od różnych ludzi. Od takiego Henia z archeologii. Od niego pierwszy raz dostałem *Nową klasę* Đilasa. Od Macieja z prawa. Z Regionu Solidarność. To był taki amatorski, detaliczny obrót, nie wyobrażajcie sobie nie wiadomo czego. I na początku te książki i gazetki były bardzo kiepskiej jakości, papier brzydki, druk powielaczowy…

– Jak nie przymierzając za okupacji – obrazowo kończyła mama.

Musiały to być piękne czasy, bo mama o swoich studenckich latach zawsze opowiadała w samych superlatywach. Kiedy z kolei na studia poszła Gośka i straszliwie narzekała, mama była autentycznie zasmucona.

– Nie wiem, córeczko, co ci poradzić. Może za dużo się różnych cudów od nas nasłuchałaś, pewnie wyidealizowanych. No ale my

byliśmy tacy szczęśliwi, zajęci konsumowaniem własnego młodego małżeństwa i transformacją ustrojową…

– Gosiaaa… – Wzięłam siostrę na stronę, bo miałam wtedy jedenaście lat i niewiele rozumiałam. – Co oni robili!?

– Uprawiali seks i politykę – przystępnie objaśniła Gośka.

– Aha – pokiwałam głową. Teraz wszystko było dla mnie jasne. Gośka zawsze miała talent do prostych wyjaśnień.

Poza tymi dwiema czynnościami wykonywanymi bezinteresownie, rodzice jeszcze zarobkowali w sposób dość klasyczny, mianowicie nauczając angielskiego i matematyki. Specjalności obojga były jakby stworzone do dawania korepetycji, mamy może nawet bardziej niż taty, bo matma zawsze była, jest i będzie zmorą młodzieży szkolnej, a angielski – przynajmniej wtedy – traktowany był dość hobbystycznie. Pieniądze z tego mieli na książki i jedzenie, czynsz za mieszkanko płacił im klan Niziołków, a obie rodziny obdarowywały ich różnymi bonusami w naturze. Raz babcia Niziołek borowała tacie dziurę w brzuchu, żeby kupił sobie płaszcz zimowy, a nie latał w górskiej kurteczce. Tata na to z całkowitą powagą odpowiedział:

– Ależ mamusiu, nam ledwo na książki wystarcza! – co spowodowało łatwą do przewidzenia reakcję.

Innym razem z kolei dziadek, kiedy zobaczył stan butów syna, bez słowa, niczym pani Tańska z *Awantury o Basię*, poszedł i kupił solidne trapery. Trzeba oddać tacie sprawiedliwość, że nie zachował się jak Walicki i dar przyjął, zresztą dość skwapliwie.

Poza tym dwa zestawy Bachów, czyli starzy i wujostwo Brendana, podbechtani przez niego opowieściami o głodzie w Polsce, która walczy przeciwko komunistom, wysyłali regularnie taaakie paczki. Swoją drogą, odwrotne przesyłki z konfiturami, pomimo limitowanego na kartki cukru, szły cały czas jak przedtem; mama z tatą woleli zrezygnować całkowicie ze słodzenia, niż uchybić honorowemu zobowiązaniu.

Opowiadam o tym wszystkim, żeby z góry odpowiedzieć na ewentualne dociekliwe pytania czytelników: a z czego oni żyli, hę? Z miłości? Żeby nie było tak, jak w ostatniej filmowej części *Harry'ego Pottera*, kiedy reżyser uznał, że bohaterowie jeść nie muszą, powykreślał wszystkie książkowe kawałki o zdobywaniu

jedzenia, niepomny, że jednocześnie zlikwidował przyczyny odejścia Rona! Mama zawsze miała na tym punkcie hopla i przy każdej książce i każdym filmie nie znosiła nielogiczności i niedopracowanych szczegółów. Właśnie teraz, kiedy zapisuję te słowa, mama kończy oglądać potwornie krwawy film *Wschodnie obietnice* z Viggiem Mortensenem jako ruskim mafioso i warczy pod nosem:

– No i co, jak ta pani z dzieckiem w ramionach wróciła do domu na motorze?!

Tak czy inaczej pierwszy semestr barwnego roku akademickiego 1980/81 dobiegł końca, a drugi rozpoczął się studenckim strajkiem, w którym to tata z mamą oczywiście wzięli udział i oczywiście we właściwy sobie sposób. Przede wszystkim Różyczka zdecydowała się strajkować nie na Matejki, tylko razem ze swoim Robertem w Novum. Kiedy już zwałowali w salach materace i śpiwory, ruszyli każde do swoich zajęć.

Tata… jak myślicie, co robił tata, poza, ma się rozumieć, wymienianiem książek? Otóż rozpoczął cykl wykładów o *Władcy Pierścieni* i w ogóle o Tolkienie. Ci solidarnościowi studenci byli z jednej strony niezwykle żarłoczni na zakazaną czy przemilczaną dotąd wiedzę, z drugiej pragnęli udowodnić całemu Poznaniowi, że strajk to nie bumelka, tylko poważne, uniwersyteckie przedsięwzięcie. Stąd te wykłady, na najróżniejsze zresztą tematy.

Tata zaczął od rodzimego instytutu, ale bardzo szybko okazało się, że głodne kawałki o Mordorze wysyłającym swoje zastępy na wolne ludy Śródziemia nie są bynajmniej zagadnieniem niszowym i jest na nie zapotrzebowanie powszechne. Szybko zatem sprofesjonalizował swoje wykłady i wędrował pomiędzy wydziałami, a brać studencka radośnie biła brawo, kiedy padał co bardziej cytatliwy cytat, zwłaszcza że tata postarał się o bardzo, ale to bardzo charakterystyczne przezrocza. Alan Lee i spółka jeszcze wtedy nie zaistnieli jako tolkienowscy ilustratorzy, więc tata poradził sobie inaczej: do krajobrazów wykorzystał zdjęcia z własnych rozlicznych wędrówek, między innymi za Hobbiton robił Beskid Niski, za Morię – kopalnia w Wieliczce, Lothlórien – Dolina Pięciu Stawów, a Anduinę – przełom Dunajca. Kolekcja ta przetrwała do dzisiaj; dla mnie

osobiście rekordem są ruiny kościoła w Trzęsaczu jako Wichrowy Czub i Jaskinia Mylna w roli Ścieżki Umarłych.

– Popatrz – nabijaliśmy się z taty – nawet im umarli czerwony szlak wyznakowali!

– A jak? – odszczekiwał się tata. – Za przejście tysiąc dwieście sześćdziesiąt punktów, od razu na małą złotą odznakę GOT!

– Ciekawe, co trzeba zaliczyć na dużą złotą? – droczyliśmy się dalej.

– Jak to co?! – Tata nie pozostawał dłużny. – Wycieczkę wielodniową przez siedem punktów pośrednich: Amon Sûl, Karadras, Moria, Amon Hen, Emyn Muil, Cirith Ungol i Orodruina!

– A za wytrwałość też coś było przewidziane?

– Łódka do Valinoru – puentowała z boku mama.

Dalej już szło bardziej patriotycznie: Éomerem był Matejkowski Bolesław Krzywousty (!), szarżę rohańską ilustrowała polska husaria, a wojska Mordoru… no, sami już wiecie, to oczywiste, ofensywa Armii Czerwonej z 1920 roku. Jeśli zaś o Oko Saurona chodzi, poczytajcie sobie sami, jaką notatkę służbową sporządził na ten temat pewien student historii, którą tata miał nieprzyjemność poznać dobre dwadzieścia lat później:

> W dniu 23 lutego 1981 roku Robert Niziołek, II rok filologii angielskiej, przeprowadził w sali C1 wykład o twórczości niejakiego Tolkiena pt. „W krainie Mordor, gdzie zaległy cienie". Podczas wykładu, na który przybyło ok. 150 osób, posługiwał się ilustracjami przedstawiającymi m. in. Plac Czerwony i Kreml. Student Niziołek utożsamiał w ten sposób ww. obiekty z negatywnymi kreacjami występującymi w omawianej powieści.
> Korzystając z okazji pragnę ponownie prosić o założenie mi telefonu.

Autor powyższego jest do dzisiaj profesorem UAM.

Swoją drogą, Oko Saurona i gwiazda na Kremlu… Nie dziwota, że tata w swoim czasie nie mógł ścierpieć latarni morskiej Jacksona, skoro był przywiązany do swojej młodzieńczej wizji…

Działalność mamy była skromniejsza i nie miała takiego rozmachu, co nie znaczy, że Różyczka nie wkładała w nią całej duszy.

Zabrawszy na strajk oprócz śpiwora także gitarę, skrzyknęła silną grupę pod wezwaniem i poczęła z nią pielgrzymować po Novum. Wyglądało to tak: towarzystwo rozsiadało się gdzieś na schodkach i zaczynało od repertuaru patriotycznego typu *Legiony*, *W tę noc wrześniową* czy *Pałacyk Michla*. Specjalnie zaś dla taty, w nieco bardziej intymnych warunkach, tylko wśród przyjaciół, przewidziane było *Wybaczcie piechocie* Okudżawy: „Uczyłaś Ojczyzno, że żyć trzeba umieć i słyszeć twój głos. Mój chłopcze mężczyzno, a jednak niezgorszy przypada ci los…" – od czego wszystkim zgromadzonym momentalnie robiło się miękko.

Potem przychodziła kolej na, rzecz jasna, Jacka Kaczmarskiego.

Napisałam „rzecz jasna", bo Kaczmarskim mama myśli, czuje i oddycha tak jak tata Tolkienem, a porównywalnie z drogim im obojgu Sienkiewiczem. Jeszcze do tego wrócimy, bo stosunek mamy do twórczości Jacka ewoluował i szkoda by było o tym nie opowiedzieć osobno. Na razie był etap *Murów* i *Zbroi*, chociaż proszę nie traktować mamy jako „wyrwijmura"! Zawsze, od samego początku śpiewała ten tekst ortodoksyjnie, z pesymistycznym zakończeniem i ani jej w głowie nie postało, żeby poprawiać mistrza.

Mama miała też w repertuarze cudowne, nie przebite dla mnie przez żadną inną piosenkę *Źródło* czy też śpiewane specjalnie na cześć wuja Anioła *Wykopaliska* i *Lekcja historii klasycznej*. Chociaż nie, wuj Anioł wszedł do rodziny dopiero na pamiętnym strajku grudniowym w następnym roku akademickim. Wtedy to ciocia Beata, wówczas świeżo upieczona, lecz solidnie wyedukowana politycznie przez siostrę i szwagra studentka romanistyki, została poderwana przez pewnego archeologa w sposób następujący:

– Cześć! Jestem Michał. Michał Anioł. Pójdziesz ze mną do chlewa na drożdżówkę?

Chlewem nazywano i nazywa się do dzisiaj barek w Novum, więc forma propozycji cioci nie zszokowała, za to z kolei ona poczuła, że odrzucić jej w żaden sposób się nie godzi z uwagi na meritum…

Na strajku grudniowym repertuar mamy poszerzył się o kolędy, bo nie wykluczano, że święta trzeba będzie spędzić w okupowanych budynkach. Tymczasem 12 grudnia strajk się skończył, a dzień

później mama mogła sobie dośpiewać, tym razem za Janem Krzysztofem Kelusem:

Nie był potrzebny żaden sąsiad
– rodzimej dosyć jest kanalii –
by wytłumaczyć nam na zawsze,
że nie jesteśmy w Portugalii,
żeby przekonać nas raz jeszcze
że może Polak do Polaków,
że nie jesteśmy w Portugalii,
że to nie rewolucja kwiatów...

albo dokończyć *Zbroję*:

Wrzasnęli hasło wojna,
Zbudzili hufce hord,
Zgwałcona noc spokojna
Ogląda pierwszy mord.
Goreją świeże rany,
Hańbiona płonie twarz
Lecz nam do obrony dany
Pamięci pancerz nasz!
Więc choć za ciosem pada cios
I wróg posiłki śle w konwojach
Nas przed upadkiem chroni wciąż
Zbroja!
Zbroja!

[3] Cześć, Brendan. Dużo o tobie słyszałam. Obawiam się, że wreszcie cię poznałam.

Rozdział IV

„Słowem czołgi straszyć", czyli o papierowej amunicji

Zawsze uważałam, że dzisiejsze wydania *Opium w rosole* Musierowicz powinny być gęsto opatrywane przypisami. No bo, miły czytelniku, czy potrafisz powiedzieć, o co chodziło w dialogu z rozdziału datowanego na 13 lutego, w którym to Gabrysia mówi o sąsiadach: „widziałam ich na placu Mickiewicza, całą rodzinę", na co mama Borejko dodaje: „to wspaniali ludzie". Wspaniali, bo poszli na plac Mickiewicza? Ale to jeszcze nic. Borykająca się z cenzurą autorka wprowadziła w swoim czasie kody zupełnie już dziś nieczytelne. Otóż 14 marca uczniowie pozwolili sobie na bulwersujące postępowanie. Zapytani przez nauczycielkę: „Dlaczego wszyscy jesteście ubrani na niebiesko?", odpowiedzieli: „Bo wczoraj była niedziela". Co ma piernik do wiatraka?! Mama długo musiała mi tłumaczyć te zawiłości: że w stanie wojennym licealiści trzynastego każdego miesiąca ubierali się na czarno, wujek Marek oczywiście też. Skoro trzynastego wypadło w niedzielę, to wetowali sobie dzień później, w poniedziałek czternastego. Ale cenzura nie przepuściła pani Musierowicz „na czarno", więc jej bohaterowie musieli poprzestać na niebieskim… Tak samo tajemniczymi półsłówkami zakamuflowany jest los pana Borejki, na którego czeka puste miejsce

(więc nie umarł i nie rozwiódł się), a który „jest w Polsce” (czyli nie na emigracji, a zatem w więzieniu).

Mamę moja ignorancja wcale nie dziwiła; wspominała, że jej samej babcia Kotoń musiała tłumaczyć, kim był facet łażący za Birkutem w *Człowieku z marmuru* i co się z głównym bohaterem w końcu stało.

Jak to dobrze wobec tego, że o mamie i tacie mogę pisać bez cenzury, bo jako prosty Niziołek w żaden sposób bym temu nie podołała.

O stanie wojennym dowiedzieli się nie jak większość Polaków zaraz z rana, bo odsypiali strajk, ale dopiero kiedy przyszli do dziadków Kotoniów na niedzielny obiad. Cała rodzina siedziała przed telewizorem, w którym Jaruzelski gadał swoje. Rodziców zamieniło w słupy soli. Dziadek Kotoń odpalał jednego papierosa od drugiego, kopciła też babcia, będąca teoretycznie na nikotynowym odwyku. Prababcia chlipała, Marek z Beatą szeptali w kącie.

Naraz, przy słowach „awanturnikom trzeba skrępować ręce, zanim wtrącą ojczyznę w otchłań bratobójczej walki”, stała się rzecz niesłychana. Nieskazitelnie dobrze wychowany Robert wysyczał:

– Chuje!…

Aby scenę tę sfilmować, potrzebny byłby mistrz obiektywu i wirtuozeria gry aktorskiej. Najpierw w oczach domowników zawitało bezbrzeżne zdumienie. Po nim logicznie byłoby oczekiwać zażenowania z domieszką niesmaku. Zamiast tego u wszystkich, od prababci (tej, co umiała zrobić coś z niczego) począwszy, na nieletnim Mareczku skończywszy, pojawiło się zrozumienie przemieszane z pełną akceptacją.

Wtedy to pierwszy raz Różyczka usłyszała, jak jej mąż przeklina.

Na drugi musiała czekać trzydzieści lat.

Zaraz kiedy wyszli od dziadków, stanął przed nimi problem zasadniczy: co robić? Pobiegli zatem do dominikanów, a tam kłębił się już tłum im podobnych bezradnych owieczek. Dominikanie wszystkich bardzo elegancko spławiali, to jest, pardon, studzili emocje: ojcowie Alexiewicz i Góra już siedzieli, nikt nie wiedział, co będzie dalej – cóż oni mieli temu stadu zapaleńców powiedzieć, budujcie barykady?

Róża i Robert tedy, lekko obrażeni, postanowili działać sami. Działać, czyli pomagać ofiarom represji. Takąż ofiarą był internowany jako jeden z pierwszych antropolog doktor Henneberg, znany im ze strajku szef uniwersyteckiej Solidarności. Tata miał mieć swój wykład zaraz po nim, a pan Henneberg, żeby było śmieszniej, mówił o rozrodczości człowieka. W pewnym momencie, aby uzmysłowić studentom przebieg cyklu owulacyjnego, rozpostarł ręce i rozczapierzył obie dłonie, robiąc z siebie macicę. Tak barwnej postaci nie dało się zapomnieć, więc tata z mamą, sprawdziwszy w książce telefonicznej, że doktor mieszka tuż koło nich, po drugiej stronie Rynku Jeżyckiego, pobiegli oferować jego żonie wsparcie w postaci delikatesów z paczki Brendana.

– To dla pana doktora od studentów anglistyki i matematyki! – obwieścili z zapałem.

Pani Hennebergowa przyjęła ich bardzo mile i ze świętą cierpliwością zapewniała, że ze wszystkim sobie poradzi. A co miała powiedzieć obcym ludziom, nawet nie studentom męża – macie tu bibułę, poroznoście trochę? Na pożegnanie tata, całując jej dłoń, wstydliwie wyciągnął zza pazuchy małą książeczkę i wręczył ze słowami:

– A to dla pani, ku pokrzepieniu serc…

Książeczką była ni mniej, ni więcej, tylko *Moskwa-Pietuszki*. Ku pokrzepieniu serc, rany boskie!…

Zaraz potem Różyczka do spółki z Becią, Markiem i Michałem Aniołem wpadli na pomysł, że będą śpiewać w tramwajach zakazane piosenki. Na poczekaniu wyprodukowali jedną:

Wróg napadł na Polskę,
zapaskudził ziemię,
a to wszystko przez to,
że Pan Jezus drzemie.
Pan Bóg się obudził,
wielkim głosem wrzaśnie,
niech cię Jaruzelu
jasny piorun trzaśnie!…

Następna zwrotka, ta o chlebie kartkowym, też była jak znalazł. Potrenowali tak sobie do wieczora, leciało tam, że „trzynastego grudnia roku pamiętnego, wykluła się wrona z jaja czerwonego", ale na koniec dziadek Kotoń wziął obie swoje córki na stronę i patrząc im głęboko w oczy, powiedział:

– Marek ma zdać maturę. Rozumiemy się?

Rozumieli się aż za dobrze i pomysł upadł. Do czasu, bo Mareczek i tak walczył z reżimem przy pomocy pieśni. Kiedy jego klasie polecono przygotować akademię na pierwszego maja, młódź wzięła się do tego bez cienia protestu. Pani profesor zaakceptowała repertuar w postaci włoskich pieśni rewolucyjnych. Nie przewidziała tylko maleńkiej przeróbki tekstu, dokonanej przy udziale Beaty, jak by nie było fachowca:

Avanti o popolo, alla riscossa,
Bandiera nostra, Bandiera nostra.
Avanti o popolo, alla riscossa,
Bandiera nostra trionferà.
Evviva la solidarietà e la libertà[4]

Solidarietà zastąpiła *comunismo*, a kiedy wszyscy radośnie ryczeli *Bandiera nostra!* (zamiast *rossa*, ale kto by tam po włosku to wychwycił), piąta kolumna zwiesiła z balkoniku za plecami lekko skonsternowanego grona pedagogicznego flagę Solidarności…

Z inspiracji ciotki Beaty powstał też na moście Teatralnym napis o treści JUNTA JUYE. Calutki tydzień widniał tak ku uciesze przechodniów, zanim ktoś w odpowiednich służbach ruszył głową i odczytał go po hiszpańsku. Pozostaje kwestią otwartą, czy z kolei ciocia Beata działała pod natchnieniem wypowiedzi szwagra…

Natomiast rodzice wzięli się za to, co i tak najlepiej im wychodziło, czyli za szeroko pojętą bibułę, i to nadzwyczaj rozsądnie, jak na poznaniaków przystało, a według najlepszych zasad konspiracji. Ponoć w Krakowie poznawało się, czy ktoś tacha bibułę, po tym, że delikwent zatrzymywał się grzecznie na czerwonym świetle.

W Poznaniu na czerwonym świetle zatrzymywali się wszyscy, metody identyfikacji były inne, inne też były środki zaradcze.

Zaczęli w sposób oczywisty, od mimikry. Najpierw zrezygnowali z czarnych ciuchów i oporników, które wpięli sobie w klapy płaszczy w pierwszym spontanicznym odruchu protestu. A, widzicie, miałam pisać bez grypsów, a któż to dzisiaj wie, o co chodziło z tym opornikiem. To było takie małe coś od prądu, które ze względu na swoją nazwę było substytutem znaczka Solidarności. Jasne?

Po drugie, przy transporcie przerzucili się z czerwonego plecaka taty na opakowania bardziej siermiężne typu torba na zakupy z ziemniakami na wierzchu, zupełnie jak w *Zakazanych piosenkach*. Pierwsze, co robił wtedy każdy patrol, to rewidował delikwentowi plecak. Jeżeli trzeba było przenieść coś wyjątkowo ważnego, a pod ręką był wuj Anioł, stosowano metodę następującą: przodem kroczył szwagier in spe z dekoracyjnie wypchanym ogromnym plecakiem. W pewnej odległości za nim podążali z towarem właściwym Robert i Różyczka, stosując się do instrukcji „udawajcie zakochanych", co przychodziło im bez trudu. Patrol namierzał wuja Anioła, ten teatralnie udawał spłoszonego, milicjanci przystępowali do wybebeszania bagażu, którym okazywały się niewinne podręczniki archeologii, a rodzice w tym czasie skręcali w bok. Cny Michał uwielbiał przy tym wariacje i raz wypakował sobie plecak eksponatami naukowymi w postaci kości z cmentarzyska. I tak zresztą miał je zanieść do Maiusa do analizy, więc tylko trochę nadkładał drogi, idąc z Novum na Fredry przez Żurawią… Dosłownie wlazł wtedy na milicjantów, żeby pół Jeżyc miało radochę, kiedy demonstrował zawartość transportowanych pudeł.

Raz tylko wuj Anioł przesadził. Wracał wtedy do domu na osiedle Bajkowe w, trzeba to wprost powiedzieć, stanie wskazującym na spożycie, a do godziny milicyjnej brakowało bardzo niewiele, całkiem jak w tym makabrycznym kawale. (Zomowiec strzela do przechodnia. Drugi zomowiec pyta: „Co robisz, dopiero za dziesięć dziesiąta!". A pierwszy na to: „Ja go znam, on ma pół godziny do domu!"). Na swoje nieszczęście nie miał ze sobą dowodu. Wuja zatrzymano i zadano mu tradycyjne pytanie:

– Nazwisko?

– Anioł! – obwieścił pogodnie wuj.

– Imię?

– Michał!

Milicjanci zesztywnieli, tym bardziej że wuj na swoją zgubę wydał z siebie radosny rechocik.

– Gdzie obywatel mieszka? – kontynuował milicjant.

– Na Lisa Witalisa. – Wuj dzielnie starał się utrzymać pozycję pionową.

Milicjanci poprawili swoje wyposażenie.

– A niby gdzie to jest? – zapytali groźnie, ale wujowi niestety przepaliły się bezpieczniki.

– Prostopadła do Pana Kleksa, cha, cha, cha!

Dostał równy wpieprz, ale na szczęście wylądował tylko w izbie wytrzeźwień, a nie w jakiejś dużo bardziej ponurej instytucji.

Opowieść ta stanowi żelazny repertuar wszystkich rodzinnych imprez, ale mama nie może tego słuchać, robi się sztywna i zaraz ucieka.

– Czy wy nie rozumiecie – tłumaczyła nam niemal z płaczem – że Michała mogli potraktować jak Przemyka?!

Tak, rzeczywiście, święta prawda. Strach pomyśleć, czym byłoby życie bez naszego ukochanego wuja.

Wracając do drugiego obiegu i wszelkich sposobów uskuteczniania tegoż, mama z tatą wypychali też na potęgę bibułowym towarem samych siebie. Rezultat był taki, że różne znajome ciotki doniosły babci Niziołkowej:

– Oj, służy Robercikowi stan małżeński, służy! Tak się zaokrąglił, że aż na nim ubranie w szwach trzeszczy!…

…i babci Kotoniowej:

– To Różyczka jednak w ciąży? A który to miesiąc?

Czy obie babcie brały te rewelacje za dobrą monetę, nie wiadomo; raczej jednak czuły pismo nosem, tylko postanowiły udawać słodkie idiotki. No przecież musiały zdawać sobie sprawę, szczególnie babcia-polonistka, skąd się biorą ci wszyscy Konwiccy, Nowakowscy, Miłosze, *Raport z oblężonego miasta* i tak dalej…

Swoją drogą metoda „na ciążę” była bardzo dobra, szczególnie zimą, zaś podretuszowanie garderoby dla edukowanej na zetpetach

mamy nie stanowiło wyzwania ponad siły. Rewelacyjne były na przykład spodnie-ogrodniczki z wielką klapą na brzuchu, gdzie słonia dałoby się zmieścić. Albo pelerynka wyciągnięta z kupy ciuchów, które rozdawali dominikanie. W dwa lata później, kiedy mama już naprawdę była w ciąży, wszystkie te rzeczy bardzo jej się przydały, metoda uległa zaś wyrafinowanej modyfikacji. Tata jeździł już wtedy po towar do Warszawy i targał go w normalnej, nierzucającej się w oczy, trochę brzydkiej torbie podróżnej. Mama czekała na niego na stacji Poznań Wschód, wsiadała do pociągu i lokowała się blisko porzuconej na korytarzu torby. Na Garbarach tata wysiadał pierwszy bez bagażu, przebiegał wzdłuż wagonu po to, żeby stanąć przy drugich drzwiach i elegancko zaproponować brzemiennej podróżnej: „Pomogę pani!". Potem w zależności od sytuacji, czyli ilości milicji na dworcu, wracali razem albo osobno.

Po trzecie wreszcie, rozbudowali siatkę odbiorców. Poza starymi kontaktami z rodzimych instytutów, a także prawa i historii, mieli pokaźną pulę swoich uczniów, a jak uczeń okazywał się debilem, to zawsze można było spróbować z jego rodzicami. Swoją drogą, już widzę oczami duszy taką to pikantną scenę: tata przychodzi na korepetycje, zaraz za progiem pani domu, jak pułkownikowa z *Sześciu wcieleń Jana Piszczyka*, wciąga go do buduaru, tata rozpina spodnie… wyciąga bibułę i wręcza zainteresowanej. Pycha!

Piszę tak ciągle bibuła i bibuła, ale przecież wtedy nosiło się też kasety magnetofonowe, oczywiście z Kaczmarskim i Kelusem na czele. Do dzisiaj stoi u nas na półce taśma z piosenkami Kelusa przeplatanymi opowiadaniami Marka Nowakowskiego, bardzo fajnie zrobiona, gdzie jedne były ilustracją dla drugich.

Czas płynął, rodzice kończyli studia, naturalną celebracją było więc sproszenie rodziny do auli uniwersyteckiej na absolutorium. To mamusine, matematyczne, przeszło bez większych ekscesów w dość tradycyjnym rycie, poza tym, że wszyscy natychmiast po uroczystości pobiegli pod Pomnik ułożyć z kwiatów krzyż. Natomiast anglistyczne taty zbulwersowało całe środowisko. Tacie, jako staroście roku, przypadł zaszczyt przemówienia w imieniu absolwentów. Najpierw podziękował solidarnościowym rektorom, potem wszystkim represjonowanym z panem Hennebergiem na czele, by wreszcie

zakończyć okolicznościowym cytatem sami-wiecie-z-czego w wersji oryginalnej – w końcu było to absolutorium anglistów:

> We must walk open-eyed into that trap, with courage, but small hope for ourselves. For, my lords, it may well prove that we ourselves shall perish utterly in a black battle far from the living lands; so that even if Barad-dûr be thrown down, we shall not live to see a new age. But this, I deem, is our duty. And better so than to perish nonetheless – as we surely shall, if we sit here – and know as we die that no new age shall be![5]

Dawna nauczycielka taty, ta, która dawała mu książki po angielsku, zaczepiła na schodach mamę i spytała:

– Wiedziałaś, że Robert będzie miał takie przemówienie?

Na co Różyczka odparowała bez namysłu:

– Ja mu je pisałam!

Była to nieprawda, tylko adiustowała, i to tylko część po polsku, a do cytatu z Tolkiena był wręcz przytwierdzony spiżowy napis: Niziołek mnie wyszukał. Ale mama, „wojowniczka Rohanu", poczuła się urażona, że przypisuje się jej jakieś babsko-oportunistyczne postawy.

Tymczasem na świecie pojawili się kolejno Gośka z Pipem i dzięki temu rodzicom poszerzyły się możliwości. Jak pięknie szmuglowało się nawet całą kupę książek w dziecinnym wózeczku! Najpierw trzeba było tylko wzmocnić nieco dno, przewidziane wszak góra na piętnaście kilogramów, a nie na trzydzieści. W przeciwnym razie mogło się zdarzyć, że cała zawartość, zwieńczona wyjącym potomkiem, wylądowałaby na chodniku. Potem ładnie i metodycznie układało się książki, na nich materacyk obowiązkowo z ceratką, żeby nie zostały broń Boże posikane, i na koniec, na stosie godnym księżniczki na ziarnku grochu moszczono dziecko. Podobno Jasiek wyglądał niezwykle dekoracyjnie na tej piramidzie, usiłując wywiesić się w szelkach na zewnątrz. Z całego serca zazdrościłam im tej kombatanckiej przeszłości.

Ale dzieci siłą rzeczy krępowały operatywność mamy, która dawno już musiała zarzucić wspieranie taty w pociągu. Inna rzecz, że z biegiem lat, kiedy stan wojenny się skończył i rodzicom nie groziły już trzy lata, lecz tylko czterdzieści osiem godzin, ich „proletariacka czujność" osłabła. I bardzo niedobrze.

Był to początek roku osiemdziesiątego siódmego. Tata wracał z Warszawy i tradycyjnie wysiadł na Garbarach, targając ze sobą wypchaną torbę, po czym ruszył do przystanku. Przepisy bhp mówiły, że należy wsiadać obojętnie w co, byle tylko nie stać w miejscu. Tylko że tata był zmęczony i postanowił czekać na swój autobus.

Nagle od dworca ruszyło do niego dwóch milicjantów. Jeszcze wtedy miał szansę – wystarczyło rzucić w diabły cały nabój i nawiewać na Cytadelę. Ale czy Robert porzuciłby książki?! Czekał więc spokojnie w nadziei, że panowie władza przejdą sobie obok, nie interesując się nim.

Podobno w taki sposób łapie się małpy – do tykwy z wąską szyjką wkłada się owoc. Małpa, zaciskając pięść na swoim łupie, nie może wydostać ręki, ale owocu puścić nie chce, bo to jest silniejsze od niej.

Właśnie tak zwinęli tatę. Funkcjonariusze ludowi poprosili go o dowód osobisty; musiał ktoś na niego donieść, bo milicjant tylko zerknął, upewnił się co do imienia „Robert" i było po wszystkim.

Zabrali tatę na Kochanowskiego, spisali protokół i kazali zdjąć obrączkę – sznurowadeł i krawatu nie miał. Obrączka za cholerę nie chciała zejść, więc tata z właściwą sobie uprzejmością poprosił:

– Czy panowie byliby tak łaskawi i użyczyli mi kawałek mydła?

Panowie spojrzeli na tatę jak na głupka, wzruszyli ramionami i rzucili w przestrzeń:

– Trzeba będzie ciąć.

Na takie dictum w tatę wstąpiły zwierzęce siły i determinacja godna Samwise'a Gamgee na ostatniej prostej pod Orodruinę, zdjął obrączkę za pomocą zębów; następnie zgodnie z przywołanymi wyżej przepisami bhp odmówił zeznań i został odesłany na dołek. Tam przez godzinę martwił się o swoją Różyczkę, a potem jako Niziołek praktyczny po prostu postanowił zasnąć.

W tym czasie Różyczka doświadczała sytuacji od drugiej strony.

O godzinie dwudziestej drugiej, kiedy Gośka z Jankiem już smacznie spali, a ona wreszcie mogła sobie poczytać bezdebitowego Hłaskę, zabrzmiał dzwonek. Wyjrzała przez wizjer. Za drzwiami stało trzech facetów, którzy obwieścili:

– Służba Bezpieczeństwa, proszę otworzyć!

Mama otworzyła, przestudiowała legitymacje i wpuściła panów do środka. Co miała zrobić, biedaczka. Panowie funkcjonariusze nakazu rewizji nie mieli, ale mama była na tyle dobrze wyedukowana, że nawet się go nie domagała. Wiedziała, że „w stanie wyższej konieczności" można zrobić rewizję i bez nakazu. Zrezygnowała też ze świadka, bo nie chciała zrazić do siebie sąsiadów. Świadek raz zawołany musiałby siedzieć do końca, czyli być może do rana.

Panowie przystąpili teraz do pracy zaiste syzyfowej, polegającej na wyjmowaniu z półek coraz to kolejnych naręczy książek i skrupulatnym ich segregowaniu. Te zakwestionowane po spisaniu wkładali do wora. Byli przy tym erudytami, bo kolejne pozycje kwitowali z uznaniem:

– Popatrz, to też już wydali!

Nie uchował się i mamusiny Hłasko, bo chociaż był wydany bibliofilsko, identycznie jak legalna edycja Czytelnika, został rozszyfrowany i przechwycony.

Trwało to bardzo, bardzo długo, bo po siedmiu latach pożycia księgozbiór rodziców mógł konkurować spokojnie z mniejszą filią Raczyńskich. Panowie zabrali też legitymacje NZS-u z zaszczytnie niskimi numerami i przeróżne fotografie, w tym Wałęsy karmiącego dziecko kaszką; przewodniczący robił to bardzo fachowo, co doświadczeni rodzice zaraz zauważyli: mianowicie lewą ręką przytrzymywał czółko dziecka, żeby potomek nie miał możliwości ucieczki.

Po kilku godzinach wszyscy trzej faceci mieli już serdecznie dość, ku cichej i zjadliwej satysfakcji mamy, co prawda głośno nie wyrażanej, bo cała procedura odbywała się w atmosferze zimnego zawieszenia broni – oni zachowywali się cicho, nie budzili dzieci i nie wywalali zawartości szaf na podłogę, mama nie jazgotała, nie

mdlała, a nawet na nieśmiałą prośbę jednego z panów podała mu szklankę wody.

Około drugiej w nocy, po zaliczeniu pokoju rodziców, faceci przeszli do sypialni Gośki i Pipa. Zerknęli od progu, zapowietrzyli się nieco na widok regału zawalonego dziecinnymi książeczkami i kupą zabawek, wcale nie rwąc się do przeglądania całego tego bajzlu, tym bardziej że ten największy erudyta zdążył uderzyć się dość boleśnie o biegun konia Amadeusza. W ten sposób ocalały *Dzieła wszystkie* Kaczmarskiego i jeszcze kilka innych pozycji, podczytywanych przez mamę i tatę podczas pilnowania potomstwa, oraz prawie wszystkie kasety, puszczane im przy usypianiu…

Następna w kolejce była kuchnia. Jeden z panów otworzył energicznie górną szafkę i wtedy satysfakcja mamy sięgnęła zenitu, bo z szafki runęła mu na głowę tona „Tygodników Powszechnych", dość niechlujnie tam upchniętych z braku lepszego miejsca.

Facet otrzepał się i ze służbowego obowiązku wyraził jeszcze chęć obejrzenia piwnicy.

– Nie mogłam odżałować – opowiadała po latach mama – że nie trzymaliśmy tam powielacza, drukarni i Bujaka w dodatku! Oni naprawdę robili już bokami i perspektywa wyciągania ze środka starej pralki, wózków, wanienek, naszych rowerów, rowerka Gosi, rur od odkurzacza, łóżka polowego tudzież przestawiania kloszy, skrzynek z narzędziami, słoików z zaprawami po to, żeby dogrzebać się do stojących z tyłu kartonów nie-wiadomo-z-czym, musiała być dla nich nieznośna.

– Czy pani życzy sobie dostarczenia nakazu rewizji? – zapytali na odchodnym.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała mama grzecznie, acz stanowczo, cały czas zgodnie z *Samouczkiem konspiratora*.

Faceci wyszli, dźwigając zarekwirowane książki, z niedoczytanym Hłaską włącznie, a mama spojrzała na zegar. Dochodziła trzecia. Zrobiła sobie kawę, spokojnie odczekała jeszcze piętnaście minut, a potem przeszła piwnicą do sąsiedniej bramy, gdzie był automat telefoniczny. Do rodziców nie dzwoniła, przytomnie uznawszy, że w pierwszej kolejności trzeba zawiadomić tych kumpli, do których esbecy mogą przyleźć zaraz z rana, a miała trzy monety i trzy strzały.

Słodkim głosem obwieszczała kolejno wyrywanym z ramion Morfeusza towarzyszom broni:

– Cześć! Tu Róża. Właśnie wyszła ode mnie SB. Zrób sobie porządek.

Telefony załatwiała w tempie telegraficznym, bo przecież dzieciątka, jak to dzieciątka, mogły się lada chwila obudzić. Są tacy, którzy do dzisiaj wspominają tę niezwykłą pobudkę w wykonaniu Różyczki…

Tymczasem jej drogi mąż w celi na Kochanowskiego zaczynał cierpieć pierwsze męki… no właśnie, zgadnijcie proszę, co Robertowi najbardziej dokopało. Siermiężne spanie? Skądże, prawdziwy harcerz, to jest chciałam powiedzieć hobbit, pryczy się nie lęka. Kibel? To też, a jakże, ale nie w pierwszej kolejności. Jedzenie? Frodo z Samem mieli gorzej. Najgorszy był brak jakiegokolwiek słowa pisanego, toteż tata wprost doczekać się nie mógł, kiedy zawołają go na przesłuchanie, żeby mieć jakiś przerywnik. Kiedy wreszcie to nastąpiło, jak mógł gimnastykował się, żeby nic nie powiedzieć, ale wątpliwą tę rozrywkę maksymalnie przedłużyć. Z całą pewnością pomagał mu w tym jego barokowy sposób wysławiania się. Dialogi brzmiały zatem mniej więcej tak:

– Skąd pan miał książki, które przy panu znaleźliśmy?

– Wybaczy pan, ale tą informacją nie będę mógł panu służyć.

– Z jakich źródeł pochodziły wydawnictwa zakwestionowane u pana w domu?

– Pozwoli pan, że tę informację zachowam dla siebie…

Wersal, psiakrew! Kiedy zarzucaliśmy tacie, że przesadził trochę z tymi dobrymi manierami w stosunku do esbeków, tylko się uśmiechał.

– Pamiętajcie, który to był rok – tłumaczył. – Końcówka. Wy sobie wyobrażacie UB i SB przez pryzmat lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych. Pewnie, że i w osiemdziesiątym dziewiątym jeszcze ginęli ludzie. Ale te kilka książek to była pestka, drobiazg. Oni już tylko udawali, że nas gonią, my udawaliśmy, że uciekamy.

Kilka książek… Skromny jak zawsze…

Na zakończenie przesłuchania tata zwrócił się do esbeka:

– Czy byłby pan tak dobry i pożyczył mi do przeczytania gazetę?

Facet zgłupiał i tata odszedł z partyjną „Gazetą Poznańską” pod pachą. Przeczytał wtedy wszystko od deski do deski trzy razy, włącznie z ogłoszeniami drobnymi i stopką redakcyjną.

Oni musieli zgodnie z regułami gry potrzymać tatę te dwie doby, więc następnego ranka wezwali go znowu. Tata konsekwentnie odmówił zeznań, więc pan spróbował inaczej:

– A pan jest wierzący, prawda? Chodzi pan do kościoła? Proszę mi wobec tego powiedzieć, co motywuje pana do takich wyborów?

Na co tata, twardo trzymając się *Samouczka*, odpowiedział:

– Chętnie bym z panem porozmawiał na te tematy, ale nie w obecnej sytuacji.

Dwuznaczność tej riposty zauważył dopiero po ładnych paru latach, kiedy na jaw zaczęły wychodzić coraz to kolejne przypadki, ujmijmy to łagodnie, gadatliwości różnych osób.

– Byłem idiotą – stwierdził samokrytycznie. – Przecież moja odpowiedź, zaprotokołowana wiernie, mogła wyglądać w ten sposób: gość chce rozmawiać, ale na neutralnym terenie…

Dokładnie w czterdzieści osiem godzin od zatrzymania został wypuszczony i jak na skrzydłach pognał do swojej stęsknionej Różyczki. W domu czekał na niego komitet powitalny złożony z delegacji Kotoniów i Niziołków, który nie odpuścił, nim nie dowiedział się wszystkiego od A do Z. Wszyscy zgodnie żałowali książek, ale tacie już zaczął świtać pewien pomysł.

Mianowicie czekało go jeszcze kolegium do spraw wykroczeń, które potraktował jak pole ostatniego starcia. Otóż w trakcie posiedzenia przydzielony mu przez Region Solidarność adwokat zażądał zwrotu zarekwirowanych z domu pozycji, jako trzymanych prywatnie i kolekcjonersko.

Nastąpił wtedy precedens: kolegium, owszem, przywaliło tacie grzywnę, ale jednocześnie orzekło zwrot wszystkich pojedynczych egzemplarzy.

Niestety, ostatnie słowo należało do zdychającej SB. Po dłuższej korespondencji, w której tata dopominał się realizacji orzeczenia, na wiosnę osiemdziesiątego dziewiątego przyszła odpowiedź ostateczna: „Może nas pan w d… pocałować. Książek nie oddamy, bo

już dawno temu zostały zniszczone. Możesz się pan ewentualnie zgłosić po zwrot ich wartości”.

Tata z mamą przełknęli jakoś tę pigułkę, bo księgozbiór przez minione dwa lata i tak został w dużej mierze odbudowany. No i mieli już wtedy co innego do roboty…

[4] Ruszaj, ludu na ratunek! Nasza flaga zatriumfuje, niech żyje wolność i solidarność!

[5] „Musimy z otwartymi oczyma wleźć do pułapki, odważnie, bez wielkiej nadziei na własne ocalenie. Bardzo wydaje się prawdopodobne, że zginiemy w boju z ciemnością, w krainie cieni, z dala od ojczyzny i przyjaciół; nawet jeżeli Barad-dûr rozsypie się w gruzy, my nie dożyjemy może nowych, lepszych czasów. Mimo to uważam, że obowiązek nakazuje nam tak właśnie postąpić. Zresztą lepiej zginąć w ten sposób niż inaczej, bo zguba nieuchronnie spotkałaby nas i tak, gdybyśmy bezczynnie tutaj czekali, ale wtedy ginęlibyśmy wiedząc, że nowy, lepszy dzień nigdy nad światem nie wzejdzie” (tłum. Maria Skibniewska). Nawiasem mówiąc, strasznie ozdobne jest to tłumaczenie pani Skibniewskiej, nieprawdaż? Oryginał o połowę krótszy!

Rozdział V

Gośka

Dzieje rodziny Niziołków, aczkolwiek zawsze związane z książkami, nie kręciły się jednak tylko wokół polityki i bibuły. Musimy zatem cofnąć się w czasie tak pi razy oko do roku osiemdziesiątego czwartego. Wtedy to, jak wiemy, mama z tatą skończyli studia i „czy to z dobrej woli, czy pod przymusem" kontynuowali tradycje domowe „cudze dzieci ucząc". Mamie trafiła się szkoła podstawowa na rodzimej Wildzie, tata wylądował w technikum mięsnym na Winogradach. Wtedy to nastąpiły dwa ważne wydarzenia.

Po pierwsze, Robert z Różą uznali, że nastąpił dobry moment, żeby postarać się o dziecko. Przez ostatnie trzy lata, jak przystało na oczytanych katolików, robili dobry użytek z książki *Naturalna regulacja poczęć*. Teraz również zrobili z niej użytek *à rebours* i zawiadomili oba klany o spodziewanym na jesieni powiększeniu rodziny.

W tym samym czasie dziadkowie Niziołkowie dostali długo wyczekiwany przydział na mieszkanie na osiedlu Związku Walki Młodych. Jeżeli chcielibyście wiedzieć, gdzie to było, odpowiem wam jak wuj Michał: między Związkiem Młodzieży Socjalistycznej a Związkiem Młodzieży Polskiej. Komu na początku lat osiemdziesiątych odbiło z takimi nazwami, nie mam pojęcia. W każdym razie szczere Niziołki zaproponowały Róży i Robertowi wspólną przeprowadzkę do nowego M6 pod hasłem „dziecko będzie miało centralne ogrzewanie i ciepłą wodę". Na ulicy Żurawiej nie było

ani jednego, ani drugiego, był za to kibelek na półpiętrze (w którym po prostu cudnie się czytało), co zajętym swoim małżeństwem i transformacją ustrojową rodzicom wcale nie wadziło.

Mama z Niziołkami miała bardzo dobre stosunki, więc nie widziała przeciwwskazań. Jednakże wtedy wkroczyła ciocia Beata, od kilku miesięcy Aniołowa, mieszkająca w domu rodzinnym męża na Lisa Witalisa. Wzięła Roberta na stronę – Roberta właśnie, nie rodzoną siostrę! – i poczęła mu wybijać ten pomysł z głowy.

– Starzy Michała są w porządku – klarowała szwagrowi – ale to ich dom i to oni o wszystkim decydują. Kiedy zmywać. Jak zmywać. Najpierw wszystko w misce z ciepłą wodą, bez Ludwika, bo Ludwik szkodzi, potem spłukać w zimnej wodzie z octem, żeby błyszczało. Wytrzeć od razu, nie może stać na suszarce. Michał zaczyna już mieć wszystkiego dosyć. Chcemy prysnąć do Gołuchowa, jest tam etat dla archeologa, a ja przejdę na zaoczne. Zastanów się, wy do tego wszystkiego będziecie mieli dziecko. Jesteś człowiek rozsądny, co ci mam dużo gadać. Nie rób tego Róży…

Tata przemyślał i podstępnie podsunął dziadkom anons z „Głosu”: „Zamienię dwa dwupokojowe mieszkania na jedno duże”. W rezultacie, po urzędniczym kociokwiku godnym kamery Barei, zamiast na ZWM wylądowali ma Manifestu Lipcowego na miesiąc przed urodzeniem potomka.

Wtedy, gdy już ułożyli wszystkie książki na półkach (skąd my znamy ten motyw?), mogli spokojnie przedyskutować imię dla dziecka. Mama, jak wiemy, miała niegdyś sentyment do imienia Krzysztof pod wpływem lektury Kubusia Puchatka, a utrwalił owe inklinacje niejaki Krzysztof Dowgird, polski szlachcic i pruski oficer. Tata, zupełnie jak ojciec z *Przyślę Panu list i klucz*, miał plany zupełnie inne, dokładnie sprecyzowane i granitowo niezmienne. W przypadku syna w grę wchodził praktycznie tylko Boromir, bo tata pomimo swojego szaleństwa nie brał pod uwagę Estela czy Berena. Córka natomiast miała być Galadrielą i koniec.

Różyczka była tak zakochana w swoim Robercie, że zgodziłaby się na wszystko. Poza tym jako mądra kobieta wiedziała, że matce imię dziecka jest obojętne (Gala? Galusia? Czemu nie!), za to mężczyzna musi mieć zaczepienie w idei. Babcia polonistka wprawdzie

próbowała przebąkiwać, że „Galadriela Niziołek” będzie stanowiła oksymoron, ale tata nie dawał się przekonać.

– Skoro Pippinowi wolno było nazwać swojego syna Faramirem, to i ja mogę mieć córkę Galadrielę!

Faramir Tuk… Faktycznie, nigdy na to tak nie patrzyłam. Oksymoron z cenzusem…

Zgodnie z zapotrzebowaniem córka urodziła się o czasie i wtedy zaczął się rodzinny plagiat numer jeden. Mianowicie obwieszczono mamie z ponurymi minami, że mała ma za dużo białych ciałek i zabierają ją na oddział patologii noworodka. Złowroga nazwa oddziału niech będzie usprawiedliwieniem dla babci Kotoń, która nic nikomu nie mówiąc, skontaktowała się ze znajomą położną i poprosiła ją o ochrzczenie dziecka. Po cichutku, żeby Różyczka się nie denerwowała. Położna rychło prośbę spełniła i ochrzciła maleństwo osobiście, z wody, pierwszym imieniem, jakie jej przyszło do głowy: Małgorzata. A dzień później okazało się, że w laboratorium pomylono wyniki i matka z noworodkiem mogą iść do domu.

Wtedy babcia musiała się przyznać do faktów dokonanych. Dobre wychowanie taty zostało wystawione na bardzo ciężką próbę, przy czym targały nim klasyczne sprzeczne uczucia, jak w tym kawale, kiedy teściowa spadała w przepaść w nowym samochodzie zięcia. Był szczęśliwy, że dziecko jest zdrowe i nic mu już nie grozi, jednocześnie zły na babcię za przekroczenie kompetencji, ale doskonale świadomy, że nie wypada mu tej irytacji okazać. Przy czym traktował chrzest poważnie i w głowie mu nie postało, że mógłby się uprzeć i zarejestrować w urzędzie dzieciaka po swojemu.

Z kolei sprzeczne uczucia Róży polegały na tym, że zasadniczo wolała Gosię od Galusi, jednakże burza hormonów zrobiła swoje i jedno, co czuła, to wściekłość, że wszystko odbyło się tak po cichu i poza ich plecami.

Dopiero babcia Niziołek polała oliwę na wzburzone fale:

– Kochani – powiedziała niezwykle roztropnie – przecież Małgorzata to Perła. Perełka Niziołek. Czego wam jeszcze trzeba?

Rodziców zatkało. Rzeczywiście, o tym nie pomyśleli, a zestawienie było po prostu genialne! Zresztą w kilka dni później, czyli pod koniec

października osiemdziesiątego czwartego, mieli zupełnie, ale to zupełnie coś innego na głowie i kwestia imienia stała się drugorzędna.

Tak czy inaczej ulubionym powiedzonkiem taty stało się „moja Perełko", które lubiliśmy z Jaśkiem przedrzeźniać, wyśpiewując je na melodię *Lulajże Jezuniu*.

Oczywiście rodzice czytali swojej Perełce od kołyski, a na rezultaty długo nie trzeba było czekać. Gośka bowiem odziedziczyła po mamie manię naśladowania bohaterów, a dysponując jednocześnie żelazną wolą, wszelkiego rodzaju przedstawienia doprowadzała do perfekcji.

Pamiętacie konia Amadeusza, o którego uderzył się przeprowadzający rewizję esbek? Jego imię też było wymyślone przez Gośkę; usłyszała, jak mama z tata rozmawiają o filmie Miloša Formana i chociaż ledwo umiała to powtórzyć, koń został Amadeuszem. Koń ów miał do odegrania ważną rolę w najwcześniejszym chyba przedstawieniu: trzyletnia Gosia zakładała na głowę pieluchę, na ręce brała lalkę zwaną Jezuskiem i wsiadała na osiołka. Dwuletni Janek-Józef biegał obok i w ten oto sposób odbywała się ucieczka do Egiptu. Inspiracją była pięciotomowa *Biblia dla dzieci* z obrazkami przesłodzonymi, że aż zęby bolały, ale do dziecięcej wyobraźni trafiająca bardzo dobrze; żelazna lektura przy każdym jedzeniu i zasypianiu. Kiedy się urodziłam, była już tak zniszczona, że kupiono dla mnie drugi zestaw, ale ten pierwszy, cały w strzępach, Gośka ukryła przemyślnie u siebie, żeby tylko komuś nie wpadło do głowy go wyrzucić.

Drugim domowym hitem był *Krecik w mieście*. Niesłychanie dramatyczne opowiadanie o zwierzątkach, którym wyrąbano las, spowodowało, że Gośka i Pip panicznie wprost bali się wszelkiego rodzaju koparek i spychaczy. Jednocześnie pasjami zabawiali się w ratowanie wszystkich swoich pluszaków przed… odkurzaczem. Codziennie odbywał się ten sam rytuał: mama wyciągała odkurzacz, a moje ukochane rodzeństwo rzucało się z kwikiem i przenosiło biedne zwierzątka w bezpieczne miejsce, czyli z półki na półkę.

– Jeszcze wiewiórka! Podaj kaczuszkę, prędzej! – poganiała energicznie braciszka Gośka. – Ratunku! Już tu jest!

Uwielbiali się tak straszyć, zupełnie jak Smyk i Jem z *Zabić drozda*, kiedy bawili się w Dzikiego Radleya.

Następne w kolejce było, zgodnie z klasycznym spisem lektur dziecięcych, *W pustyni i w puszczy*. Tata czytał im to wieczorami, odrobinę tylko cenzurując największą makabrę, jak na przykład opis zwojów mózgowych zastrzelonego wobo. Tu mała dygresja: był to czas, kiedy rodzice dali posłuch propagandzie, żeby nie dawać dzieciom militarnych zabawek. W związku z tym w domu nie było żadnych strzelb, pistoletów i tym podobnych śmiercionośnych narzędzi. Któż by jednak powstrzymał Gośkę? Najpierw przygotowała scenę: rolę lwa odgrywał ogromny pies Gryzoń, Beduinami zaś były lalki, znany nam już Jezusek i druga o dźwięcznym imieniu Ferdydura. Nie muszę w tym miejscu tłumaczyć nikomu, skąd się ono wzięło ani kto je wymyślił.

Gośka wcisnęła bratu w łapki mamusiną lokówkę i zachęciła czynnie, acz niezgodnie z tekstem kanonicznym:

– Zabij! Zabij go!

Janek z bojowym wrzaskiem runął do przodu, zakłapał lokówką, lew-Gryzoń fajtnął dekoracyjnie, a Gośka wskazując lalki, kontynuowała:

– Teraz ich! Jeszcze tego! On się ciągle rusza!

Nie było jeszcze wtedy z nami jamniczki Funi, więc należało zrobić szybką roszadę, zupełnie jak Dyna: błyskawicznie zmartwychwstały Gryzoń zatopił kły w gardle Ferdydury jako Saba i nastała złowróżbna cisza. Dopiero teraz Gośka mogła oddać hołd Sienkiewiczowi i rozedrzeć się jak syrena okrętowa:

– Och Stasiu, Stasiu! Aaaaaa! – bez porównania lepiej niż obie filmowe Nel.

W tym momencie mama powiedziała sobie:

– Dosyć. Mam gdzieś to książkowe teoretyczne wychowanie. Jutro idę im kupić porządną strzelbę. A na Gwiazdkę dla obojga po kowbojskim komplecie.

Bez trudu przekonała tatę, a potem długo opowiadali sobie o swoich dziecinnych pistoletach na koperytka, czyli kapiszony po poznańsku, zaśmiewając się jak wariaci. Mama, jak pamiętamy, chciała być chłopakiem i rycerzem, czytała Niziurskiego i Bahdaja,

a do Siesickiej miała stosunek więcej niż chłodny, nie dziwota więc, że pistolet, szabla i łuk były jej normalnym wyposażeniem. Tata z kolei wspominał całkowicie nielegalny i wyklęty proceder podkładania koperytek pod tramwaj. Ładnie się zabawiał ten grzeczny Robercik!

W tym czasie przeprowadzili się po raz drugi i jak na razie ostatni. Ostatni, bo mama twierdzi, że po dziś dzień, kiedy widzi wyrzucony na śmietnik ładny karton (ładny, to znaczy dobry do transportu książek), ma ochotę go sobie zabrać. Po czym udziela fachowej rady, że na książki najlepsze są kartony po bananach: odpowiedniej wielkości, twarde i można złapać za dziury po bokach. Kartony na książki bowiem nie mogą być za duże, opakowania po pralkach czy telewizorach odpadają, bo zawartość wylatuje dołem, jak Okrętce i Teresce z *Ducha* Chmielewskiej.

Tak się bowiem złożyło, że kiedy tylko w osiemdziesiątym dziewiątym wykupili swoje mieszkanko na Manifestu, nie doczekawszy nawet przemianowania osiedla na Armii Krajowej, zgłosili się do nich z propozycją zamiany dalecy znajomi z Wildy, z ulicy Pamiątkowej. Dla tamtych było wartością mieszkanie własnościowe blisko córki, a rodzice zachłysnęli się wildeckim metrażem – sto dziesięć metrów kwadratowych! Ileż to miejsca na książki!

Na Pamiątkowej było niezwykle miłe podwóreczko, na którym z pomocą dziadka Niziołka zainstalowano małą piaskownicę i w ten sposób stworzono dla dzieci wybieg na tyle bezpieczny, że mama w tym czasie mogła się zająć garami albo wbijaniem do głów co bardziej tępej młodzieży szkolnej tajników matematyki.

Wtedy to moja siostrzyca zabrała się za rodzinnego klasyka numer jeden, czyli mistrza Tolkiena. Nie trzeba nikomu mówić, że *Władcę* i *Hobbita* w wersji opowiadanej znali oboje z Jankiem od pieluch, wersję czytaną poznali niewiele później. Kiedy zatem zostali wyprawieni na dwór, piaskownica zamieniła się w pola Pelennoru ze wzniesionym obok elegancko wielopoziomowym Minas Tirith. Mama zerkała co chwila przez okno kuchni; wszystko było w porządku. Najpierw Białe Miasto zostało obrzucone piaskowymi kulami. Z górnego poziomu popatrywał święty Krzysztof w białej szacie

z Dzieciątkiem na ręku w roli Gandalfa i Pippina. Plastikowy dinozaur pełniący rolę Nazgûla – tak nawiasem mówiąc, genialna antycypacja Gosieńki – rzucił się na nich, ale w tym momencie Gośka zagrała na trąbce. Na odsiecz pośpieszyła armia Rohanu w postaci żołnierzyków asortymentu mieszanego, od księcia Witolda na białym koniu (Éomer) począwszy, na Indianach (konnica Zachodniej Bruzdy) skończywszy. Z impetem starli się z porcelanową kolekcją słoników, bardzo dobrze nadających się na mûmakile. Dinozaur zmienił zdanie i lotem koszącym zmiótł husarza (król Théoden), po czym zaczął go trącać ryjem.

„Ach, jak się dzieci ładnie bawią" – pomyślała sobie mama i przeszła na chwilę do łazienki, bo rozwój akcji pozwalał mieć nadzieję na co najmniej piętnaście minut spokoju. Nagle zabrzmiał dzwonek. W drzwiach stała trzymająca się za serce sąsiadka.

– Pani Różo – wyszeptała tragicznie – proszę prędko za mną, z pani dziećmi coś niedobrze…

Mama runęła do wyjścia i zaraz na podeście do piwnicy zastała Gośkę i Jaśka, czołgających się z jękiem po schodach.

– Ja już nie mogę – rzęziła Gośka – już nie mogę, Sam. Pomóż! Trzymaj mnie za rękę!

Co się stało? Po prostu zaczął padać deszcz. Gosieńka, jak każdy rasowy reżyser zmieniła plenery na studio i przeszła do sceny podejścia pod Orodruinę. W sumie dobrze, że im przerwano, bo co jak co, ale drobny, typowo hobbicki Janek w żaden sposób nie udźwignąłby na barana pana Froda, wyższego od niego o pół głowy i cięższego o dobrych parę kilogramów. A jak znam życie, Gośka próbowałaby go do tego zmusić, polecieliby oboje po tych schodach aż miło i dopiero by sąsiadka miała satysfakcję!…

Nieco później, kiedy poszli do szkoły i Pip wyzwolił się spod wpływu siostry (o czym w następnym rozdziale), Gosia zaczęła działać na własny rachunek. Przy czym okazało się, że wraz z manią inscenizacyjną odziedziczyła po mamie talent do robienia sobie kłopotów, i to z nawiązką, dając tacie okazje do wielu interesujących interwencji. Mama bowiem kategorycznie odmawiała chodzenia na nasze wywiadówki, twierdząc, że ona ma tego dosyć u siebie

w szkole, a tata w tamtych czasach nauczycielstwo już porzucił i założył własne maleńkie wydawnictwo.

Gośka najpierw podpadła pani katechetce, kiedy ta zapytała, kiedy urodził się Pan Jezus.

– Około siódmego roku przed Chrystusem! – zaraportowała ochoczo.

– Dziecko drogie, my tu się w takie nowinkarstwo nie będziemy bawić – stanowczo ucięła pani i zainteresowała się: – A kim są twoi rodzice?

– Mama jest nauczycielką – pośpiesznie odpowiedziała Gosia.

– A tata? Też nauczycielem?

– Nieee – przeciągnęła Gośka – mój tata… – przerwała na chwilę, żeby pomyśleć, jak nazwać nowy fach taty – mój tata jest dyrektorem!

Kiedy rodzice usłyszeli o tym incydencie, zakwiczeli radośnie, bo końcówka dialogu była jak żywcem wzięta z *Poszukiwanego-poszukiwanej* Barei. Tata jednak stwierdził, że porozmawia sobie z panią, i wybrał się do niej wyposażony w odpowiednią literaturę, między innymi *Pismo Święte* z komentarzami Księgarni Świętego Wojciecha. Chyba wstrząsnął jej pewnością siebie, ale od tego czasu pani miała na Gośkę oko.

Tuż przed Pierwszą Komunią odbyły się rekolekcje. Rekolekcje jak rekolekcje, nikt nie oczekiwał cudów; nikt oprócz Gośki, która tradycyjnym ich scenariuszem poczuła się nieco rozczarowana. W drodze z kościoła Zmartwychwstania do szkoły przy Traugutta, gdzie dzieci miały produkować plakat „Jak pomagam rodzicom”, nasza Perełka wymyśliła dalszy ciąg. Kiedy część klasy została zaprowadzona na obiad, skrzyknęła kilka koleżanek i razem na paluszkach zeszły do szatni, do piwnicy. W ostatnim, najciemniejszym kącie znajdowała się kotłownia. Tam Gosieńka zadysponowała odtworzenie sceny wrzucania Izraelitów do pieca przez króla Nabuchodonozora – samo imię brzmiało wystarczająco niesamowicie, żeby koleżanki zgodziły się na wszystko. Każda miała powtarzać: „Nie zaprę się”, po czym wpychano ją w głąb kotłowni. Kiedy jednak przyszła kolej na Natalię, ta rozmyśliła się i narobiła wrzasku pomimo perswazji Gośki:

– Nie drzyj się, nic ci nie będzie. Tylko twoja wiara musi być dostatecznie silna.

Krzyki sprowadziły na dół katechetkę, która zastygła ze zgrozy, a potem wezwała na pomoc siłę fachową w postaci pani pedagog.

Gośka przyszła do domu z uwagą w dzienniczku o treści: „Wzywa się natychmiast rodziców do szkoły w związku z używaniem przez córkę przemocy". Mama powiedziała, że ona nie może się denerwować, bo karmi, i poszła poprawiać sprawdziany. Tata skrupulatnie przepytał Gośkę, starając się cały czas utrzymać niewzruszoną powagę, ale w końcu nie wytrzymał i zaczął rechotać, ku rozczarowaniu i zgorszeniu zainteresowanej.

Następnego dnia pomaszerował do szkoły wyposażony w dwa teksty źródłowe: brewiarz z rozpiską niedzielnych czytań oraz… no, drogi czytelniku, czy zgadłeś już, czym była druga pozycja? Dla ułatwienia powiem, że jej tytuł padł już w tym rozdziale. Jeżeli nie, posłuchaj, co działo się dalej.

Tata najpierw wytłumaczył wszystkim paniom, to znaczy wychowawczyni, katechetce, pedagog i psycholog, bo takie gremium zgromadziło się, aby przeciwdziałać przemocy w wykonaniu dziewczynki z drugiej klasy, że w ostatnią niedzielę czytany był rozdział trzeci Księgi Daniela o trzech mężach żydowskich, którzy nie chcieli oddać pokłonu złotemu posągowi.

– Małgosia uczestniczy w każdej mszy, jak pani wie – spojrzał katechetce głęboko w oczy – należy więc jej poczytać za zasługę, że tak doskonale zapamiętała czytanie, które niejeden dorosły puszcza mimo uszu, nieprawdaż? – I ponownie bardzo znacząco popatrzył na audytorium.

– Ale ten jej karygodny wybryk! – zaczęła pani psycholog. – Mamy w szkole program przeciwdziałania przemocy!…

– Moje miłe panie – tata był doskonale świadomy, że od jego taktu zależy los Gośki, więc roztoczył wszystkie swoje wdzięki. Mama na jego miejscu już przegryzłaby gardło przynajmniej dwóm babom. – Może panie będą łaskawe prześledzić razem ze mną, skąd Gosia wpadła na pomysł tak niezwykle budującego przedstawienia. – Położył na stole powieść Harper Lee *Zabić drozda*, otworzył ją zaraz na początku części drugiej i przeczytał odpowiedni fragment: „Eunice

oświadczyła, że już nie chce się bawić w króla Nabuchodonozora – Jem Finch jej obiecał, że ona na pewno się nie spali, jeśli jej wiara jest dostatecznie silna".

– Teraz już panie rozumieją, prawda? – Uśmiechnął się zniewalająco, jak Robin Williams w *Patch Adams* (tata w ogóle im był starszy, tym bardziej robił się podobny do Robina Williamsa). – Gosia czytała tę książkę i nawet użyła dosłownego cytatu… Panie oczywiście też znają *Zabić drozda* – zawiesił głos dla lepszego efektu i tym razem zatopił się w spojrzeniu pani pedagog – tę ponadczasową klasykę o dorastaniu i ludzkiej godności. A pani – to było do katechetki – na pewno pamięta niezapomnianą kreację Gregory'ego Pecka w filmie pod tym samym tytułem…

To już było z taty strony wyrafinowane świństwo, bo film pochodził z roku 1962, a pani katechetka była niewiele od niego starsza. Poza tym dużo ryzykował. Gdyby któraś z pań naprawdę czytała *Zabić drozda*, mogłaby zripostować, że powieść o gwałcie absolutnie nie jest lekturą dla drugoklasistki. Choćby i główna bohaterka była dokładnie w tym samym wieku.

Żebyście sobie nie pomyśleli, że dzieciństwo mojej siostry upłynęło pod znakiem walki z Matką Kościołem, opowiem wam historię pozytywną, oczywiście też związaną z literaturą.

Było to na jednej z mszy dziecięcych; rodzice uczestniczyli w nich skrupulatnie razem z Gośką i Pipem, ale mówmy sobie prawdę w oczy, nudzili się na kazaniach setnie i stąd wzięło się ich rozproszenie i brak czujności. Otóż przeuroczy ksiądz Daniel zszedł do dzieci z przenośnym mikrofonem i zapytał:

– Kto wie, dlaczego klasztor jasnogórski obronił się przed Szwedami?

Doprawdy, rodzice mogli przewidzieć, co się będzie dalej działo.

Gośka jelenim susem znalazła się przy księdzu, wyrwała mu mikrofon i gromko obwieściła:

– Bo Kmicic wysadził kolubrynę!

Trzeba oddać księdzu Danielowi, że miał błyskawiczny refleks i zatkało go tylko na sekundę. Potem, przechyliwszy się swobodnie, bo raz zdobytego mikrofonu Gośka nie miała zamiaru oddać, zaproponował:

– Opowiesz nam, co działo się dalej?

Tego tylko Gośce było trzeba.

– Kmicica złapali Szwedzi i przypiekali go na ogniu, ale on uciekł i poszedł do króla, a potem przeprowadził króla przez góry, a Szwedzi nie mogli już dłużej walczyć i musieli odejść i potem wypędzili ich z całej Polski i król ogłosił, że od teraz Matka Boska będzie królową Polski…

Było to z całą pewnością jedyne kazanie w naszej parafii wygłoszone przez kobietę. Cóż, jak by powiedzieli tradycjonaliści, takie są skutki modyfikacji liturgii.

Nawiasem mówiąc, kiedy księża przychodzili do nas po kolędzie, moje starsze rodzeństwo robiło ciche zakłady, jaka będzie pierwsza fraza: „Pan z wami" czy „Ooo, ile książek". Ksiądz Daniel był tym jedynym, który po wejściu do pokoju powiedział: „O, mapa Śródziemia". Nie wszystkie ściany w naszym domu były bowiem zajęte przez półki z książkami; na tej jednej wolnej, a właściwie jej części, na magnetycznej podkładce wisiała ogromna, kolorowa mapa Śródziemia. Regularnie przypinaliśmy do niej widokówki i zdjęcia z naszych wypraw, przez co mapa żyła i zmieniała się razem z nami.

Ostatni konflikt Gośki ze zwierzchnością kościelną miał miejsce podczas przygotowań do bierzmowania. Było to w czasach, kiedy nasza rodzina oszalała na tle kryminałów Ellis Peters o bracie Cadfaelu; przy okazji pobytu u Brendana odwiedziliśmy Shrewsbury, Gwytherin i Holy-well. Jako że byłam wtedy jeszcze bardzo mała, pamiętam właściwie tylko źródło świętej Winifredy, które – powiem wam to na ucho – przez jakiś czas na mapie Śródziemia ilustrowało Rivendell. Gośka już wtedy mówiła trochę po walijsku, nie dziwota więc, że kiedy przyszło do wyboru imienia do bierzmowania, bez namysłu wybrała Winifredę. Na polecenie księdza napisała długie, na pewno najdłuższe w klasie wypracowanie na temat „Żywot twojego patrona", tak erudycyjne, że aż się z niego wylewało. Pewnie dlatego ksiądz w ogóle dobrze go nie przeczytał, tylko z punktu zakwestionował wybór:

– Nie ma sensu wybierać sobie jakiejś legendarnej świętej z końca świata!

– Wcale nie bardziej legendarna niż nasz święty Stanisław! – zaperzyła się Gośka. – Jak on mógł zrosnąć się z kawałków, to i Winifredzie święty Beuno mógł przyprawić głowę!

– Chodzi o to, że powinnaś wybrać świętą z naszego kręgu kulturowego – uparł się ksiądz.

– To jest mój krąg kulturowy! Byłam w Walii! Najlepszy przyjaciel mojego taty stamtąd pochodzi! Uczę się walijskiego!

– Ale ty jesteś Polką, prawda? To masz wziąć sobie polską świętą i koniec! – uciął ksiądz.

Gośka nakablowała oczywiście na niego w domu, ale tym razem tata odmówił interwencji.

– Kto przetrzyma kurs do bierzmowania, tego żadna siła piekielna nie zmoże – powiedział cynicznie. – Próba wiary.

Moja siostrzyczka zatem skrupulatnie przejrzała listę wszystkich polskich świętych i błogosławionych, włącznie z tymi, które papież miał beatyfikować dopiero tego roku, i doszła do wniosku, że żadna jej się nie podoba. Chociaż zasadniczo obce jej były mamusine ciągoty do bycia rycerzem, jednak w danym momencie szukała kogoś na miarę siły woli i charakteru Joanny d'Arc. Wreszcie wpadła jej w oko niejaka Benigna z Trzebnicy, chyba z uwagi na takie trochę tolkienowskie imię. Poza tym kojarzyło jej się pozytywnie z Enigmą. Wyczytała sobie, że „żywot św. Benigny, dziewicy i męczennicy jest prawie nieznany; tradycja podaje, że zginęła śmiercią męczeńską w 1241 lub 1259 roku podczas najazdu Tatarów". To jej się spodobało, usiadła i napisała świętej Benignie życiorys jak się patrzy, uznając poniekąd słusznie, że skoro mógł Kadłubek świętemu Stanisławowi, to wolno i jej.

Mój Boże, czego tam nie było…

Zaczęła według receptury Ellis Peters: Benigna miała być córką bogatego i ambitnego rycerza z Kujaw, który zapragnął ożenić ją z… tu Gosieńka zawahała się, jaki ród wybrać, i postawiła na Nałęczów, uznawszy, że oni zawsze byli wredni, bo króla Przemysła zamordowali. Jednak Benigna Nałęcza nie chciała, bo był stary, lubieżny i chciwy (to z *Trędowatego z hospicjum świętego Idziego*). Jej wybrankiem był młody giermek… tu znowu problem z imieniem… – niech będzie Wisław, bo chodziła jej po głowie jakaś opowieść

O Walterze z Tyńca i Wisławie z Wiślicy. Ale niecny Nałęcz nasłał siepaczy na Wisława i tenże, śmiertelnie raniony, zmarł na rękach Benigny. Wtedy dziewica postanowiła udać się pieszo do Trzebnicy. (Czemu pieszo? Żeby było bardziej dramatycznie, poza tym zły papa odmówił jej podwody). W drodze pomagał jej stary i ślepy pielgrzym z Ziemi Świętej, który potem okazał się jej zaginionym dziadkiem. Wreszcie Benigna stanęła przed Jadwigą Śląską boso i w jednej koszuli i błagała o przyjęcie do zgromadzenia. Księżna wyznaczyła jej roczną próbę, aby postulantka upewniła się co do swojej decyzji.

Tu Gośka przerzuciła się na tradycyjną domową klasykę i dalej poleciała mikstem Tolkiena z Sienkiewiczem: na Polskę szła wyposażona w gazy trujące dziesięciotysięczna nawałnica mongolska, która niszczyła wszystko na swojej drodze. Na nic dzielność rycerstwa, na nic ofiara życia księcia Henryka. Hordy dotarły do Trzebnicy. Wtedy Benigna, wnuczka krzyżowca, wzięła w dłonie miecz i do ostatka broniła swej czci niewieściej, a nim legła w boju jako prawy *miles Christi*, osiemnastu pohańców do piekła wyprawiła.

Najlepsze w tym wszystkim było, że ksiądz pochwalił Gośkę:

– No widzisz, jak ładnie napisałaś! Jak chcesz, to potrafisz! – co umocniło naszą Perełkę w decyzji, że w przyszłości będzie pisać powieści historyczne, a tata będzie je wydawał.

Tym razem tacie oszczędzone było świecenie oczami za córeczkę, ale co się odwlecze, to nie uciecze. Na rok przed maturą Gośka przypieczętowała bujne lata szkolne jeszcze jednym skandalem, tym razem całkowicie świeckim i całkowicie ze swojej winy.

Pan polonista, zapalony teatrolog, taki, co to wozi młodzież licealną po całym kraju na przedstawienia, podczas których aktorzy biegają z gołymi tyłkami i przodkami, postanowił wystawić w szkole jakąś grecką tragedię. Gośka, jak wiemy, reżyserkę miała we krwi i rwała się do wyznaczonej misji jak szalona. Zaplanowała sobie *Antygonę* w realiach powojennej Polski: Kreon-ubek nie pozwala pochować ciała „bandyty", siostra nie posłuchała rozkazu… Wszyscy wiemy, co było dalej. Niestety, pan profesor zadysponował inaczej:

– Kogo to zainteresuje, moja droga? Zrobimy *Króla Edypa*, i to całkowicie współcześnie. Aktorzy będą grać w normalnych

ubraniach…

– Pod chór możemy podłożyć metal – powiedziała Gośka, ale pan profesor nie wychwycił sarkazmu i na projekt ochoczo przystał.

Przedstawienie zostało dopięte na ostatni guzik. Także na ten guzik pod podszewką, o czym wiedzieli tylko wtajemniczeni. W swoim czasie aula wypełniła się gośćmi, Edyp w dżinsach i Jokasta w sukni wieczorowej z gołymi plecami miotali się po scenie, wszystko zmierzało ku tragicznemu końcowi… Wreszcie, kiedy oślepiony Edyp oddalał się w siną dal, wystąpił przewodnik chóru, otworzył usta do ostatniej pieśni i wtedy z głośnika dał się słyszeć chrypliwy głos Bruce'a Willisa:

– *Yippee-ki-yay, motherfucker*!

Takiego aplauzu jeszcze w szkole nie było. Gośka miała minę jak ten z chłopaków ze Stowarzyszenia Umarłych Poetów, który odebrał telefon od Pana Boga: satysfakcja aż się z niej wylewała, mimo poczucia nieuchronnych konsekwencji. Chciałeś chłopie współczesności? To masz.

Jeszcze tego samego wieczoru tata dostał telefon, że nazajutrz ma się zjawić w szkole.

Rąbka tajemnicy, co działo się owego dnia, uchylił nam tata dopiero w ładnych kilka lat później, kiedy nawet ja byłam już prawie dorosła. Nie dziwota, jego misja była niezwykle delikatna. Jak Robert Co Klątwą Się Nie Kala ma obronić swoją Perełkę, która narozrabiała z pełną premedytacją, acz nadzwyczaj inteligentnie?

– Rozumiem, że z założenia sztuka miała być uwspółcześniona? – zapytał, kiedy już polonista wylał swoje żale.

– Tak, ale…

Tata nie dał sobie przerwać.

– Wobec tego zgodzi się pan ze mną, że wulgaryzmy są nierozłącznym elementem tejże współczesności? – Naprawdę tata tak powiedział?!

– Niewątpliwie, ale materia miała pozostać antyczną! Pana córka dokonała skandalicznego nadużycia, kompromitując mnie i całą szkołę!

– Szanowny panie profesorze, sztuka, którą pan wybrał, traktuje o kazirodztwie, nieprawdaż?

– Tak, ale…

– Zatem pod względem merytorycznym użyty idiom był całkowicie poprawny?

Trafił swój na swego; polonista dławił się irytacją i wypadł z roli:

– Pan będzie bronił córki do upadłego! Niedaleko pada jabłko od jabłoni!

– Czy pan, panie profesorze, ma jakieś kompleksy na tle własnego ojcostwa? – zapytał słodko tata, popełniając w tym momencie najbezczelniejszy plagiat z Łysiaka.

Po powrocie do domu milczał jak zaklęty, ale zdradzały go śmiejące się oczy.

Był ze swojej Perełki dumny i już.

Za co? Za sztukę dyskursu. I kompatybilność merytoryczną, oczywiście.

Rozdział VI

Pip

Po urodzeniu Gośki rodzice planowali następnego potomka za jakieś cztery lata. Jednakże Jasiek czekać nie chciał i pojawił się na świecie niemal dokładnie w rok i dwa miesiące po siostrze. Ponieważ u nas zawsze wszystko kręciło się wokół książek, również mój brat był owocem czytelnictwa, tym razem pozycji *Karmienie piersią*. („Całkowite karmienie piersią przez pierwsze pół roku nie pozwala na zajście w kolejną ciążę…") Rodzice zareagowali trochę tak, jak Kreska i Maciek Ogorzałkowie, kiedy urodziły im się bliźniaczki: z entuzjazmem pomieszanym z odrobiną popłochu wobec tak obfitych łask Bożych.

Jasna sprawa, że przede wszystkim rozważyli problem imienia. Na pierwszy rzut oka była to krótka piłka. Mieli już Perełkę, zatem logicznym uzupełnieniem, tak jak Balladyna przy Alinie, wydał im się Peregryn (przez „y" czysto po polsku): Pippin miał wszak i siostrę, i żonę tegoż imienia.

Zupełnie jak ojciec Dyny, tak i nasz tata tym razem postanowił niczego nie przegapić i osobiście przypilnować. Dziecko urodziło się absolutnie zdrowe i po dwóch dniach wykopano mamę z porodówki do domu.

Szczęśliwy tata spokojnie przeto pomaszerował do Urzędu Stanu Cywilnego. Natrafił tam na bardzo sympatycznego, starszego pana (starszego… cóż, idę o każdy zakład, że „starszy pan" miał mniej lat niż tata teraz…), który zadał tradycyjne pytanie:

– Jakie imię wpisujemy?

– Peregryn! – odpowiedział dumnie tata.

Pan przyjrzał mu się uważnie.

– Peregryn… – przeciągnął w skupieniu. – A jak będziecie to zdrabniać?

– Oczywiście Pippin albo po prostu Pip – palnął tata bez namysłu.

Pan urzędnik zsunął okulary i patrzył, patrzył, patrzył… Pod wpływem tego spojrzenia tata zaczął się wiercić.

– Pippin… Pip, powiada pan. Tylko że musi pan przyjąć, że koledzy pana synka w młodszych klasach podstawówki na pewno nie będą znali *Władcy Pierścieni*…

Tata trafił na bratnią duszę. I to duszę dużo bardziej rozsądną od niego samego.

– …za to „Pip" sąsiaduje bardzo blisko z jednym z najpospolitszych słów w języku polskim…

Jako żywo tata nigdy o tym nie pomyślał. „Pippin" było imieniem tak dla niego normalnym i oczywistym, jak Jacek czy Przemek. (Poniekąd go rozumiem; kiedy czytałam kryminał Agaty Christie *Strzały w Stonygates*, ani razu nie miałam nieprzyzwoitych skojarzeń wobec głównej bohaterki Pippy). Teraz siedział jak głupi i nie wiedział, jak wybrnąć z problemu.

Na szczęście pan urzędnik był fachowcem pierwsza klasa.

– A co by pan powiedział na Jana Peregryna? Dla świata Janek, dla państwa Pippin.

I kalambur językowy do tego… Jaś Wędrowniczek…

Tata się zgodził, mama zgodnie z tym, co już było powiedziane, żadnych zastrzeżeń nie wniosła, a wszystkie cztery babcie (dwie babcie i dwie prababcie) były wprost zachwycone, że Robercik z Różyczką mają taką ładną parkę, Jasia i Małgosię.

Jak wiemy, kiedy Jasiek był zupełnie mały, Gośka potrafiła go zdominować i zagonić do swoich pomysłów. Jednak mój ukochany brat, mimo „nikczemnego wzrostu", posiadał niezwykły talent, rzekłabym dar. Prędzej czy później okoliczności układały się na jego korzyść. Tam, gdzie Gośka trzy razy narobiłaby sobie kłopotów, Pip spadał na cztery łapy.

Nie wiem doprawdy, czy sześcioletni Janek z premedytacją zaplanował sobie wszystko tak, żeby wyrwać się spod skrzydeł zaborczej siostry, czy wyszło mu to niechcący. Stawiam na to drugie, co potwierdzałoby jego niezwykłe talenty.

Dość, że pewnego dnia przyprowadził z podwórka kumpla. Byli obaj identycznie brudni, rozczochrani i rozchichotani; wpadli w progu na tatę i mały przedstawił się elegancko:

– Dzień dobry, nazywam się Marcin Szczęsny.

Tata rozpromienił się:

– Szczęsny, a widzę, że i wesoły. Czyli Merry. Witaj u Niziołków. – I poszedł do swojej roboty nieświadomy, że nadał nowemu przyjacielowi syna ksywkę, która przylgnie do niego po wsze czasy. Kiedy po latach Merry miał się żenić, Wiolka twierdziła, że za diabła nie przejdzie jej przez gardło „biorę ciebie, Marcinie", bo kogoś takiego w ogóle nie zna. Ale do Wiolki dojdziemy, a na razie dwóch nierozłącznych hobbitów penetrowało wszystkie podwórka na Pamiątkowej i w okolicy, w razie niepogody przesiadując przeważnie u państwa Szczęsnych, bo Janek wolał schodzić siostrze z oczu. I właśnie pani Szczęsnej zawdzięcza odkrycie drugiego swojego talentu.

Rodzice Merry'ego byli nauczycielami w szkole muzycznej i co do swojego syna mieli sprecyzowane plany. Janek kilka razy przyglądał się lekcji pianina, wreszcie zapytał, czy on też może spróbować. W efekcie pani Szczęsna zapukała do rodziców i przedstawiła im swój projekt: niech obaj chłopcy od września idą razem do szkoły na Solnej, ona ich będzie wozić, a mama może się rewanżować w ten sposób, że będzie uczyła matematyki starszą siostrę Merry'ego.

– Trudno mi powiedzieć, czy Janek ma talent – powiedziała szczerze pani Szczęsna – ale ma lekkie ręce i serce do grania. Niech spróbuje.

W ten sposób Pip ostatecznie uniezależnił się od siostry i rozpoczął własne życie. W jego pokoju pojawiło się pianino i cała rodzina przywykła do wielogodzinnego brzdąkania. Raz, kiedy grał *Smutną opowieść*, babcia Niziołek wzruszona powiedziała:

– Kochany wnusiu, zagrasz mi to na pogrzebie.

– Dobrze – zgodził się bez oporów Pip.

W naszym domu muzyka była od zawsze. Pierwsze kolekcje składały się oczywiście z czarnych płyt winylowych. Tata wniósł w posagu między innymi Niemena i jazz, mama Okudżawę i całkowicie unikatowego Wysockiego. Wysockiego przywiózł jej dziadek Kotoń z olimpiady w Moskwie, gdzie targu dobijał za pomocą kolorowych koszul i portmonetki, z której półgoła pani mrugała okiem.

Potem rodzice już pospołu kompletowali klasykę. No i kiedy mama wróciła z maleńkim Jaśkiem do domu, tata postanowił, że to on zawsze będzie go kąpał. Przygotowanie stanowiska to był cały rytuał: wanienka ze sprawdzoną wodą, mydełko, oliwka, waciki w odpowiedniej ilości, czyste ciuszki, ręcznik, no i dziecko oczywiście. Wtedy tata nastawiał płytę z Chopinem i brał się do roboty. Mieli zdrowo narąbane, nieprawdaż? A najlepszy w tym wszystkim był Pip, który twierdził, że to pamięta.

– Niemożliwe – protestowała mama. – Możesz pamiętać Mozarta, którego puszczaliśmy ci do snu, jak miałeś dwa-trzy latka.

Mówiłam, że mieli narąbane.

– OK – ustępował Jasiek. – Pamiętam jakąś piękną muzykę.

Ale na stronie szeptał do mnie:

– A ja i tak pamiętam Chopina.

Następny w kolejce był oczywiście Kaczmarski, już na kasetach. A jak nie było kaset pod ręką, zatrudniało się mamę, która śpiewała chętnie i bez naganiania. Kiedyś jednak osłupiała, kiedy Gośka z Pipem zażyczyli sobie:

– Zaśpiewaj nam o koniu, który rzyga!

Innym zaś razem:

– A teraz prosimy o tych wyrodnych dzieciach!

Drogi czytelniku, jeżeli rozszyfrowałeś choćby jedną z tych piosenek, należy ci się złoty medal za znajomość dzieł wszystkich Jacka. Jeżeli jednak masz wątpliwości, śpieszę donieść, że w pierwszym przypadku chodziło o *Przejście Polaków przez Morze Czerwone* („drugiej nie zdążył, bo oto toń rzyga”), a w drugim o *Tradycję* („nie będą nam ułani braćmi, my już nie dzieci Piłsudskiego”).

Poza tym moje ukochane rodzeństwo produkowało się samodzielnie. Raz, jeszcze na Manifestu, wszystkie matki na placyku gapiły się na nich jak na nie wiadomo co, kiedy na karuzeli wyśpiewywali sobie, „że mają wydawać Gośkę Mandelsztama".

Natomiast mama twierdzi, że nic ich tak dobrze nie usypiało, jak *O mój rozmarynie*, śpiewane bardzo wolno i z podwójnym refrenem. Ani razu się nie zdarzyło, żeby nie padli przed „a gdy mnie przyniosą z raną w bokuuu…".

Pip i Merry podśpiewywali na podwórku permanentnie, co cierpliwi sąsiedzi tolerowali dlatego, że byli synkami „tych nauczycieli muzyki z Traugutta" i „tych z Pamiątkowej, z parteru, co to mają tyle książek". Zaraz na dzień dobry mały Janeczek, nieodrodny syn swej matki, nauczył nowego przyjaciela domowego przeboju:

Leży Wanda w polskiej ziemi,
co nie chciała Niemca.
ale z tego nie wynika,
że wolała bolszewika.

I nieomalże symultanicznie w wersji angielskiej, jako że tata dawał nam nauki od pieluch:

Here is pretty Wanda's tomb,
who refused to marry a Hun.
But it doesn't follow that
she preferred a Red.

Skończyli z tym procederem w okolicznościach kompromitujących obie rodziny. Otóż siedzieli sobie na skwerku przed kościołem, jeden z wywleczonym z domu akordeonem, drugi z mamusiną gitarą, większą bez mała od niego, i zawodzili na zmianę pieśni patriotyczne i repertuar Pana Tik-Taka. Byli właśnie przy „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz", kiedy jakaś pani włożyła im do futerału pięć złotych. Chłopaków zmiotło ze skwerku w trybie natychmiastowym i od tego

czasu traktowali swoje wokalizy jako czynność intymną, odpowiednią dla pieleszy domowych.

Nie znaczy to rzecz jasna, że Janek nie czytał książek. Oczywiście, że zgodnie z tradycją rodzinną czytał już, mając sześć lat, a do zerówki zabierał sobie „zielone książeczki", czyli *Tajemnice zwierząt* Wydawnictwa Dolnośląskiego. (Brrr! Wcale mi się te „książeczki" nie podobały! Ciągle tam ktoś kogoś zżerał albo kopulował, obrzydlistwo! Jak oni mogli małemu dzieciakowi dawać coś takiego?!) Raz babcia Kotoń zapytała:

– Janeczku, widziałam nad Rusałką takiego dużego, drapieżnego ptaka. Jak sądzisz, co to mogło być?

Na co Janek odparł:

– Musisz mi, babciu, najpierw powiedzieć, jaką miał rozpiętość skrzydeł.

Tajemnica Pipa polegała na tym, że to on zapraszał bohaterów książkowych do swojego życia, nigdy natomiast nie próbował, tak jak mama, Gośka i ja, ich naśladować. No, może raz. A był to niemal wierny plagiat ze wspominanych już *Zenka i Miśka*. Nawet odbyło się to na szkolnym baliku noworocznym, jak w oryginale.

Różnice były dwie. Po pierwsze delikwent miał ważyć dokładnie trzydzieści trzy kilo, a nie dwadzieścia pięć – widocznie dzieci radzieckie były chudsze, no i odbywało się to w trzeciej, a nie w pierwszej klasie. Po drugie okazało się, że Merry'emu brakuje nie pół kilograma, jak Zenkowi, tylko półtora. Sam Jasiek nawet nie próbował wchodzić na wagę, bo zawsze był najmłodszy i najmniejszy w klasie. Za to ambitnie postanowił zapewnić zwycięstwo przyjacielowi poprzez wlanie w niego półtoralitrowej butli coli. Pozostaje otwartą kwestią, czy dialog, który potem nastąpił, Pip kopiował rozmyślnie czy, tak jak wiele innych rzeczy, wyszło mu to niechcący.

Po trzech szklankach Merry'emu się odechciało.

– Już nie mogę – oznajmił. A na to Jasiek:

– Możesz, możesz. Nie bądź taki delikatny. Pij.

Merry wypił następną szklankę.

– Naprawdę nie mogę – powiedział przepraszająco.

– To wstań – doradził Pip. – Na stojąco więcej wejdzie.

Weszła jeszcze jedna szklanka.

– Zaraz rzygnę! – oznajmił lojalnie Merry.

– OK, ja posprzątam – zadeklarował spokojnie Pip. – Pij.

Merry wypił do końca i nawet zdążył się zważyć. Puścił pawia dopiero wtedy, kiedy zobaczył nagrodę: zgrzewkę coca-coli…

Historia rodzinna milczy, czy Janek wycierał podłogę osobiście czy jednak pomogła mu pani sprzątaczka.

Poza tym incydentem mój braciszek, jak już powiedziałam, nie przebierał się w skórę książkowych postaci, nie pisał fanfików jak ja i Gośka, nawet nie brał udziału w grach terenowych. Był zwykłym Niziołkiem lubiącym śpiewać i grać. Wtedy wszystkim się wydawało, że tak jak dla rodziców czytanie, tak dla niego najważniejsza jest muzyka.

„Paroksyzm przyszedł na ojczyznę", kiedy byli z Merrym w ósmej klasie, to znaczy w ósmej klasie normalnej szkoły, ale w drugiej szkoły muzycznej drugiego stopnia… zaplątałam się. Szkoły muzyczne szły zawsze rytmem 6+6, jeszcze przed utworzeniem gimnazjów, a Pip i Merry byli z ostatniego rocznika starego stylu. Rozumiecie?

Zatem kiedy mieli obaj po czternaście lat, pojechali z państwem Szczęsnymi na zimowe ferie do Wisły. Nasze rodziny wymieniały się chłopakami rutynowo, Merry zaliczył z nami cały Czerwony Szlak Beskidzki, a teraz oni przygarnęli Janka.

Zaraz pierwszego dnia chłopaki poleciały na narty na Stożek. Coś im się pomyliło i zamiast na łatwy niebieski szlak wjechali na czarny.

Może i nic by się nie stało, ale zajechała im drogę jakaś rozkoszna pani, jeszcze bardziej niż oni zagubiona. Janek klapnął na tyłek, ale Merry próbował ją ominąć, przekoziołkował w powietrzu i znieruchomiał na śniegu.

Z paskudnie połamaną prawą ręką i prawą nogą zawieźli go do szpitala w Cieszynie; po tygodniu, kiedy się ustabilizował, państwo Szczęśni przetransportowali go do Poznania. Przez cały ten czas Pip warował przy nim jak jego imiennik przy prawdziwym Merrym w Domu Uzdrowień, karmił go, mył, przynosił podsuwacz i choć w duszy mu wyło, za wszelką cenę próbował go rozśmieszyć.

Bo wszyscy wiedzieli, że muzyczna kariera Merry'ego się skończyła. Że z tak połamaną ręką może zagrać co najwyżej u cioci na imieninach. A Merry żył graniem i dla grania.

Wtedy Janek oznajmił twardo: odchodzi razem z Merrym ze szkoły na Solnej; pójdą razem do zwykłego liceum, do piątki na Traugutta, tam gdzie kiedyś chodziła mama. Był tak stanowczy i tak dorosły w swojej decyzji, że rodzice nie powiedzieli ani słowa. Po cichu poszli tylko razem do wychowawcy Jaśka – to był ten jeden jedyny raz, kiedy oboje poszli do szkoły kogoś z naszej trójki – po radę.

Wychowawca długo milczał, patrzył na nich i wzdychał. Wreszcie powiedział:

– Proszę państwa, Marcin zapowiadał się na wybitnego pianistę. Janek jest bardzo dobry, może nawet więcej niż bardzo dobry. Ale, w odróżnieniu od Marcina, granie nigdy nie było i nie będzie dla niego najważniejsze…

Nie granie? Więc co?!

– Marcin został pozbawiony możliwości gry, gry koncertowej oczywiście, przez los. Państwa syn rezygnuje dobrowolnie. Pytacie, czy mu na to pozwolić?…

I opowiedział rodzicom epizod, o którym Pip w domu nawet nie pisnął. Kiedy Merry wreszcie wrócił do szkoły, a było to już na początku maja, cała klasa rzuciła się go przywitać. Obstąpili ławkę Merry'ego i Pipa, śmiejąc się i wygłupiając, i akurat wtedy wszedł facet. Jak sam przyznał rodzicom, zrobił coś, czego pedagog zrobić nie powinien. Był zły, że Merry, jego oczko w głowie, zaprzepaścił swoje szanse, a właśnie trafił na moment, kiedy ten opowiadał jakiś głupi kawał.

– Widzę, że humor ci dopisuje – wypluł z siebie jad. – Szkoda, że nie byłeś taki błyskotliwy, kiedy przypinałeś sobie narty.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Na twarzy Merry'ego wykwitły dwie czerwone plamy jak po uderzeniu.

Wtedy usłyszał głos Janka:

– Najmocniej przepraszam pana profesora, czy byłby pan łaskaw wyjść ze mną na korytarz w sprawie osobistej?

Krew z krwi swojego ojca…

Coś takiego było w głosie mojego brata, że wychowawca mu się poddał. Wyszli i wtedy Jasiek dopowiedział swoje:

– Nie godzi się poniżać człowieka i tak już w proch wdeptanego. Swoją winę i jej konsekwencje będziemy dźwigać we dwóch do końca życia i niech to wystarczy za wszelkie zadośćuczynienie.

Nie był to żaden dosłowny cytat, ale byli w nim wszyscy domowi klasycy jednocześnie.

– Sami państwo widzicie – skończył opowiadać wychowawca. – Janek ma w sobie dość charakteru, żeby pokierować swoim życiem.

Nawiasem mówiąc, gdyby tak powiedziała Gośka, już by ją włóczyli konno za włosy po podwórcu. A Pipowi to uszło… I przeszło do legendy szkoły, a kolejne roczniki twórczo ją ubarwiały.

We wrześniu Merry z Pipem poszli do piątki i rychło okazało się, że ich pozornie utracone talenty można tam doskonale sprzedać. Jeżeli w szkole muzycznej mały Janek śpiewał *Głupiego Jasia* Kaczmarskiego, co miało ilustrować wędrówkę kamienia pod Świętym Krzyżem, to owszem, klasie się to podobało, ale na Solnej śpiewali i grali wszyscy. Niczym szczególnym się nie wyróżniał. Być hobbitem w Shire to coś zupełnie innego niż być hobbitem w Edoras.

W budzie na Traugutta już na samym początku Jasiek wyskoczył na geografii:

– Pani profesor, czy możemy z kolegą w poetycki sposób zilustrować erozyjną działalność wód płynących?

Panią zatkało, zgodziła się, a Pip i Merry zaczęli śpiewać… no sami wiecie co, nie muszę wam tłumaczyć:

Płynie rzeka wąwozem jak dnem koleiny,
która sama siebie żłobiła,
Rosną ściany wąwozu, z obu stron coraz wyżej,
tam na górze są ponoć równiny;
I im więcej tej wody, tym się głębiej potoczy
Sama biorąc na siebie cień zboczy…

Erozyjna działalność wód… Cały Pip…

Potem już poszło z górki. Najprościej było na historii, Kaczmarskim można przecież opowiadać co trzecią lekcję, więc tak się wszyscy z historykiem na czele przyzwyczaili do tych występów, że tylko patrzyli, co to dzisiaj będzie nowego. A potem całe stado, któremu łaciński czterowiersz normalnie za Chiny nie wszedłby do głów, ryczało na korytarzu:

Gallia est omnis divisa in partes tres
Quarum unam incolunt Belgae aliam
Aquitani
Tertiam qui ipsorum lingua Celtae nostra
Galli appellantur
Ave Caesar morituri te salutant!

Wtedy to dołączyła do nich Wiolka, bardzo szybko zaakceptowana z trzech powodów. Po pierwsze grała na gitarze. Po drugie znała *Władcę Pierścieni*, od razu rozszyfrowała ich ksywki i tak jak oni nie mogła się doczekać filmu kręconego przez Jacksona. Po trzecie przynosiła do budy pyszne zapiekanki własnego pomysłu i produkcji, którymi chętnie się dzieliła, a temu ostatniemu żaden hobbit by się nie oparł. Poza tym jej imię, choć nieortodoksyjne, jednak mieściło się w kanonie żeńskich imion z Shire, bo pochodziło od kwiatu.

Trzymali się odtąd we trójkę, jak Harry, Ron i Hermiona, i jak tamci intrygowali otoczenie: czyją dziewczyną jest Wiolka i czy w ogóle jest dziewczyną któregoś z nich? Harry Potter był w tym czasie na etapie *Komnaty Tajemnic*, a każdy wnikliwy czytelnik już od tego tomu wiedział, kto z kim ma się w przyszłości ożenić. Dla mnie w każdym razie to było oczywiste! Z Pipem, Merrym i Wiolką było trudniej postawić diagnozę, bo te barany zachowywały się na początku tak jakoś… jak barany! Jak Ron i Harry, dosłownie. W każdym razie mój braciszek i jego durny przyjaciel. Wiolka miała na tyle rozumu, że cierpliwie czekała. I jak Hermiona podsuwała swoje pomysły.

Najpierw postanowili dać koncert pod zbiorczym tytułem *Lekcja historii klasycznej*. Było ich troje, jak Kaczmarski, Gintrowski i Łapiński, Wiolka miała grać na drugiej gitarze, ale powstał problem,

który z chłopaków weźmie pianino. Oczywiście, piosenki Kaczmarskiego to nie popis w filharmonii, ale Merry się bał, chciał grać i jednocześnie się bał.

– Graj ty – mówił do Jaśka – a ja wezmę gitarę. Będę grał jak Jacek, lewą ręką.

Ale Pip i Wiolka dosłownie za kudły go wzięli, doskonale wyczuwając, że jeżeli teraz się Merry nie przełamie, to zablokuje się na zawsze. Jak Ron w meczu ze Ślizgonami.

Dobrali same perełki, muzyczne Miesiące Zatajone: *Galię* i *Kochanowskiego*, *Stańczyka* i *Krajobraz po uczcie*, *Tradycję* i *Rozbite oddziały*, *Witkacego* i *Barykadę*, a na bis naturalnie obie części *Zbroi*. No i Merry zagrał jak w natchnieniu, jak prawdziwy Łapiński. Sala szalała, a ja, wtedy ośmioletnia, rozszyfrowałam ich bez trudu: Wiolka oczu nie odrywała od Merry'ego, sczytując z jego ust i rąk każdy dźwięk; Janek, teoretycznie pierwszy instrument, odsunął się na bok, dając miejsce Merry'emu, no i w końcu sam Merry, szczęśliwy, nareszcie rozluźniony, szukający akceptacji w oczach Wiolki… To naprawdę nie było trudne…

Kiedyś po latach, kiedy nam się z Pipem zebrało na szczerą rozmowę, zapytałam, czy nie czuł się wtedy odrzucony. Na co on mi odpowiedział:

– Kocham Wiolę jak siostrę i myślę, że ona też czuje do mnie to samo. Zawsze tak było. Myślałem, że o tym wiesz.

Drań użył dosłownego cytatu z *Insygniów Śmierci*,żeby sobie zakpić z moich czytelniczych inklinacji. A wydawało mi się, że on *Harry'ego* w ogóle nie czytał! Ale oczywiście czytał, jak sto innych pozycji, a potem wykorzystywał po swojemu.

Po pierwszym sukcesie trójka się rozochociła. Wpadli na pomysł, żeby wystawić *Kolację na cztery ręce*: Merry jako Händel, Jasiek w roli Bacha, no i Wiolka jako kamerdyner, co to zawsze miał ostatnie słowo. Wiolka zatroszczyła się o całkowicie autentyczną scenografię w postaci pysznego żarcia i piecyka, na którym podczas spektaklu na oczach widzów podgrzewała zupę. A chłopaki specjalnie w dniu premiery nie jadły obiadu, żeby pochłaniać te frykasy z zapałem całkowicie zgodnym ze scenariuszem.

W pewnym momencie byli o krok od wpadki, bo próby rzecz jasna były na sucho, bez jedzenia, za to na premierze Pip nagle poczuł, że – wybaczcie – po prostu musi oddalić się na stronę. Co zrobił? Z ukłonem w pas odezwał się pokornie do Merry'ego-Händla tekstem niekanonicznym:

– Czy mistrz pozwoli, że opuszczę go na chwilę?

Wiolka niezwykle przytomnie pokazała mu drogę, Merry skinął pańsko ręką: „Idź, lipski prostaku!" i w tym czasie spokojnie grał *Sarabandę*. Nikt się nie zorientował! Przyznali nam się dopiero w domu.

Utrwalili swoją pozycję w budzie, a młódź szkolna zgodnie uznała, że są lepsi od panów Wilhelmiego i Gajosa, bo na pianinie – skąd by wytrzasnęli klawikord? – grali sami! I znowu tym łobuzom upiekło się nawet to, że ufarbowali kłaki na „gołębią biel" i zakręcili loki, a potem paradowali tak po szkole przez ładnych parę dni.

U nas w domu natomiast od tego czasu, kiedy ktoś poczuł się wyróżniony ponad miarę, albo po prostu chciał zagrać na nerwach ofiarodawcy, mówił:

– Zbytek łaski!

Cudowna ta fraza z *Kolacji* na wieki bowiem weszła do domowego slangu, a ja cały czas mam przed oczami Jaśka, jak skromnie skulony przed Merrym powtarza ją raz za razem.

Ale dla samego Jaśka najważniejsza stała się pewna lekcja polskiego, na której wyjątkowo nie śpiewali nic z barda, tylko repertuar krańcowo odmienny. Otóż pani polonistka dotarła wtedy do Biblii, metodycznie szło jej to bez zarzutu, ale z wykładu wiało nudą, więc Pip jak to Pip, uznał, że trzeba by tu troszkę poprzestawiać akcenty. Z właściwym sobie, a odziedziczonym po tacie wdziękiem zapytał, czy na następny raz mogą przygotować coś z *Pieśni nad Pieśniami*. Wszyscy już wiedzieli, że Niziołek i Szczęsny mają napieprzone ze śpiewaniem, więc pani nie robiła przeszkód, pewnie też trochę zadowolona, że ktoś inny będzie się za nią męczył.

Tym razem przyszli do szkoły ubrani w długie czarne płaszcze, które miały udawać chałaty, z pejsami i w kapeluszach, bo uznali, że będzie to bardziej charakterystyczne niż szaty starożytne. Wiolka założyła długą zwiewną suknię i zawinęła głowę w kolorowe szale.

Klasa dostała instrukcje, żeby przynieść, co kto ma, tamburyna, grzechotki i bębenki, a Merry postawił kropkę nad i, wyciągając skrzypce, zupełnie jak w *Skrzypku na dachu*. Po czym wszyscy razem zaczęli z ogniem wykonywać lednicowy repertuar, *Bo jak śmierć potężna jest miłość* i *Powstań, przyjaciółko ma*.

Słychać ich było w całej szkole, za to oni tak byli roznamiętnieni, że nie usłyszeli, jak otworzyły się drzwi i wkroczyła pani dyrektor. Pani dyrektor była kobietą zasadniczą, rzeczową i odporną na emocje.

– Co tu się dzieje? – padło nieodzowne w tych okolicznościach pytanie.

Polonistka zastygła z tamburynem w ręku.

– Prowadzimy lekcję – odpowiedziała nieśmiało.

– Lekcję?! – Jedno to słowo w wykonaniu pani dyrektor znaczyło więcej niż spiżowe mowy innych.

Wtedy wystąpił Pip.

– Przerabiamy *Pieśń nad Pieśniami*, pani dyrektor. – I prezentując zniewalający uśmiech swojego ojca, dodał: – Prosimy bardzo, zatańczy pani z nami?

Powtarzam się, ale znowu to muszę powiedzieć: gdyby to była Gośka, wyleciałaby już za drzwi za obrazę majestatu. A Jaśkowi zawsze się udawało.

Nie minęło dziesięć minut, jak szkolna władza tańczyła razem z nimi, wyśpiewując:

> …wody wielkie nie zdołają ugasić miłości
> nie zatopią, nie zatopią jej rzeki…

Wiele lat później Janek mi powiedział, że właśnie wtedy się zdecydował.

Kiedy teraz wszystko odtwarzam, kolejne kroki Jaśka układają się w logiczny ciąg, jak koraliki nanizane na sznurek, nawet intensywne lekcje matmy u mamy. Niby uczyli się we troje, ale wiadomo było, że chodzi o Merry'ego, żeby ten bez problemu dostał się na reżyserię dźwięku w Instytucie Fizyki. Wiolka wahała się między ekonomią

a polibudą, więc nic nie traciła. A mój braciszek robił to chyba tylko po to, żeby babcie mogły sobie gadać: „O, Janeczek to wszystko mógłby studiować…”. Po cichutku zrobił certyfikat z angielskiego i doszedł do finałów olimpiady historycznej. Na maturze jako przedmiot dodatkowy wybrał właśnie matmę i zdał ją na celujący, czym zabił klina w głowę całej rodzinie, bo jak dotąd nie puścił farby co do swoich przyszłych planów.

Po ostatnim ustnym zebrało się gremium rodzinne i wtedy Pip zastrzelił wszystkich nowiną, że nie idzie na studia. Jedzie do Wielkiej Brytanii, na rok. Będzie pracował w restauracji i grał tam na pianinie.

Rodziców dosłownie podcięło. Pierwszy ochłonął tata.

– Brendan ci to załatwił? – zapytał, a z tonu jego głosu można było wyczytać: „Zabiję tego gnoja”.

– Nie – powiedział spokojnie Jasiek – to wcale nie jest w Walii, tylko pod Brighton. Starzy kumple z muzycznej dali mi namiary.

– Merry też jedzie? – To było w zasadzie zdanie twierdzące, nie pytające. – A co z Wiolą?

– Nic. Jadę sam. Merry zdaje na UAM, jakby się nie dostał na reżyserię dźwięku, to pójdzie na muzykologię.

Sam?… To nam się nie mieściło w głowach. W każdym razie ja nie znałam innego Janka, jak tylko z Merrym.

Płakałam potem w poduszkę, kiedy przyszła Gośka.

– On tam zostanie na zawsze? – wyrzuciłam z siebie najgorsze strachy.

– Nie, co ty? Jedzie na rok.

– Bo tata się kłócił z mamą i krzyczał, że jak Pipowi zasmakuje życie klezmera, to rzuci wszystko w diabły i już nie wróci. Gosia, co to jest klezmer?

– To taki gość, który gra w knajpie do kotleta – odpowiedziała Gośka, ale widząc, że dalej nie rozumiem, dodała: – Muzykę rozrywkową dla gości. Ale Pip będzie grał tylko dwie godziny dziennie, wieczorami, a poza tym będzie robił wszystko inne: sprzątał, zmywał, podawał do stołu… To się nazywa *general assistant*.

I przytuliwszy mnie, szepnęła:

– Nie becz, mała, jemu ten rok jest potrzebny, żeby sobie pewne rzeczy przemyśleć. Zaufaj mu.

Gośka musiała już wtedy wiedzieć… Niby żyli z Jankiem obok siebie, mieli dwa różne światy, ale przejrzała swojego małego brata jak nikt inny.

Na lotnisku Jasiek poprosił mnie na boku, żebym mu zaśpiewała pieśń Pippina. Po angielsku. Więc zaśpiewałam, mając przed oczami Pippina z Denethorem i szarżę Faramira:

Home is behind, the world ahead,
And there are many paths to tread.
Through shadow, to the edge of night,
Until the stars are all alight.
Mist and shadow, cloud and shade,
All shall fade! All shall fade…[6]

Jak prawy dzielny Niziołek poryczałam się dopiero, kiedy przeszedł za bramkę.

[6] Za nami dom, przed nami świat/i ścieżki, które nasz zaznaczy ślad./Przez cień i mrok, po nocy brzask,/aż gwiazd na niebie zalśni blask./Mgła i zmierzch, i chmurny dzień/rozwieją się... rozwieją się... (tłumaczenie wg polskich napisów z filmu *Władca Pierścieni-Powrót króla*).

Rozdział VII

Ja

Historia rodzinna milczy, czy do mojego zaistnienia też przyczyniła się literatura, a jeżeli tak, to jaka. Osobiście mam pewne podejrzenia: urodziłam się 24 września, więc kiedy odejmiemy dziewięć miesięcy, wypada nam dokładnie Wigilia. Cóż mogła ofiarować sobie nasza rodzinka na Gwiazdkę, jak nie książki? Mama zawsze twierdziła, że uwielbia te późnowigilijne godziny, kiedy wszyscy już sobie pójdą i można wtedy do woli czytać na pobojowisku z kolorowych papierów, pojadając ulubione smakowitości. No więc…

Porzucając te za daleko idące dywagacje, trzeba powiedzieć, że kiedy pojawiłam się na świecie w osiem lat po Gośce i siedem po Pipie, tata uznał, że ma swoją ostatnią szansę. Teraz albo nigdy. Zadziałał błyskawicznie, zanim jeszcze mama wróciła ze mną do domu: nic nikomu nie mówiąc, pobiegł do urzędu i kazał wpisać imię Elanora. Nie Eleonora, tylko Elanor plus nieodzowne w języku polskim „a” na końcu. Tym razem panie urzędniczki nawet nie mrugnęły okiem, nie takie imiona zdarzało im się ostatnio widzieć.

Do chrztu tatę ruszyło sumienie. Tolkien Tolkienem, ale do Elanory postanowił dołożyć chrześcijańską patronkę. A mogła nią być tylko Pulcheria, nieprawdaż?

Nikt z rodziny nie protestował – Niziołki były pewne, że to po jakiejś praprababce Kotoń, a Kotonie na odwrót. Dla taty byłam więc jego ukochaną Elanor Piękną, dla reszty świata po prostu Elką.

I tylko Gośka sobie ze mnie pokpiwała, że mam imiona jak wystrzał ciężkiej artylerii. Zazdrościła mi, cha, cha. Ona przecież ma tylko jedno imię!

Najwcześniejszym wspomnieniem mojego dzieciństwa jest znalezienie naszej psiny. Mama powątpiewa, czy rzeczywiście to pamiętam – miałam wtedy dwa lata, ale skoro Pip pamiętał Chopina, mogłam i ja. A było to tak: podczas spaceru mama zauważyła pod balkonem skuloną, dygoczącą kuleczkę. Niewiele myśląc, wsadziła mi ją do wózka i popędziłyśmy do domu. Maleństwo zostało ogrzane, odkarmione, a kiedy tylko w domu pojawiła się Gośka, nazwane Funią. Imię było oczywiście odksiążkowe, jak w przypadku Bariego taty i foksterierki Timby mamy. Gośka z Pipem mieli jeszcze wcześniej chomika Bączka, ale wiadomo, że chomiki długo nie żyją, więc ja go nie znałam.

Z Bączkiem i w ogóle z wszystkimi zwierzakami rodzice mieli poważny problem teologiczny. Gośka i Pip mianowicie, a potem i ja domagaliśmy się odpowiedzi, co dzieje się ze zwierzętami, kiedy zdechną. Mama zamykała wtedy oczy i nieortodoksyjnie mówiła:

– Idą do krainy wiecznych łowów.

Hmm… Kraina wiecznych łowów w przypadku Bączka… Trochę to brzmi nieciekawie… Kiedy z kolei skowyczałam nad przejechanym podwórzowym kotem, mama przekroczyła wszelkie limity, mówiąc:

– Nie martw się. On już siedzi na kolanach Matki Boskiej i ją grzeje.

Byliśmy dużo starsi, kiedy przyhaczyliśmy ją o to znowu. Wtedy mama poszukała odpowiedni tom *Don Camilla* i przeczytała nam opowiadanie, w którym don Camillo chciał wydębić od miasteczkowej sknery pieniądze na kolonie dla dzieci. Powiedział, że przyśnił mu się Pan Jezus i zadysponował, żeby wysłać dzieci nad morze. „Masz śmiałość patrzeć mi w oczy?" – zapytał Chrystus z krucyfiksu. „Mam" – odparł bezczelnie don Camillo. „Cel uświęca środki". „To chyba nie jest cytat z Pisma Świętego" – powiedział cierpko Pan Jezus. Ale najbliższej nocy przyśnił się don Camillowi i zażądał, żeby wysłać dzieci na kolonie. „Zrobione!" – szepnął don Camillo…

Nawet jeżeli nie do końca rozumiem, co mama chciała nam tak nie wprost przekazać, to na pewno to czuję.

W niedługim czasie do Funi dołączył kot Alf, też znaleziony pod balkonem, tylko innym. Skąd takie imię, skoro kosmita Alf zjadał koty? Ponoć było to jedno z nielicznych słów, które w owym czasie bezbłędnie wymawiałam. A w ogóle to moje najmłodsze lata upłynęły pod znakiem chowu niestandardowego: nie można mi było po prostu czytać wszystkiego ciurkiem, tak jak Gośce i Pipowi, więc rodzice musieli zmienić środki wyrazu.

Po pierwsze w naszym domu pojawiło się wyklęte dotąd wideo. Wyklęte, bo odciągało od czytania. Ale musiało się pojawić, bo inaczej cała dziecięca klasyka pozostałaby poza moim zasięgiem.

Przy okazji wyszły na jaw pewne sprawki Pipa. W swoim czasie kasety z jego komunii rodzice nie kupili, bo i tak nie byłoby jej na czym odtworzyć. Teraz natomiast Janek odkupił ją za dwadzieścia złotych (Kupa forsy! Przepłacił!) od kolesia z podwórka i puścił do obiadu. Oczom naszym najpierw ukazał się Merry z zapałem dłubiący w nosie. Potem kamera najechała na Pipa, który bez skrępowania pokazał język i zrobił zeza.

– Teraz już wiem, dlaczego wszystkie kumy z parafii wytykają nas palcami – skomentował męczeńsko tata.

Po drugie, jako że bez *Władcy* moja edukacja przecież odbyć się nie mogła, tata postarał się specjalnie dla mnie o przepiękne jego wydanie, z ilustracjami Alana Lee, opracowane na stulecie urodzin Tolkiena, a potem też o *Hobbita*. Ukochanego klasyka taty wchłaniałam tedy poprzez obraz i może dlatego w dobrych kilka lat później tak po dziecięcemu radośnie i bezkrytycznie przyjęłam film. Ale o tym w swoim czasie.

Nie znaczy to bynajmniej, że nie umiałam czytać. Rodzice specjalnie posłali mnie rok później do szkoły, żebym płynnym czytaniem nadrobiła to, czego nie usłyszę. Tata też bardzo wcześnie zaczął mnie uczyć czytać po angielsku. Tyle tylko, że ja poruszałam się w swoim własnym rytmie.

Nasze mieszkanie na Pamiątkowej składało się z czterech dość dużych pokoi. Największy był użyteczności wszelkiej, to znaczy pełnił funkcje biblioteki i czytelni, pracowni taty i mamy, a w porywach

salonu. Pozostałe trzy zajmowali rodzice, Gośka i Pip. Na co dzień jadło się w kuchni, tak jak u Borejków. Kiedy się urodziłam, mama i tata wygospodarowali kącik w swojej sypialni, odgrodzony oczywiście półką z książkami. Cały czas się gadało, że „jak Elunia trochę podrośnie, to ona tu zostanie, a my się przeniesiemy do dużego pokoju", ale odkładano to z roku na rok. Wreszcie, kiedy w wieku ośmiu lat miałam pójść do szkoły, wkroczył nie kto inny, tylko Pip.

– Duży pokój zostawcie tak jak jest. Elkę zainstalujemy w komórce – obwieścił stanowczo. – Myśmy z Merrym już wszystko obmyślili.

Mój braciszek kochał mnie serdecznie, ale myślę, że zdopingowała go perspektywa utraty stałego dostępu do naszych fantastycznych foteli i kanapy, na których tak dobrze się czyta.

Piątym pokojem, a właściwie czwartym i pół, było wąskie pomieszczenie zaraz z brzegu korytarza, w którym przechowywano rowery, płaszcze, odkurzacz, mopy i sto innych rzeczy. Uprzątnięcie tego wszystkiego stanowiło nie lada problem logistyczny i wtedy wyszedł na jaw kolejny talent Jaśka. Bynajmniej nie brał się za wszystko sam! Potrafił tak nagonić każdego członka rodziny, z Gośką włącznie, żeby przyłożył do tego rękę i głowę. Trzeba było zacząć od uprzątnięcia piwnicy, która przez jedenaście lat, licząc od przeprowadzki z Manifestu, zdążyła nieźle zarosnąć. Wobec tego najpierw Pip zatrudnił tatę, który miał „coś zrobić" z toną roczników „Więzi", „Znaków", „W drodze" i czego tam jeszcze nie było. Tu jednak trafił na twardy orzech do zgryzienia, bo tata nie wyobrażał sobie, że może skazać na niebyt cokolwiek drukowanego. Zaczęto zatem jeszcze inaczej, od zainstalowania w korytarzu rzędu szafek z Ikei, do których trafiło całe to kolekcjonerstwo, zostawiając nawet jeszcze trochę miejsca na odkurzacz i mopy.

Potem do dzieła przystąpiła mama. Z nią było łatwiej, bo bez litości powyrzucała stare pralki, wózki, wanienki i walizki, z tym że robiła to po kryjomu przed własną babcią, żeby czasami jej z kolei nie zrobiło się czegoś żal. Wyczyszczona piwnica okazała się całkiem duża, Pip i Merry machnęli ją na biało i przenieśli rowery. Tylko Gośka swojego nie dała, zapewniając, że powiesi go sobie na ścianie.

Teraz można było zacząć działać w pokoju cztery i jedna druga, który miał długość pokoju Gośki, ale szeroki był tylko na metr pięćdziesiąt. Jasiek po konsultacji z dziadkiem Niziołkiem sporządził dokładny rysunek i wysłał rodziców do pewnego stolarza na Starołęce, zajmującego się zamówieniami nietypowymi. Nietypowość w tym przypadku polegała na łóżku piętrowym ze schodkami od tyłu – nie z drabinką, tylko właśnie normalnymi, eleganckimi schodkami z poręczą. Na dole akurat miało się zmieścić biurko i szafki.

Czekając na łóżko, Pip i Merry najpierw równiusieńko wyszpachlowali ściany, a potem wytapetowali je według projektu Gośki na zielono z kwiatkami. Raz jeszcze tata został pogoniony, tym razem do Castoramy po wykładzinę, listwy i jakieś śrubki. Rezultat przerósł moje najskrytsze marzenia, a kiedy całość była już zmontowana, zaszczycił ją swoją obecnością Alf, który odtąd sypiał u mnie na górze. Dla Funi były to za wysokie progi, więc została w nogach u rodziców. Nasza rodzina bowiem należała do tej połowy ludzkości, która sypia ze swoimi zwierzakami w łóżku, w odróżnieniu od drugiej połowy, która się do tego nie przyznaje.

Byłam przeszczęśliwa, że mam swoją własną Komórkę Pod Schodami. Chociaż nie, źle mówię. Taką nazwę mógł otrzymać mój pokoik najwcześniej w półtora roku później. Dopiero wtedy wszystko się zaczęło.

Było to w drugiej klasie, kiedy przyszłam z adnotacją w dzienniczku, żeby przynieść jedenaście złotych, bo idziemy na *Harry'ego Pottera i Kamień Filozoficzny*. Rodzice popatrzyli na siebie znacząco i znikli w swoim pokoju. Jaki dialog wtedy prowadzili, dowiedziałam się po ładnych paru latach.

– *Harry Potter* – przeciągnął tata jak Snape na pierwszej lekcji. – Co ty na to?

– Będą dzieci deprawować – jęknęła mama. – A myślałam, że to taka porządna szkoła!

Fakt, moja podstawówka była świetna, a panie nauczycielki kochane i cieplutkie jak pierzynki.

– Coś trzeba z tym zrobić – zadecydował tata. – Postaram się o pirata.

– A ja szybko przeczytam – podjęła się mama.

– I wtedy zobaczymy, co dalej – zapadły ostateczne uzgodnienia.

Dalej, czyli przegryzać gardło wychowawczyni od razu czy próbować łagodnej perswazji.

Drogi czytelniku, nie wiem, czy wychwyciłeś pewne finezyjne szczegóły, świadczące o charakterze moich starych. Oni czytali wcześniej coś niesympatycznego o Harrym Potterze, ale zanim podjęli decyzję o wszczęciu awantury, najpierw sami chcieli sprawdzić, jaki stopień bezbożnictwa zagraża ich Eluni. W odróżnieniu od tych wszystkich, co nie czytali, bo *Harry Potter* to literatura poniżej ich poziomu, ale wiedzą najlepiej, że w środku siedzi diabeł i macha ogonem.

Mama z tatą przeczytali książkę, obejrzeli film, przedyskutowali sprawę i uznali, że treści szkodliwych nie znaleźli. Mamie nawet łzy napłynęły do oczu, kiedy Ron poświęcał się dla przyjaciół podczas gry w żywe szachy, bo przypominał jej Jaśka. No, nie urodą, ale wyrazem oczu. Podobno takie oczy miał Pip, kiedy dawno temu w górach osłaniał mnie przed agresywnym baranem: był przerażony, ale dzielny i zdeterminowany.

Pomaszerowałam zatem z klasą do kina, a kiedy Quirrell się zmutował i z tyłu głowy wylazł mu Voldemort, schroniłam się w opiekuńczych ramionach pani Danusi i wszystko było dobrze. Potem mama podsunęła mi książkę i poszłyśmy raz jeszcze do kina, żeby wszystko dobrze zrozumieć. A jeszcze później na wyścigi z mamą czytałyśmy *Komnatę Tajemnic*, *Więźnia Azkabanu* i *Czarę Ognia* i niecierpliwie wyczekiwałyśmy następnych filmów.

Mama bowiem przeżywała razem ze mną drugie dzieciństwo i to już od jakiegoś czasu. Bardzo lubiła filmy Disneya, a jej faworytką była *Mulan* – nic dziwnego, te rycerskie ciągoty… Przy finale, kiedy cesarz i cała reszta oddaje Mulan pokłon, płakałyśmy zawsze we trzy – ja, mama i prababcia Kotoń, którą nasze szaleństwa też wciągały. A tak przy okazji – *Mulan* to rok dziewięćdziesiąty ósmy, *Powrót króla* oczywiście dwa tysiące trzeci, pięć lat później. Czy zauważyliście łudzące podobieństwo sceny z koronacji Aragorna, kiedy król Elessar wraz ze wszystkimi zgromadzonymi kłania się hobbitom? Czyżby Peter Jackson też zauroczył się disneyowską animacją i bezwstydnie z niej zerżnął pomysł?

Wróćmy jednak do *Harry'ego*, bo jak by to głupio nie brzmiało i źle o mnie świadczyło, dwa… jak by to powiedzieć… wydarzenia kulturowe odcisnęły się piętnem na moim średnim dzieciństwie i całym nastoleciu – trzy filmy Jacksona i cały *Harry*, wszystkie książki i filmy. O Jacksonie w następnym rozdziale, teraz czas na *Harry'ego*.

Kiedy skończyłam moją ukochaną podstawówkę, skończyło się też słodkie życie i zaczęły problemy. Dla mnie i dla mamy, bo jak już powiedziałam, mama przeżywała dzieciństwo wraz ze mną i uczestniczyła w nim całą sobą. Tata, poza *Kamieniem Filozoficznym* więcej *Harry'ego* nie czytał, bo, jak powiadał, miał do nas zaufanie. Gośka, żeby było poważniej, czytała każdy tom w innym języku: po polsku, angielsku, francusku, hiszpańsku, włosku… Języki mi się skończyły, a jestem dopiero przy piątym tomie. Ach, racja, *Kamień Filozoficzny* czytała nasza Perełka także po walijsku, wuj Brendan specjalnie dla niej postarał się o ten rarytas. Niemieckiego nie znosiła od zawsze, chociaż kilka razy próbowała się przemóc, więc ostatnie dwa tomy musiała czytać też po angielsku. Pip, jak już wiemy, udawał, że się tym nie interesuje, ale naprawdę ogarniał wszystko i sypał cytatami jak mama.

Zatem kiedy poszłam do gimnazjum, na samym starcie podpadłam facetowi od religii, bo siedziałam sobie na korytarzu zaczytana po uszy w *Księciu Półkrwi*. Pan Kociński, zwany przez wszystkich po prostu Kotem, musiał być z kolei świeżo po lekturze książeczki Gabriele Kuby *Harry Potter dobry czy zły*, bo postanowił ratować mnie przed opętaniem.

– Czy wiesz, że czytasz książkę, która niszczy w tobie umiejętność odróżniania zła od dobra?

Wytrzeszczyłam na niego oczy, bo jako żywo przez sześć tomów nie miałam z tym żadnych problemów.

– Ja odróżniam – zapewniłam skwapliwie. – Zły jest Voldemort, a Harry i większość uczniów dobra. I Dumbledore, i inni profesorowie. No może Snape jest zły…

Kot mi przerwał, bo, jak podejrzewam, nie miał pojęcia, o kim mówię. Był raczej z gatunku tych, co nie czytali i czytać nie będą, ale wiedzą najlepiej.

– Uczniowie uczą się czarnej magii i wykorzystują ją przeciwko innym! – strzelił z najcięższej według siebie armaty.

– Nieprawda! – zaperzyłam się. – W Hogwarcie uczy się obrony przed czarną magią! Co to, bronić się nie można?

– Nie wolno używać zła przeciw złu, magii przeciw magii! – uparł się Kot. – Ten twój Harry i jego rzekomi przyjaciele – otwierałam już usta, żeby zaprotestować przeciwko słowu „rzekomi", ale Kot nie dał sobie przerwać – są zniszczeni, niezdolni do uczuć wyższych, nigdy nie płaczą!

– Nieprawda! – Aż mną zatrzęsło. – Płakali wiele razy! Harry płakał po śmierci Syriusza!

– Ten twój Harry jest typowym przykładem opętania i oddał pokłon temu tam… Volde… mordowi, uznając jego władzę!

– Bzdura! – wrzasnęłam z całą mocą. – To wszystko kłamstwa! Powtarza pan bzdury po głupiej babie!

– Mówisz, że papież dałby swoje błogosławieństwo kłamstwom? – powiedział pan Kociński ze specjalnym naciskiem, świdrując mnie oczami.

Rozryczałam się i uciekłam, bo nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale każda cząstka mojego jestestwa protestowała przeciwko temu, co usłyszałam. W domu momentalnie nakablowałam o wszystkim mamie. W miarę jak wyrzucałam z siebie żal, mama robiła się coraz sztywniejsza, a na dekolcie wyszły jej czerwone kropki. Zawsze się tak działo, kiedy się maksymalnie wkurzyła.

Akurat na ten moment trafił tata. Jeden rzut oka na najdroższą Różyczkę wystarczył, żeby zrozumieć, że „źle się dzieje w państwie duńskim". Nawet nie musiał rzucać drugim okiem na swoją małą Elanor Piękną.

– Pójdę i załatwię – przyrzekł kojącym głosem, kiedy się już dowiedział co i jak. Od ostatniego numeru Gośki minęły dwa lata, więc tata się zregenerował i był pełen sił.

– Nie – powiedziała niezwykle twardo mama. – Ty się na tym nie znasz. Tu trzeba zniszczyć go tysiącem szczegółów. Ja pójdę. Jutro środa.

Środa była wolnym dniem mamy.

U Jaśka byli ten jeden jedyny raz oboje, teraz całkiem wyjątkowo mama sama interweniowała w sprawie któregoś z nas.

– Dobrze – powiedział tata – tylko pamiętaj, masz być kulturalna i nie używać słów ogólnie uznanych za obraźliwe. I nie chodzi o to, żeby go zniszczyć, tylko żeby przekonać. Los Elki w twoich rękach.

Wtedy myślałam, że chodzi mu o stopień czy coś w tym rodzaju. Dzisiaj wiem, że tata z całą swoją przenikliwością miał na myśli coś dużo ważniejszego…

Mama przez całą noc wtykała w sześć tomów *Harry'ego* karteczki z podpisami, a następnego dnia ruszyła z całym tym majdanem w bój, ubrana w sweter z golfem, żeby w razie czego nie było widać kropek na dekolcie. Dopadła pana wychodzącego z ostatniej lekcji i przedstawiła się elegancko:

– Dzień dobry, jestem Róża Niziołek, mama Eli z pierwszej b. Uczę w Marii Magdalenie i tak się dobrze składa, że mam dzisiaj dzień wolny. Czy zechciałby mi pan poświęcić chwilę czasu?

Kotowi nie wypadało odmówić i poprosił mamę do małego aneksu przy pokoju nauczycielskim, służącego za coś w rodzaju gabinetu dla niego i księdza. Mama usiadła wygodnie, ułożyła na stole sześć tomów *Harry'ego*, a w rękę ujęła dziełko Gabriele Kuby.

Wtedy w drzwiach pojawił się ksiądz Henryk, który niestety uczył tylko w podstawówce. Jego też Kociński nie mógł spławić, tym bardziej że przywitał się serdecznie z mamą, znaną mu jeszcze z czasów tachania bibuły (raz nawet pożyczył tacie pieniądze na towar z księgarskiej meliny). Nie jestem pewna, ale stawiałabym na to, że tata specjalnie, po cichutku do niego zadzwonił z prośbą o wsparcie i mediację.

– Jak się pan zapewne domyśla – zaczęła mama – chodzi o wczorajszą dyskusję pomiędzy panem a córką na temat *Harry'ego Pottera*. Tak się składa, że jestem dobrze zaznajomiona z tematyką, czy zatem pozwoliłby pan na uporządkowanie kilku problemów?

Ksiądz Henryk pokiwał głową z aprobatą, przez co postawił Kota pod ścianą.

– Może zaczniemy sobie od oczyszczenia przedpola – kontynuowała mama – a mianowicie, jak to było naprawdę z tą „rekomendacją Benedykta XVI". – Pokazała obu panom żółtą

winietkę ponad tytułem *Harry Potter dobry czy zły*. – Jak widać, mamy tu dopisek „list do Gabriele Kuby z 7 marca 2003 roku". Czy mógłby nam pan przypomnieć – to było już wprost do Kota – kiedy nastąpił wybór Josepha Ratzingera na papieża?

– Jak to kiedy, po śmierci Jana Pawła – odpowiedział szybko Kot, który zapomniał dokładnej daty, co dla katechety było wszak kompromitujące.

– Zatem dwa lata wcześniej można mówić co najwyżej o rekomendacji prefekta Kongregacji Nauki Wiary, czyż nie? Czyli nie mamy konfliktu z dogmatem o nieomylności papieża w sprawach wiary i moralności?

Kot musiał przyznać, że nie.

– A teraz posłuchajmy, co sama autorka mówi o znajomości zagadnienia przez kardynała Ratzingera. – Tu mama sięgnęła do torby i jak królika z kapelusza wyciągnęła „Tygodnik Powszechny" z lipca 2005 roku (wtedy jeszcze rodzice go kupowali ze starego sentymentu, przestali w jakiś rok-dwa później) i przeczytała ustęp, z którego wynikało, że to sekretarz kardynała zaznajomił się ze streszczeniem *Harry'ego* dokonanym przez samą Kuby.

– Wobec tego mamy jedną sprawę rozstrzygniętą, czyż nie? – uśmiechnęła się mama tak uwodzicielsko, jak tylko tata by potrafił. – Chęć reklamowania się jest rzeczą ludzką, choć nie zawsze godną pochwały…

Kot wymruczał coś niewyraźnie.

– Teraz, jeśli pan pozwoli – a co mógł zrobić, biedaczek – przejdziemy do meritum. Gabriele Kuby twierdzi, że przeczytała wnikliwie wszystkie pięć tomów. Cóż, myślę, że lepiej dla niej byłoby otwarcie przyznać, że takiego gó… – tu mama w ostatniej chwili wyhamowała, pomna danego tacie przyrzeczenia – że tak miałkiej literatury nie czytała i czytać nie ma zamiaru. Jeżeli jednak upiera się, że tak, to możliwości są, niestety, dwie: albo nie umie tego robić ze zrozumieniem albo… – błyskawicznie poszukała w myślach eufemizmu do „łże jak pies" – nagina fakty dla swoich potrzeb…

Kot zaczął wiercić się nerwowo na krześle.

– A pan czytał *Harry'ego Pottera*? – ni stąd, ni zowąd zapytała go wprost mama.

– Trochę… nie wszystko… – musiał przyznać Kot.

– Zatem musi zaufać pan mojej wiedzy eksperta – słodko powiedziała mama – popartej, oczywiście twardymi dowodami w postaci odpowiednich cytatów.

Dopiero teraz dotarło do Kota, że na obiad do domu nie zdąży. Niestety, mógł albo oddać walkę walkowerem, albo brnąć dalej. Mama wykorzystała cierpiętniczy wyraz jego twarzy do swoich celów.

– Żeby pana nie zamęczyć, spróbujemy inaczej. *Władcę Pierścieni* pan zna, nieprawdaż?

No, gdyby teraz Kot powiedział, że trochę, wyszedłby na idiotę, więc potwierdził.

– I jest pan świadomy, że Tolkien, jako katolik, zawarł w tym dziele wartości chrześcijańskie?

Pytanie było retoryczne.

– Jak by wobec tego pan zareagował, gdyby osoba taka jak pani Kuby powiedziała o Frodzie, że był tchórzliwym małym grubasem, który zdradził przyjaciół w chwili próby?

To już nie było pytanie retoryczne, więc Kociński przyznał, że byłaby to manipulacja.

– Albo że Éowina uwodzi Aragorna bez poczucia wstydu i zostawia poddanych na pastwę losu, realizując swoje fanaberie? Że Sam znęca się psychicznie i fizycznie nad schizofrenikiem? Że Galadriela molestuje seksualnie krasnoluda, dając mu za fetysz swoje włosy?

Ksiądz Henryk zachichotał. Tego już Kot nie wytrzymał.

– Pani przesadza! Celowo wprowadza pani elementy absurdu!

– Ja wprowadzam? – zaperzyła się mama, próbując jednak trzymać nerwy na wodzy. – To co pan powie na to, że według Kuby Joanne Rowling pochwala branie kokainy przed egzaminem? Że Syriusz nic nie zrobił, żeby powstrzymać okrucieństwo kuzynki? Że Dumbledore dopuszcza się oszustwa, zmuszając *Harry'ego* do udziału w turnieju? Że Voldemort odrodził się dzięki ofierze z bezbronnego dziecka?

A widząc, że Kot ma mętne oczy, bo nic a nic nie rozumiał, o czym ona mówi, dokończyła:

– No i to fundamentalne i najgorsze kłamstwo: że Harry został opętany przez Voldemorta i oddał mu pokłon, przez co uznał jego

władzę!

Po czym bez litości otworzyła tom czwarty i prze-czytała:

> – Mała przerwa – rzekł Voldemort. – Boli, co? Nie chcesz, żebym to zrobił jeszcze raz, co, Harry? – Harry nie odpowiedział. Wiedział, że za chwilę umrze. Ale nie będzie igraszką Voldemorta, nie będzie mu posłuszny. Nie będzie go błagać o litość… Nie umrze klęcząc u stóp Voldemorta… Umrze wyprostowany, jak jego ojciec, próbując się bronić, nawet jeśli żadna obrona nie jest możliwa…

– Droga pani. – Kot wreszcie doszedł do głosu. – W imię czego egzaltuje się tak pani kiepską, jak sama pani powiedziała, literaturą?

– W imię tego, panie kolego, że jestem nauczycielem z dwudziestoletnim stażem – powiedziała twardo mama – i matką Eli. Ela dorasta. Jak zareaguje, kiedy usłyszy od pana, że papież popiera kłamliwe wypowiedzi? Przestanie chodzić na religię? Do kościoła? Tego pan chce?

– Andrzeju – odezwał się ksiądz Henryk – pani Róża ma rację. Pamiętaj, że nasze błędy kosztują dużo więcej niż jakiegokolwiek innego belfra.

– Dobrze, poddaję się! – Kot zamachał rękami. – Skoro i ksiądz uważa, że nie istnieje coś takiego jak zagrożenie magią i okultyzmem, to ja umywam ręce!

– Przez cały ten czas nic podobnego nie mówiłam – natychmiast zripostowała mama. – Ale skoro pan za Gabrielą Kuby chce zwalczać – tu mama zerknęła na ściągę – „podstępną promocję magii i satanizmu”, to proszę to robić rzeczowo i kompetentnie! Służę pomocą! I śpieszę donieść, że właśnie w tej chwili, na lekcji języka polskiego, moja córka – tu znowu wsparła się notatkami – „odbiera praktyczną lekcję okultyzmu, połączonego z poznawaniem technik wywoływania duchów, wchodzeniem z nimi w kontakt personalny, a wszystko to z bluźnierczym wykorzystaniem symboliki religijnej”.

Kot osłupiał.

– Co takiego?!

Ramiona księdza Henryka zaczęły dziwnie podskakiwać.

– *Dziady*, część druga, Andrzeju. No cóż, pani Różo, co wolno Adaśce, to nie pannie Joaśce…

Mama uznała, że wygrała, więc może okazać miłosierdzie zwyciężonemu.

– Panie kolego – powiedziała z całą kurtuazją, jakiej przez te długie lata pożycia nauczyła się od taty, ze specjalnym akcentem na „kolego" – strzelanie z cekaemu do *Harry'ego Pottera* to czyste marnowanie amunicji. Lepiej zachować ją na lepszą okazję i realnego wroga. Proszę mieć odrobinę zaufania zarówno do mnie, jak i do Eli. I pozwoli pan, że całą naszą dyskusję spuentuję jeszcze jednym cytatem:

> Ciebie nigdy nie uwiodła czarna magia, nigdy, nawet przez sekundę, nie pragnąłeś stać się jednym z jego zwolenników. Chroni cię twoja zdolność miłości. Pomimo wszystkich pokus zachowałeś czystość serca, zachowałeś je takim, jakim było, gdy miałeś jedenaście lat, kiedy spojrzałeś w zwierciadło odbijające pragnienie twojego serca, a ono ukazało ci tylko drogę do pokrzyżowania planów Voldemorta, a nie nieśmiertelność czy bogactwo. Przeniknąłeś do jego świadomości i nic ci się nie stało, natomiast on nie może zawładnąć tobą, nie narażając się na śmiertelną udrękę, bo nigdy nie starał się zrozumieć potęgi duszy niesplamionej i całej.

Ech, mamuśka… To był majstersztyk…

I pomyśleć, że w pół roku później cierpliwość i oddanie mamy dla sprawy *Harry'ego* zostało wystawione na bardzo ciężką próbę…

W tym momencie, drogi czytelniku, należałoby powtórnie zadedykować wszystko, co nastąpi poniżej, pani Marii Pruszkowskiej. Dlaczego, zaraz się dowiesz.

Było to latem dwa tysiące siódmego roku, po mojej pierwszej gimnazjalnej. Niziołki zaplanowały sobie na dwudziestego lipca wyjazd w nasze ukochane Tatry. Mieliśmy świetną kwaterę w Poroninie, gdzie zaprzyjaźniona pani gospodyni traktowała nas jak swoich. Zawsze zostawiała dla nas całe poddasze, składające się z dwóch dwuosobowych pokoi i jednego malutkiego Pod Schodami –

a jakże! – w którym dawniej sypiał Jasiek. Tym razem Pipa oczywiście już z nami nie było, za to Gośka uznała wakacje za bardzo dobry moment, żeby wprowadzić oficjalnie do rodziny Freda. Fred był supergościem z polibudy i, jak to tata staroświecko określał, fatygantem mojej siostrzyczki.

– Nie martw się, tatku, wszystko będzie po Bożemu – pośpieszyła wyjaśnić cisnące się do ojcowskiej głowy wątpliwości. – Ja będę spała jak zawsze z Elką, a Freda ulokujemy Pod Schodami. Zaprzyjaźnicie się z nim, będziesz miał z kim pogadać o polityce…

Trafiła w sedno, bo tata uwielbiał niekończące się dyskusje o sytuacji krajowej, a mama przeciwnie, cierpiała w milczeniu z miłości do ukochanego Roberta, ale znacznie bardziej wolała sobie po prostu poczytać. Obecność Freda dawała pełną satysfakcję wszystkim trojgu.

Wobec tego i ja postanowiłam upiec przy tym ogniu swoją pieczeń.

– Będzie nam za ciasno w piątkę w Kapitanie – zakaprysiłam. Kapitanem nazywaliśmy naszego mercedesa-beczkę, oczywiście na cześć Kapitana z *Wielkiej, większej i największej* Broszkiewicza. – Z Jankiem już było ciasno, a co dopiero z Fredem!

Fakt, Fred miał dwa metry i dwa centymetry, podczas gdy Pip dociągnął wprawdzie do w miarę przyzwoitego metra siedemdziesiąt, ale na tym koniec.

– Pojadę sobie pociągiem! – obwieściłam i popatrzyłam na rodziców, co oni na to.

Tata miał niewiarygodny instynkt albo po prostu rozeznanie na rynku wydawniczym, bo od niechcenia rzucił:

– A kiedy premiera siódmego tomu? Dwudziestego pierwszego? W dzień po naszym wyjeździe? – czym zdemaskował mój podstęp, bo oczywiście chciałam doczekać do dziesiątej rano dnia zero i rzucić się bez zwłoki do czytania. Co będę biegać po Zakopanem i stresować się, że *Harry* tam jeszcze nie dotarł!

– To co, mogę? – zapiszczałam, robiąc oczy kota ze Shreka.

Tata zawsze trząsł się o mnie jak kura o kurczęta, ale mama mnie poparła:

– Robert, niech jedzie. Nic jej się nie stanie. Weźmie kuszetkę, będzie miała wygodę.

Aha, mama też nie mogła się doczekać, jak to się wszystko skończy, i chciała sobie zapewnić bezpośredni dostęp!

Rodzice z Gośką i Fredem pojechali w piątek, zabierając też zwierzaki, żeby po drodze podrzucić je cioci Beacie i wujkowi Michałowi do Gołuchowa. Funia i Alf jeździły przeważnie z nami, ale nie w góry, a u Aniołów czuły się doskonale. Zostałam sama na gospodarstwie, wyposażona w bilet, jedzenie i tysiąc przestróg typu „nie spóźnij się na pociąg". Ja bym się miała spóźnić?!

W sobotę punktualnie o dziesiątej dokonałam zakupu w Omnibusie na Świętym Marcinie, wróciłam do domu, nastawiłam sobie zegarek i komórkę i zaczęłam czytać.

W tamtym czasie czytałam po angielsku zupełnie dobrze, z mówieniem i słuchaniem miałam problemy, ale nie z beletrystyką! Po jakichś ośmiu godzinach, z krótkimi tylko przerwami na przekąskę, byłam już z Harrym, Ronem i Hermioną w Ministerstwie Magii. Niestety, zadzwoniły budziki i musiałam przerwać. Byłam bardzo rozsądna, nie robiłam żadnych takich numerów jak Dyna przy czytaniu *Przeminęło z wiatrem*: wyłączyłam prąd i gaz, zamknęłam drzwi na trzy spusty i z lekkim plecaczkiem wyruszyłam na dworzec. Pociąg był już podstawiony, weszłam do wagonu sypialnego, znalazłam swoją kuszetkę, ułożyłam się na niej i spokojnie czytałam dalej.

Około pierwszej w nocy jeden ze współpasażerów nie wytrzymał nerwowo. Niestety, jako córka swojego ojca nie mogę zacytować w całości jego wypowiedzi. W skrócie chodziło o to, że on zapłacił za miejsce leżące, więc chce spać, a jak taka gówniara jak ja cały czas świeci, to ma wy… wyjść sobie na korytarz. Co też uczyniłam bez gadania, bo akurat nasi bohaterowie byli więzieni w piwnicy Malfoya, a Bellatriks torturowała Hermionę.

Usiadłam sobie na krzesełku składanym, doczytałam rozdział i sami wiecie, co było dalej: Harry kopał grób dla Zgredka, Ron oddał skrzatowi buty, Dean czapkę, a ja szlochałam, rozmazując łzy po policzkach.

Wtedy na korytarzu pojawił się pan konduktor. Zlustrował mnie bystrym okiem i zapytał surowo:

– Co tu się dzieje?

– Nie, nic – powiedziałam pośpiesznie – ci państwo chcieli, żebym wyszła…

Mój Boże, co on sobie wtedy pomyślał…

– Chodź ze mną – powiedział stanowczo. – Połóż się tutaj. – I wprowadził mnie do zarezerwowanego, pustego przedziału. – Poczekaj, przyniosę ci ciepłej herbaty, a potem zamknij się dobrze i w razie czego od razu na mnie dzwoń!

Nie powiem, żeby mi to nie odpowiadało. Miałam święty spokój, mogłam świecić i czytać dalej do woli, chociaż teraz szło mi to coraz wolniej. Dostawałam dreszczy i herbata bardzo mi się przydała. Nie wiedziałam już, gdzie jesteśmy, straciłam nawet poczucie kierunku, więc nie umiałam powiedzieć, czy jesteśmy przed Chabówką czy za. W każdym razie w realu zaświtało szybciej niż na kartach książki.

Bitwa o Hogwart rozgorzała na całego, kiedy pociąg wtoczył się na jakąś kolejną stacyjkę i prawie zaraz ruszył dalej. Nagle przed samym nosem, za szybą wyrosła mi machająca rozpaczliwie mama. To był Poronin.

Speszyłam się, ale po chwili przyszedł esemes o treści: „Przyjadę po ciebie do Zakopanego, czekaj!". Wobec tego uznałam, że mogę sobie spokojnie jeszcze dziesięć minut poczytać, a właśnie Harry walczył ze Ślizgonami o diadem. Z dziesięciu minut zrobiło się dwadzieścia, bo postaliśmy trochę pod semaforem.

I w momencie kiedy pociąg toczył się przez zakopiański peron, dotarłam nieuchronnie do tych okrutnych słów: …*and Fred's eyes stared without seeing, the ghost of his last laugh still etched upon his face*.

Zamarłam.

To niemożliwe. Musiałam źle zrozumieć, coś przekręcić, to przez zmęczenie…

Ale nie, nie chciało być inaczej: „Fred miał martwe, niewidzące oczy; na jego zastygłej twarzy wciąż błąkał się uśmiech…"[7]

Trzęsącymi się rękami upchnęłam *Harry'ego* w plecaku i z ogromnym, niepohamowanym płaczem runęłam prosto ze schodków w ramiona mamy.

Mamę zatchnęło.

– Jezus, Maria, co się stało? – jęknęła przerażona.

– Fred nie żyje! – zaszlochałam rozpaczliwie.

Mama osłupiała ze zgrozy. Gośka z Fredem o szóstej rano wyruszyli na Orlą Perć…

– Matko Boska, jak to nie żyje? To niemożliwe!

– Przywaliło go…

Mama poczuła, że robi jej się słabo. Żeby nie zemdleć, oparła się o słupek i resztką sił wyrzuciła z siebie:

– Skąd wiesz?! Gośka do ciebie dzwoniła? Dlaczego do ciebie? Ja jestem cały czas pod komórką!

Dopiero wtedy zrozumiałam, co narobiłam.

– Eee… mamo… – wyszeptałam cichutko. – Ja mówię o Fredzie Weasleyu…

Mamie pociemniało w oczach i swoją ekspresję wyraziła w sposób całkowicie w tych okolicznościach zrozumiały:

– Ja ciebie, kurwa, chyba zabiję!

Miała pecha, bo na tę kwestię natrafił właśnie wysiadający z wagonu dobry pan konduktor. Co sobie pomyślał o losie tego nieszczęśliwego, poniewieranego przez wszystkich dziecka, Bóg jeden wie.

Mama zacisnęła mi palce na ramieniu, zawlokła do samochodu i wystartowała z piskiem sprzed dworca. Miałam tyle rozumu, żeby nic więcej nie mówić.

W Poroninie czekał już stęskniony tata.

– O, Elunia – powiedział radośnie. – Zmęczona? Może się położysz?

– Ależ skąd, wcale nie jest zmęczona – wycedziła mama. – Przecież miała kuszetkę. Jedzmy śniadanie i ruszajmy na Czerwone Wierchy.

Ledwo włóczyłam nogami w drodze na Halę Kondratową, ale w mamę złe wstąpiło: bez cienia litości goniła mnie dalej pod górę niebieskim szlakiem w kierunku Giewontu.

Odpuściła dopiero na „Polanie Kanapkowej”.

– Jak chcesz, idź sam na Giewont – powiedziała do taty. – Ja tu z Elą poczekam.

A kiedy tata zmniejszył się do rozmiarów ludzkiej mrówki pracowicie pokonującej zbocze, odezwała się do mnie:

– Opowiesz?
Wtedy już wiedziałam, że wszystko w porządku.

[7] Tłumaczenie Andrzej Polkowski.

Rozdział VIII

Srebrne szkło

Raz jeszcze przyjdzie mi cofnąć się w czasie do początku roku dwa tysiące drugiego, kiedy to cała rodzina czekała na polską premierę *Drużyny Pierścienia*. Tak się złożyło, że miała ona nastąpić niemal tuż po *Kamieniu Filozoficznym*, o którym tyle było w poprzednim rozdziale. Nie dziw się zatem, miły czytelniku, że opowiadam ci osobno o tych moich dwóch nieszczęsnych, jak to ujęłam, fascynacjach kulturowych. Gdybym pisała o wszystkim naraz, przegrzałyby nam się niechybnie mózgi…

Gośka była wtedy rok przed maturą, ja i Pip w drugiej klasie, z tym oczywiście, że on w liceum, a ja w podstawówce. Fabułę *Władcy* znałam już całkiem dobrze, bo jak wiecie, do ilustracji Alana Lee tata doczytywał mi i opowiadał odpowiednie fragmenty. Próbowałam też czytać sama, ale jako że *Władca* raczej nie jest „rzadko pisany", szło mi to średnio. Zatem aż dygotałam z niecierpliwości, kiedy wreszcie film wejdzie do kin. Mamie, Gośce i Pipowi nie wypadało tak jawnie okazywać emocji, ale oni też dygotali.

Tata natomiast… Cóż, tu właśnie zaczyna się niezwykle interesująca, acz drażliwa historia pod tytułem „Robert Niziołek versus Peter Jackson". Historia, która o mały włos nie doprowadziła do… ale nie uprzedzajmy wypadków.

Tata, oczywiście, też czekał i też nie mógł się doczekać. Ale w odróżnieniu od nas już po pierwszym trailerze, ba, po pierwszych opublikowanych zdjęciach z planu, zaczął szukać dziury w całym.

Poszło rzecz jasna o Froda. Kiedy tylko tata dowiedział się, że Froda grać będzie młody, niespełna dwudziestoletni aktor, zaczął kaprysić.

– Jak można odmładzać postać o trzydzieści lat?! – prychał z oburzeniem.

– Nie o trzydzieści, jakie trzydzieści – spieszyła z ripostą Gośka. – Pięćdziesiąt lat u hobbitów to tak pi razy oko trochę mniej niż ludzka czterdziestka.

– Niby jak ty to liczysz? – nie ustępował tata.

– Hobbici żyli pod setkę, więc jeżeli dla dużego człowieka przyjmiemy siedemdziesiąt pięć, to musimy przemnożyć wiek niziołka przez trzy czwarte – biegle wyliczyła pani matematyczka, prywatnie mama.

– A poza tym Frodo przestał się starzeć w dniu hobbickiej osiemnastki, więc ma prawo młodo wyglądać – dodała Gośka.

– Ale Frodo ma reprezentować autorytet! Mądrość!

– Oj, tato, może w *Powrocie króla*! W *Drużynie* to on jest na etapie tańczenia po stole i śpiewaniu o krowie, co skoczyła na księżyc! – błyskotliwie odcięła się Gośka.

– Poczekaj, Robert, zobaczymy jak to wyjdzie, może będzie dobrze – mitygowała mama.

Tata pomruczał coś jeszcze o komercjalizacji i do czasu dał spokój. Nie rozumiałam, o co mu chodzi, mnie samej Elijah Wood bardzo się podobał, dużo bardziej niż Frodo z ilustracji Alana Lee. Ale tata, wtedy czterdziestoletni, odczuł to jako deprecjonowanie jego samego: że dla Jacksona tylko to, co młode i ładne, jest atrakcyjne. No i po tolkienowsku rzecz biorąc, miał słuszność.

Usłyszałam jeszcze fragment rozmowy Pipa z Gośką, która perorowała:

– …a co, chcesz, żeby po ekranie biegało czterech ramolowatych małych grubasów z rumianymi policzkami? Boki zrywać! To nie komedia! – i wtedy przyznawałam jej rację. Dzisiaj, po *Hobbicie*, w którym Bilbo jest wszak dokładnie w wieku Froda, doskonale widzę, że bohater może być nieatrakcyjny fizycznie, trochę śmieszny, trochę żałosny – a podbić serca tak, jak żaden młodzik by nie potrafił.

Dylematy co do wieku Froda zaowocowały w postaci paru wymyślonych przez Gośkę dowcipów. Ogarnęło nas bowiem szaleństwo przerabiania wszystkich starych kawałów na *Władcę* lub *Harry'ego*, co lepiej pasowało, albo po prostu układałyśmy krótkie, parodystyczne fanfiki. Posłuchajcie tego: hobbici siedzą sobie w Rozbrykanym Kucyku. Frodo rzuca sentencjonalnie: „Życie zaczyna się po pięćdziesiątce…". Na co Pippin: „Kuzyn Frodo zawsze miał słabą głowę. Dla mnie życie zaczyna się po drugiej pincie!". Druga wersja brzmiała nieco bardziej pikantnie. Frodo: „Strzeliłbym pięćdziesiątkę…". Pippin: „A ja osiemnastkę!".

Było jeszcze w domu trochę gadania na temat Toma Bombadila, ale o dziwo, tata jakoś go odżałował, bo większego skakania sobie do oczu na tę okoliczność nie pamiętam. No i w piątek piętnastego lutego w niezwykle podniosłym nastroju udaliśmy się wszyscy do Multikina na tak wyczekiwaną *Drużynę*. Nawiasem mówiąc, moim porąbanym rodzicom nawet w głowie nie postało, że obraz może być nieodpowiedni dla dziewięcioletniej Eluni. Karmieni *Władcą* wraz z mlekiem matki, byliśmy według nich odporni na takie paskudztwa jak orkowie czy Balrog i nie mogły nas one zbulwersować. W sumie racja. Raz tylko, na samym początku, kiedy ohydni orkowie szczerzyli zepsute zęby, miałam ochotę wsadzić głowę pod fotel, ale potem się do nich przyzwyczaiłam i szokowali mnie dużo mniej niż dwugłowy Voldemort.

Co pamiętam z tamtego seansu? Radość ze spotkania starych przyjaciół. Uniesienie w walce. Zachwyt nad przepięknymi krajobrazami. Muzykę. Feerię kolorów z dominującą zielenią. Ale najbardziej pędzącą na białym koniu Arwenę, ściganą przez Nazgûli rozciągniętych w bojowym szyku.

No właśnie, Arwena…

Tata, nie powiem, wrócił do domu usatysfakcjonowany. Może nawet bardziej niż usatysfakcjonowany. Co nie znaczy, że zaraz przy pierwszej okazji nie zaczął kruszyć kopii o Jacksonowe bluźnierstwa. Najpierw dostało się uszom elfów:

– Gdzie, pokaż mi, gdzie Tolkien pisze, że elfowie mieli spiczaste uszy! – pokrzykiwał tata.

Potem przyczepił się do Aragorna, że był brudny, za mało dostojny i nie nosił u boku złamanego Narsila. No i bardzo dobrze, jak by miał nim walczyć? Musiałby mieć drugi, normalny, i jeszcze do tego targać ułomki w tobołku. Nie za dużo szczęścia?

Następny w kolejce był Elrond. Tu Jackson oberwał, że zaangażował do tej roli aktora specjalizującego się w zboczeńcach i innych typach spod ciemnej gwiazdy. Chyba o *Matrix* tacie chodziło, ale żeby zaraz zboczeniec?

No i wreszcie doszliśmy do Arweny. Według taty Arwena była ciałem astralnym, co to pojawia się na kartach powieści trzy razy (a odzywa raz na samym końcu i to nie do swojego wytęsknionego Estela, ale do Froda, he, he) i przerobienie jej na wojowniczkę było nadużyciem.

– Taszczyła tego Froda jak przesyłkę kurierską! Gdzie Glorfindel, pytam się? A Frodo ubezwłasnowolniony kompletnie, ani *o Elbereth!*, ani…

Przysięgam, że tata miał ochotę powiedzieć „pocałujcie mnie w…”!

Mama próbowała go mitygować:

– Kochany, daj się na chwilę zauroczyć! Wojowniczka, owszem, ale jaka piękna! Mogła Lúthien walczyć za swojego Berena, to i jej pozwól.

– I to migdalenie się z Aragornem!… – nie ustępował tata.

Mamę ruszyło.

– No ty świętochu! Jak „Lúthien wysunęła się z ramion Berena i zniknęła mu z oczu w pierwszych promieniach świtu, a Beren leżał na ziemi zemdlony” – och, ta mamy pamięć do cytatów! – to dobrze, a dwa buziaki ci przeszkadzają?

Problem polegał na tym, że mama nie kochała *Władcy* od zawsze. Kochała swojego Roberta i dla niego pokochała *Władcę*. A teraz, tak jak ja, po dziecięcemu zachłysnęła się filmem i nie mogła zrozumieć, czemu tata nie chce jej w tym towarzyszyć. Spróbowała z innej beczki:

– A nie uważasz, że Jackson w genialny sposób poprawił scenę śmierci Boromira?

Tata się zjeżył. Jackson miałby poprawiać Tolkiena?! Ale mama, nieświadoma nietaktu, jechała dalej:

– Czemu Tolkien, choć katolik, kazał umierać Boromirowi w zwątpieniu? Ba, mało powiedziane, w rozpaczy! A w filmie – patrz: mamy całą, kompletną katolicką spowiedź!

Tata prychnął. Trochę chyba dla formalności, bo idę o zakład, że był ciekawy, co jego Różyczka wymyśliła.

– Jest rachunek sumienia? Jest: „Co ja zrobiłem!". Jest żal za grzechy? Jest: *Frodo, I'm sorry!* Jest wyznanie winy? Jest: „Chciałem mu odebrać Pierścień… wybacz!". Nawet mocne postanowienie poprawy: „Poszedłbym z tobą wszędzie… mój bracie, mój wodzu, mój królu!".

Jak mama to wspaniale opowiadała! Każdy detal stanął mi na świeżo przed oczami!

– Pokutę już odprawił w walce, i to jak, nie mów, że cię to nie wzięło! No i rozgrzeszenie Aragorna na koniec: „Boromirze, dzielnie walczyłeś… Ocaliłeś honor!" I pociecha: „Nie pozwolę na upadek Białego Miasta!".

Tata chyba diabła poczuł za kołnierzem, bo wyskoczył:

– I ta wędrująca ręka do tego, raz na ramię, raz na dół!

Teoretycznie była to prawda, bo rzeczywiście w ujęciu z przodu Boromir trzyma Aragorna za rękę, a kiedy kamera najeżdża z tyłu – za szyję. Tylko że ja zauważyłam to dopiero za którymś razem na wideo.

Mama się wkurzyła, wykrzyczała, że tata jest bez serca, skoro w takiej scenie analizuje błędy montażowe, i wyszła, trzasnąwszy drzwiami. A miała świętą rację, bo po książkowym zejściu Boromira ma się doła jak stąd do Mordoru… U Jacksona było lepiej… Smutno, ale tak jakoś… krzepiąco… Jak w *Panu Wołodyjowskim*…

Mimo wszystko ich starcia przy *Drużynie* to była przygrywka. Najgorsze miało dopiero nadejść.

Niemal dokładnie rok później w komplecie pomaszerowaliśmy na *Dwie wieże*. No i tu było o wiele gorzej.

Tata już w kinie był nieznośny. Podnosił oczy do nieba, zapowietrzał się, jęczał: „O Jezu!". Nic mu się nie podobało. Ze względu na cierpliwość czytelnika nie przytoczę kilometrowej listy jego obiekcji; w końcu nie wszyscy są tak walnięci jak nasza rodzinka. A czytelnik dysponuje wyobraźnią i bez trudu przywoła ze

swojego doświadczenia taką sytuację, w której domownicy pocięli się dosłownie o byle co.

Dość powiedzieć, że po powrocie do chaty tata natychmiast zaczął pomstować na Faramira, któremu reżyser zepsuł charakter:

– Co ten kretyn – to było o Jacksonie – z niego zrobił? – pokrzykiwał. – Że co, że dobro jest nieatrakcyjne, tak? Niewizualne? Jak znalazł się facet z charakterem, co potrafił powiedzieć: „Nie chcę Pierścienia!", to oni to muszą zaraz przerobić?! Nikt by rzekomo nie uwierzył, że można przezwyciężyć pokusę?!

Mama wiła się w męczarniach, bo właściwie nie było czego bronić. Fakt, Jackson przesadził. Ja też zawsze wolałam tego książkowego, dobrego Faramira. Czułam się z nim bezpiecznie: taki nie zdradzi, nie zawiedzie, nie złamie danego słowa.

Na szczęście w tym momencie przybyła kawaleria w osobie mojego kochanego braciszka. To jest, fizycznie oczywiście znikąd nie przybywał, cały czas był na miejscu i chciwie słuchał.

– Tato – powiedział z lekkim wahaniem – przepraszam, że przerywam tę pasjonującą dyskusję… – tu zawiesił lekko głos, drań – ale czy pamiętasz o mojej poniedziałkowej wywiadówce?

„Jasne, że pamiętam! Czy to naprawdę jest w tej chwili takie ważne?!" – W oczach taty dawało się wyczuć irytację.

– Bo widzisz – wyduszał z siebie Jasiek – jest taka sprawa, że…

„Yes taka sprawa, żes tanisława" – przypomniała sobie mama pana Oracabessę z *Języka Trolli* Musierowicz i w panice wbiła paznokieć pod paznokieć, żeby nie parsknąć śmiechem. Po co się narażać ukochanemu Robertowi.

– …chyba będą cię tam hańbić, że źle wychowałeś syna – dokończył bohatersko Janek. – Starych Merry'ego zresztą też – dodał z rezygnacją. – I teoretycznie matkę Wioli, ale ona i tak nigdy się na zebraniach nie pojawia.

Tata osłupiał. Faramir poszedł w odstawkę. On miałby źle wychować dzieci?!

– Co takiego?! Co wy żeście nabroili?

– Chodziliśmy po szkole w nakryciach głowy – wyjaśnił z leciutką satysfakcją Pip.

Tata miał w oczach dwa wielkie znaki zapytania i wyrzut: „Synu! Jak mogłeś?!”.

W tym miejscu mój braciszek przystąpił do dłuższych wyjaśnień. Otóż pani od WOS-u była z gatunku tych, co to wiedzą najlepiej, i usiłowała wskazać podopiecznym Jedynie Słuszny Kierunek. Po kilkumięsiecznych meczach, w których kluczową rolę grała nasza trójca, pani puściły nerwy i warknęła:

– Zachowujecie się jak moherowa koalicja!

Towarzystwo przemilczało tę inwektywę i przystąpiło do działań zaczepnych.

Na Rynku Wildeckim kupili trzy moherowe berety, wybierając starannie najbardziej jadowite kolorki, jakie dało się wyszukać. Merry’emu przypadł krzyczący seledyn, Wiola zdecydowała się na kanarkowożółty. Jasiek natomiast... Cóż, muszę to wyznać, wszak prawda przeciw światu: Pip wziął różowy.

W tym miejscu pośpiesznie raportuję czytelnikowi, że w takim na przykład Giro d’Italia lider wyścigu nosi różową koszulkę i nikt nie ma głupich skojarzeń!

Tak czy inaczej Janek, Merry i Wiolka przyodziani w tenże niezwykły sposób zaczęli paradować po szkole, polując na panią profesor od WOS-u. Zaś kiedy tylko udało im się ją wypatrzyć, zaczynali śpiewać:

– Dziś wszystko zależy od polskiej młodzieży, następne tysiąc laaat!… – a pikanterii dodawał fakt, iż ta szacowna pieśń religijna była u nas w domu na cenzurowanym i traktowana jako sacro polo.

Władza szkolna musiała jakoś zareagować, więc wybrano metodę jak z czasów komuny, kiedy to konspiratora sadzano nie za rozrzucanie ulotek, tylko za zaśmiecanie miasta. Nie można się było przyczepić do meritum, więc odstrzelono ich za brak wychowania i chodzenie po szkole w czapkach. Mamusina intuicja co do Stanisławy Trolli była genialna. Do poniedziałku walki podjazdowe ze względów oczywistych zostały zawieszone.

Niestety, bohaterstwo Janeczka, który złożył się w ofierze całopalnej na ołtarzu miru domowego, nie przyniosło długotrwałych efektów. Tata wrócił z wywiadówki zły jak diabli, bo faktycznie przejechali się po nim i panu Szczęsnym jak po łysych kobyłach.

Jaśka się nie czepiał, bo tak jak niegdyś ze swoją Perełką, tak teraz solidaryzował się z Peregrynem. Postanowił sobie tedy odreagować na Jacksonie i padło, co łatwo zgadnąć, na Helmowy Jar.

– Na diabła ci elfowie z Haldirem? Kompletnie niepotrzebnie dodany materiał!

– Nie czepiaj się, scena jest świetna, wkraczają jak trzystu Spartan! – próbowała łagodzić mama.

– Jak pruska lejbgwardia – mruknął tata.

– Przez chwilę popatrz sercem, nie śledzioną! – skoczyła mama. – Daj się ponieść! Przybywają Pierworodni w ostatniej chwili jak niebieska kawaleria… Théoden pyta: jak to możliwe? Ano, niemożliwe, ja o tym wiem, ty o tym wiesz i wszyscy czytelnicy. Ale jest piękne! Elfowie są z nami, jest ich mało, ale dają, co w ich mocy. Swoją nieśmiertelność…

Mama naprawdę miała talent wizjonerski. Swoją drogą, ja też uwielbiam tę scenę, i to jak Aragorn rzuca się na szyję Haldirowi. Haldir jest lśniący jak anioł, a Aragorn przeciwnie, sponiewierany i brudny. I Haldir po króciutkiej chwili wahania przytula tego obszarpańca…

– …i potem ci pomarli elfowie na pobojowisku jak na obrazie Malczewskiego… i złote włosy Haldira w nieładzie… „Z włosów anioła ściekają krople wosku i tworzą przepowiednię…”

Tata był pod takim wrażeniem jej erudycji, że odpuścił na całe dziesięć minut. Dojadł kolację i wytoczył ostatnie działo:

– A co powiecie na koszmarek nad koszmarkami, najlepszy numer produkcji Jacksona: wiek Gandalfa? Co ma oznaczać ta kwestia: *Three hundred lives of men I have walked this earth*[8]? Mam się śmiać czy płakać?

– No i w czym problem? Jeżeli za długość ludzkiego żywota przyjmiemy siedemdziesiąt lat, to dostaniemy dwa tysiące sto. Tyle, ile trzeba – powiedziała zirytowana mama, bo miała już tego wszystkiego serdecznie dość.

– Naszej pani matematyczce zera się pomyliły – wycedził tata tak zjadliwie, jak jeszcze nigdy nie słyszałam – czy nie rozumie, co to znaczy *three hundred*?

Mamie buchnął do lic taki ogień wstydu, że mało nie spłonęła. Fakt, musiała być już na tyle wkurzona i zmęczona tą absurdalną antyfilmową wyliczanką, że zdarzyła jej się rzecz niewiarygodna: źle przeliczyła trzysta razy siedemdziesiąt i zamiast dwadzieścia jeden tysięcy wyszło jej dwa tysiące sto. A w dodatku ukochany Robert dał jej niedwuznacznie do zrozumienia, że jest przy nim anglistycznym zerem…

Nawet Jasiek by tu nie poradził, ale wtedy zadziałała siła wyższa.

Zabrzmiał dzwonek. Mama z furią otworzyła drzwi i skamieniała.

– Przybieżeli do Betlejem pasterzeee!.. – zaczęli swoją robotę dwaj ministranci w komżach.

– Wy po kolędzie? – wyszeptała słabo mama. – Ale przecież w tym roku… nie na naszej ulicy… – Z wrażenia plątał jej się język. – Nikt nas nie zawiadomił…

Cały dowcip polegał na tym, że w naszym parafialnym kościele byliśmy rzadkimi gośćmi, a po kolędzie przychodzili do nas co dwa lata. Tyle tylko, że w tym roku zmienił się proboszcz, który postanowił obskoczyć wszystko, pomińmy, z jakich przyczyn. Załóżmy, że altruistycznych.

– Piotrek miał wrzucić zawiadomienie do skrzynki – beztrosko oznajmił starszy z chłopców. – To co, przyjmuje pani?

– Powiedzcie księdzu, żeby poszedł najpierw na piętro – zadysponowała dzielnie mama i runęła do boju.

– Robert! Kolęda! – zawołała, wpadając do salonu.

Rodzina zastygła, a potem rozprysnęła się karnie po kątach z niezwykłym zaangażowaniem i takimż pośpiechem. Brudne naczynia porwano metodą giermków malborskich z *Krzyżaków*, czyli razem z obrusem. W pięć minut znalazło się wszystko: świece, krucyfiks, woda święcona…

– Forsa dla księdza! – przypomniał praktycznie Pip.

Mama kwiknęła. Na zakupach wydała prawie wszystko i zostało jej może dziesięć złotych.

Gośka miotnęła się do swojego pokoju i wyszarpnęła z szuflady zaskórniaka jeszcze z osiemnastkowych prezentów.

– Koperta! – zażądała dramatycznie.

Koperty były diabli wiedzą gdzie, więc tata zawinął banknot w białą kartkę papieru i spiął spinaczem. W samą porę, bo znowu zabrzmiał gong u drzwi.

– Niech będzie pochwalony!… – obwieścił dostojnie nowy proboszcz, wkraczając do mieszkania. – Ooo, ile książek!…

Rozsiadł się wygodnie, zajrzał w kartotekę i powiedział z wyrzutem:

– Ale w kościele to ja was jeszcze nie widziałem!

– Bo my chodzimy do dominikanów – jęknęła mama.

– Taaak – westchnął proboszcz. – Wszyscy mówią, że chodzą do salezjanów albo do katedry, albo na Wzgórze Przemysława… A kosciół parafialny świeci pustkami…

Traumatyczny szok spowodował, że wojna domowa ucichła.

Potem rodzice zajęli się maturą Gośki i jej studiami, czas leciał, aż nieuchronnie przyszedł koniec roku i premiera *Powrotu króla*. Tym razem Jasiek ogłosił, że idzie na seans sylwestrowy z Merrym i Wiolą, a Gośka się do nich przyłączyła. Uciekali przed niechybną konfrontacją, ot co. W samiutki Nowy Rok wyruszyliśmy zatem do kina tylko we troje: mama, tata i ja.

I wtedy przyszedł na ojczyznę już nie paroksyzm, ale trzęsienie ziemi, tsunami i wybuch elektrowni atomowej…

Na początku było miło, scena biegła za sceną dość poprawnie, tata siedział cicho, mama się rozluźniła. Ja sama chłonęłam akcję całą sobą, przez te dwa lata, muszę się pochwalić, zmądrzałam i film nie był już dla mnie li tylko kalejdoskopem barwnych obrazów, tylko ciągiem logicznych wydarzeń, konfrontowanych na bieżąco z książką.

Po raz pierwszy tata zaczął się wiercić przy zapalaniu wici przez Pippina. Scena ta jednakże była bezdyskusyjnym majstersztykiem filmowej roboty, więc wyrok został odroczony.

Kryzys przyszedł w momencie kiedy Gollum wyrzucił lembasy, a Frodo odprawił Sama. Miałam rozdarte serce i zaczęłam płakać razem z Samem, więc nie zwróciłam uwagi na to, że w tacie się gotuje. Zaraz potem z kolei zryczałam się, kiedy Pippin śpiewał swoją pieśń, więc w ogóle nie byłam świadoma podgrzewania atmosfery.

Ścieżka Umarłych przeszła nawet ulgowo, ale drugi dzwonek ostrzegawczy zabrzmiał, kiedy Gandalf spałował Denethora. Mama

nie miała odwagi spojrzeć na tatę. Na szczęście zajścia w Jaskini Szeloby, chociaż dość dowolnie potraktowane, były tak emocjonujące, że pozwoliły zapomnieć o Jacksonowych bluźnierstwach. Znowu ryczałam razem z Samem, choć doskonale wiedziałam, że Frodo przeżyje.

I wtedy nastąpiło tąpnięcie, któremu nie zapobiegła nawet odsiecz Rohirrimów. Denethor oblał się olejem, Gandalf spałował go po raz drugi, a kiedy Namiestnik Gondoru sfruwał z siódmego poziomu jak kometa Halleya, tata podniósł się i zrobił ruch, jakby chciał wyjść.

Na szczęście w tym momencie zadziałało solidne wychowanie jedynaka przez cztery dorosłe osoby, które nigdy nie szczędziły dla niego czasu i wysiłku. Siedzieliśmy na samym środku, więc tata musiałby przebijać się przez cały rząd, przeszkadzając tłumowi ludzi. Usiadł więc z powrotem i zaczął głęboko oddychać, Robert Co Klątwą Się Nie Kala…

Rohirrimowie walczyli jak pułki niebieskie, Éowina z Merrym dali wycisk Nazgûlowi i mamie zaświtała nadzieja, że dalej już wszystko pójdzie w miarę tradycyjnie, chociaż pociecha udzielana przez Gandalfa Pippinowi daleka była od ortodoksji.

Gdy Aragorn pod Czarną Bramą wołał: „Synowie Gondoru! Rohanu! Bracia moi! Być może przyjdzie dzień strzaskanych tarcz, ale to nie jest ten dzień! Za wszystko, co wam na tej ziemi święte, dziś stajemy do walki, ludzie Zachodu!”, pomyślałam sobie: jaka to szkoda, że tata wygłaszał swoje przemówienie absolutoryjne dawno temu. To byłoby o wiele lepsze…

Dalej już płakałam przez cały czas, a kiedy Sam oddawał Frodowi resztkę wody i mówił ze spokojnym smutkiem: „nie sądzę, żebyśmy mieli wrócić”, myślałam, że mi serce pęknie.

No i wtedy się porobiło. Kiedy Frodo walczył z Gollumem na krawędzi Przepaści, nie tylko mama, ale nawet ja, zaryczana i nieprzytomna, miałam świadomość, że tata zaraz eksploduje. Jakoś jednak przetrzymał, a kiedy wychodziliśmy z kina, wydawał się całkiem… zadowolony?… Nie, to stanowczo za dużo powiedziane. Pogodzony z losem?…

Miał na tyle sił, cierpliwości i taktu, że nie wszczynał awantury przez cały Nowy Rok, ale następnego dnia się zaczęło. Ten jeden

dzień pozwolił mamie zewrzeć szyki.

Na pierwszy ogień poszło nieszczęsne „wracaj do domu".

– Ten baran – to znowu, rzecz jasna, było o Jacksonie – wymyślił sobie, że Frodo musi wejść do Jaskini Szeloby sam, więc co trzeba zrobić? Jasne, usunąć Sama! Bez sensu i logiki! Nagle Frodo miałby uwierzyć byle kanalii, że jego przyjaciel podkrada lembasy i wyekspediować go za to do domu! Bagatela, tylko z tysiąc kilometrów!

– Zaraz, zaraz, po kolei – studziła jego zapał mama. – Frodo nie odprawia Sama dlatego, że ten zjadł ostatnie zapasy…

– No pewnie, to są właśnie konsekwencje „złego Faramira", który nie dał im nic do jedzenia – nie wytrzymał tata.

– …jego to mało co obchodzi! Lembasy zginęły i już, a on jest tak udręczony, że nie ma siły analizować, co się z nimi stało. Dba tylko, żeby Sam w świętym gniewie nie zatłukł im przewodnika. Każe mu odejść, bo nie chce dla niego losu Boromira, a po drugie sam już jest pod władaniem Pierścienia i drży, że mógłby go stracić!

– Bzdury opowiadasz, łączyła ich głęboka przyjaźń i Frodo nigdy by tego nie zrobił!

Mama popatrzyła spod oka.

– Oj, zrobił, zrobił, i to jeszcze jak!... Już nie pamiętasz, co usłyszał wierny Sam zaraz potem, kiedy ocalił swego pana od śmierci w męczarniach? „Nie, nie dostaniesz go, złodzieju!"

– I natychmiast przeprosił!

– Ten filmowy też, i to dwa razy: jeszcze w Jaskini Szeloby, gdzie aż mdleje z żalu, a potem w Wieży i to są jego pierwsze słowa skierowane do Sama…

Gośka i Pip siedzieli jak myszy pod miotłą i nie dolewali oliwy do ognia. Później na boku słyszałam taki dialog pomiędzy nimi:

– Jak to dobrze, że tata nie zauważył, co było najgorsze w tej scenie – mówił Pip.

– Niby co?

– Lembasy, Gośka. Wiesz przecież, co znaczyły dla Tolkiena. A jak Gollum je wyrzucił, to w ostatnim, najgorszym podejściu Frodo i Sam byli pozbawieni pokarmu… – Przysięgłabym, że to ostatnie słowo było przez duże P.

– „…który wzmacniał nie tylko ciało, lecz i duszę, taką dając jej wolę przetrwania”… – dokończyła Gośka, która jak mama miała głowę do cytatów.

– Siostra, ty, ty cytujesz za Łoziną? – zaśmiał się Jasiek.

Gośka na tłumaczenie Łozińskiego miała długie zęby.

– A bo jakoś tak wyjątkowo kompatybilnie wychodzi…

Na deser zostały gorszące sceny nad Szczeliną Zagłady. I tu właśnie nastąpiło tsunami połączone z eksplozją reaktora.

– Ja wszystko rozumiem – grzmiał tata – można wyrzucić pewne wątki i postacie, poprzestawiać fabułę… – pewnie, Jackson bardzo roztropnie przestawił Szelobę do trzeciej części, inaczej nie utrzymałby chronologii wydarzeń – nawet pododawać coś od siebie…

– To się nazywa amplifikacja – ze zjadliwą słodyczą podpowiedziała mama.

– …ale są pewne granice! I taką granicą jest niedopuszczalna ingerencja w literacki pierwowzór! W jego treściowy depozyt! Dobrze mówię, pani magister? – To było do mamy.

– Wszystko zależy od pierwowzoru – nie ustępowała mama. – Jak zmasakrowali Dumasa w *Człowieku w żelaznej masce*, to żeście wszyscy, z tobą na czele, śmieli się ze mnie, że mam fioła i przesadzam.

– Dobre porównanie, Dumas i Tolkien – zaperzył się tata. – Akurat twój poziom!

Aaa, niedobrze!…

– …Tolkien bardzo wyraźnie, wręcz łopatologicznie wyłożył, o co chodziło w unicestwieniu Pierścienia…

– Tak, tatku, wiemy. – Gośka jednak spróbowała mediacji. – Frodo uczynił wszystko, co w jego mocy, i zawiódł w ostatnim momencie. Wtedy włączyła się Opatrzność i dokończyła dzieła za sprawą Golluma. – Chyba miała zamiar dodać „amen”, ale ugryzła się w język.

Tacie nie spodobała się ta uproszczona egzegeza.

– Mogło się tak stać tylko dlatego, że trzy osoby trzykrotnie okazały Gollumowi miłosierdzie: Bilbo, Sam i Frodo, chociaż mieli święte prawo, żeby go zabić. Dlatego znalazł się w odpowiednim czasie na odpowiednim miejscu!

– …a Frodo w tym czasie leżał jak baran i nie reagował, że ta kreatura zabrała mu jego własność – ni stąd, ni zowąd wyskoczyła mama – ewentualnie w wersji pozytywnej: że jego morderczy wysiłek został zaprzepaszczony, a świat zgubiony! Trochę Mistrz miał problem z logiką sytuacyjną, czyż nie?

Była to herezja tak niebotyczna, że tatę zatkało.

– Poza tym, mój drogi, Bilbo wcale nie miał aż tak świętego prawa zabić Golluma. On by to zrobił dla wygody! Pamiętaj, że to Bilbo wykpił Golluma, a nie odwrotnie. – Racja, dzisiaj, już po *Hobbicie*, w oczach mi stoi ta scena. – Święte prawo do zabicia „tej zdradzieckiej pokraki, tego mordercy" – w cytatach mama była nie do przegadania – miał przede wszystkim Sam. I to zostało pokazane! Nie dobijał go, pobiegł za Frodem, bo Frodo był dla niego najważniejszy!

– Jackson zamordował biblię *Władcy Pierścieni* – nie ustępował tata. – Jeszcze raz ci powiem, Tolkien nie dla własnego kaprysu wprowadził czynnik transcendentny – trudnych słów było coraz więcej, zaczynałam się gubić – a w filmie na niego po prostu nie ma miejsca! Są tylko ludzie i ich ludzkie sprawy!

– Chwila – powiedziała mama – przeanalizujmy. Frodo szarpie się z Gollumem i niech będzie nawet, że chce mu tylko wydrzeć z powrotem Pierścień. Spadają razem. Ale dobry Bóg… chyba mi darujesz, kochanie, te Tolkienowskie synonimy – oj, to było zjadliwe – utrzymuje go nad przepaścią i daje możliwość wyboru: runąć w otchłań czy się wydźwignąć. A Pierścień do ostatka wabi Froda i tonie dopiero wtedy, gdy Frodo przyjmuje rękę Sama!…

Prawda, mama świetnie to ujęła.

– No i masz: dubeltowy upadek i powstanie, z Bożą pomocą i dzięki miłosierdziu. Coś mi ta Jacksonowa herezja bardziej katolicka niż oryginał…

To było dla taty stanowczo za dużo. Co było dalej, słuchać hadko; pirze latało, a oni wyzywali się od starych, zdewociałych kabotynów bez serca i przemądrzałych ignorantów, co to hollywoodzkie produkcje są akurat na ich poziomie. No i potem nie gadali ze sobą trzy dni.

Snułam się nieszczęśliwa po domu i w końcu zaczepiłam Gośkę:

– Gosia, a oni się rozwiodą?

– *Fool of a Took!*[9] – warknęła Gośka, ale w jakąś godzinę później zobaczyłam, że się ubiera.

– Dokąd idziesz? – skoczyłam.

– Do babci.

– Mogę iść z tobą? – zaskomlałam. Nie chciałam zostawać z nimi sama w domu, bo Jaśka też gdzieś poniosło.

Gośka zawahała się.

– Dobrze, ale masz siedzieć cicho i nie komentować. Nie wszystko tam będzie na twoje uszy.

Poszłyśmy. Babcia Niziołek jak zawsze wystawiła wszystkie smakołyki, które miała w domu, a potem zapytała:

– No?…

Więcej nie trzeba było. Bez skrupułów Gośka opowiedziała z detalami, co się dzieje w domu.

– …i babciu, to jest jakiś obłęd, kłócą się o film, dokuczają sobie, wyśmiewają, Elka już nie może tego słuchać… boi się, że to się skończy czymś niedobrym… – Elka, Elka… Ona też się bała, i Janek też! – Babciu, skąd to się wzięło, powiedz, czemu tata jest taki nieznośny? Dlaczego tak bardzo mu się ten film nie podoba?

Babcia westchnęła.

– Właśnie o to chodzi, że mu się podoba…

– Co takiego? Gdybyś tylko usłyszała!…

– Mówię ci, że mu się podoba, tylko widzisz, tata jest z gatunku takich, co to nie porzucą starej miłości dla nowej, choćby ta nowa była ładniejsza i młodsza… choć ta stara ma już zmarszczki i parę kilo za dużo, i siwe włosy…

Zrobiło mi się cieplej na duszy, chociaż nie bardzo rozumiałam, o co babci chodzi.

– No i waszemu ojcu film się spodobał, i to jeszcze jak! On go wchłonął całym sobą, zakochał się w nim od pierwszego wejrzenia. I potem ruszyło go sumienie, że zdradza coś, czym żył od bardzo, bardzo wczesnego dzieciństwa. I zaczął sam sobie i przy okazji wam wszystkim ten film obrzydzać. A wasza mama z kolei poczuła się w obowiązku bronić tego, co niesłusznie według niej hańbione…

– To co my mamy robić?

Babcia pomyślała trochę.

– Nic. Przeczekać. Nie prowokujcie taty, nie zaczepiajcie. Zmieńcie sobie te wasze głupie dzwonki w komórkach…

Ja miałam ustawiony *Concerning Hobbits*, Gośka motyw Gondoru, a mama – wejście elfów do Helmowego Jaru.

– To co, Ela ma pozdejmować plakaty – Ela, Ela! a ona to nie?! – żeby broń Boże tata się nie zbulwersował?! – zaperzyła się Gośka.

– Plakaty nich sobie wiszą, ale tego Haldira z lodówki moglibyście zlikwidować…

Lodówka obwieszona była magnesami z portretami filmowych bohaterów i rzeczywiście na samym froncie widniał uśmiechający się szeroko Haldir.

– …żeby nie było, jak w tym kawale: boję się otworzyć konserwę… I dajcie sobie spokój z tymi pogaduchami na każdym kroku: „Dobrze powiedziane, mój lenniku", „A najlepiej w ogóle się nie odzywaj, Peregrinie Tuku", „Przestań piszczeć, gnido z gnojowiska"…

Gośka nadstawiła uszu.

– Babciu, a skąd ty to wiesz? Tata ci poskarżył? A może mama?

Babcia prychnęła.

– Co wy, swoich rodziców nie znacie?! Oni są wierni jak czterej pancerni – babcia miała słabość do tego serialu, nawet teraz, po latach – na torturach by jedno na drugie nie zaczęło nadawać!

I po chwili dodała:

– Janek tu był.

Jasiek? Zdawało nam się, że mało co go to obchodzi, ciągle wybywał…

Kiedy babcia tak mówiła o mamie i tacie, przypomniał mi się *Rok 1984* Orwella. Kiedyś tak sobie po niego sięgnęłam, bo spodobał mi się tytuł – rok urodzenia Gośki, no i pamiętałam, że za komuny tata roznosił Orwella na swoim wydziale. Trzeba trafu, że otworzyło mi się akurat na tym koszmarnym fragmencie, kiedy Smithowi przykładają do twarzy klatkę ze szczurami. Nie mogłam wtedy jeść przez trzy dni. Ale teraz pomyślałam sobie, że faktycznie, oni oboje prędzej by padli, niż zawołali: Zróbcie to Róży! Zróbcie to Robertowi!…

A babcia jeszcze kończyła:

– …więc miejcie do nich trochę zaufania. Oni naprawdę poważnie traktują to, co sobie przyrzekali te prawie ćwierć wieku temu…

No tak, a niby cały czas chichotali z Brendana…

Zastosowałyśmy się do instrukcji babci i faktycznie, trochę się uspokoiło, tym bardziej że przecież znowu koło Wielkiejnocy mama z tatą zobligowani zostali do rachunku sumienia, całkiem jak Gizela w *Kalamburce*. Swoją drogą, ubaw po pachy musieli mieć ci księża, którym się spowiadali: kłóciłem się z żoną, z mężem o *Władcę Pierścieni*!

Zresztą Wielkanoc tego roku była smutna, bo w Wielką Sobotę umarł Kaczmarski, a potem zaraz była matura Jaśka i jego wyjazd. W każdym razie kiedy Gośka zdobyła wersję reżyserską, oglądałyśmy ją po cichutku, i bardzo dobrze, bo gdyby tata zobaczył, jak Aragorn potraktował posła Saurona, cały nasz wysiłek mógłby pójść na marne.

Coś tam jednak w atmosferze siedziało i nie dawało o sobie zapomnieć. Jak maleńka rysa na okularach, przez którą źle się widzi.

Aż minął rok; była sobota drugiego kwietnia, błąkałam się od rana rozpaczliwie po domu, pochlipując i nie mogąc sobie znaleźć miejsca.

I wtedy stała się rzecz przedziwna.

Tata usadził mnie na kanapie, nastawił wideo z *Powrotem króla* i usiadł obok, otoczywszy mnie ramieniem. Mama z Gośką dyskretnie usunęły się do drugiego pokoju, pilnując wiadomości, a myśmy sobie oglądali… i oglądali… aż do momentu, kiedy Gandalf i Pippin na wyższym poziomie Minas Tirith czekali na decydujący szturm orków. Widać było, że Pippin się boi, bo choć miecz dzierżył mężnie, to krew jak szalona pulsowała mu w żyłach. I wtedy ten sam Gandalf, który warczał bez przerwy na głupiego Tuka, z cudownym uśmiechem zaczął go pocieszać. Mówił wolno, a Pippin każde słowo zachłannie sczytywał mu z ust. Że śmierć to tylko kolejna ścieżka. Że szara zasłona deszczu przemieni się w srebrne szkło. I o Białym Wybrzeżu, i o tym, co za nim. Potem Gandalf dał znak do walki, a Pippin zacisnął oczy, mobilizując całą swą wolę i męstwo.

Wtedy tata znacząco uścisnął mi rękę, a ja już wiedziałam, o co chodzi, już wszystko rozumiałam. Oglądaliśmy do końca

i siedzieliśmy tak sobie jeszcze w milczeniu, kiedy przebrzmiało *Into the West*, aż mama dała nam znak, że już.

Potem wszyscy razem poszliśmy do kościoła.

Może to był całkiem mały, maleńki cud i pewnie nawet nie pierwszy. Ale był.

[8] Trzysta żywotów ludzkich przemierzam tę ziemię.

[9] „Głupi Tuk!" Tak Gandalf wyzywał Pippina.

Rozdział IX

Herbatka na Roztoce

Na początku czerwca wrócił Pip. Wydawał mi się jakiś taki starszy i mężniejszy. Cieszyliśmy się jak wariaci, bo nie byliśmy do końca pewni, czy nie zostanie jednak w Anglii. Oczywiście, mieliśmy z nim stały kontakt na Gadu-Gadu, a mama pojechała do niego na tydzień w październiku – wróciła wtedy zachwycona; byliśmy dotąd w Walii, ale teraz pierwszy raz miała okazję poznać Anglię taką jak z kart Agaty Christie, z zielonymi wzgórzami i ceglanymi domami w małych, wypielęgnowanych miasteczkach. Jednak prawdziwy, żywy Jasiek w chacie to było coś zupełnie innego. Nawet nasze zwierzaki się cieszyły: Funia piszczała tak, że sąsiedzi mogli sobie pomyśleć, że ją katujemy. A Alf najpierw udawał obrażonego, jak Koko pana Qwillerana (*The Cat Who* czytaliśmy dużo wcześniej, niż ukazało się polskie tłumaczenie), a potem mnie zdradził i poszedł spać do Pipa.

Tydzień trwało zamieszanie, Janek gdzieś latał, pewnie do Merry'ego – tylko po co zakładał garnitur? – aż wreszcie klan Niziołków łamany przez Kotoniów postanowił z okazji powrotu syna marnotrawnego ubić tucznego cielca i wydać uroczystą kolację. Mama pogoniła mnie, dyrygując:

– Poszukaj widelczyków do ciasta!

– To my mamy widelczyki do ciasta? – zdziwiłam się.

Mama spojrzała na mnie przeciągle.

– Mamy. Dostaliśmy kiedyś od Thorina Dębowej Tarczy, ale żeśmy ich nie używali, bo jesteśmy prostymi Niziołkami.

Domyślam się, że widelczyki miały wystąpić jako substytut pierścienia i szaty.

Przybyła w komplecie rodzinka ledwo pomieściła się w naszym przestronnym przecież salonie, bo zaszczycili nas też Aniołowie z synami Rafałem i Gabrielem oraz wujek Marek z bliźniakami Miłoszem i Herbertem (jego żona, ciocia Edyta, musiała zostać z maleńką Wisią przy piersi w domu). Jak widać na załączonym obrazku, szaleństwo przy nadawaniu imion dzieciom nie dotyczyło tylko moich starych.

Kolacja mijała w przemiłej atmosferze, Pip brylował, opowiadając o swoich przygodach, jak to na przykład przywieźli mu raz do pubu pewnego bardzo sędziwego pana na wózku, nazwiskiem Orwovsky, z prośbą, czy nie mógłby zagrać dla niego polskich pieśni żołnierskich. Wszyscy jednak nie mogli się doczekać, kiedy Jasiek zadeklaruje, co będzie robił dalej.

No i wreszcie się doczekali. Kiedy już dłużej nie można było odwlekać nieuchronnego, mój braciszek wstał, uśmiechnął się zniewalająco i zastrzelił rodzinę po raz trzeci i, mam nadzieję, ostatni. Czwartego razu rodzice chyba by nie przetrzymali.

Mianowicie Janeczek obwieścił, że wstępuje do seminarium.

– Muzycznego? – ucieszyła się babcia Kotoń. – Więc jednak?..

– Nie, duchownego – objaśnił ją z całym swym wdziękiem Jasiek.

Przy stole zapadła cisza, a potem wszyscy zaczęli gadać jednocześnie.

W tym momencie muszę uczynić ździebko niestosowną dygresję. Jak wiecie, Gośka i ja szalałyśmy z układaniem kawałów o *Władcy* i *Harrym Potterze.* Jeden z nich brzmiał następująco:

Rzecz dzieje się po zakończeniu siódmej części. Państwo Weasleyowie udali się na weekend do ciotki Muriel. Wobec tego Ron, korzystając z wolnej chaty, postanowił zaprosić Hermionę. Niestety, państwo Weasleyowie pokłócili się z ciotką i jeszcze tego samego wieczoru deportowali się w salonie, przyłapując Rona i Hermionę in flagranti.

Teraz pytanie: co pomyśleli sobie poszczególni bohaterowie tego wydarzenia?

Ron: O cholera! Jak ja teraz wyglądam! Byłem członkiem Zakonu Feniksa, walczyłem z Voldemortem, a tu tak głupio wyszło…

Hermiona: Boże, co oni sobie o mnie pomyślą! Miało być fajnie, na Boże Narodzenie mieliśmy ogłosić zaręczyny… A teraz wyszłam na ostatnią…

Pan Weasley: Całkiem niezła laska z tej Hermiony, brawo, synu!

A pani Weasley: Ale czemu na tej starej kanapie, z której wyłażą sprężyny? Przecież Ronusiowi niewygodnie!

Dokładnie w ten sam sposób zareagowała rodzina.

– Janeczku, czy ty sobie to dobrze przemyślałeś? Nie masz jeszcze nawet dwudziestu lat, może najpierw byś skończył normalne studia i dopiero potem… – jęknęła babcia Kotoń.

– Jak zdałeś matematykę na celujący, myślałem, że pójdziesz w ślady mamy – przyłączył się dziadek.

– Janku, do seminarium? Jak już, to czemu nie do dominikanów? – zdumiał się tata, chyba nieświadomie odwracając pytanie pana Góry seniora, taty ojca Jana, który dla odmiany nie widział syna w zakonie.

– Gdzie się pchasz, stary, i tak nie jesteś w jego guście – wymruczała Gośka na tyle cicho, że usłyszałam tylko ja i ciocia Beata, która aż się zwinęła z hamowanego śmiechu.

– Jak ty sobie poradzisz ze ślubem posłuszeństwa? – trzeźwo zauważyła mama.

– Podobno w takich przybytkach bardzo kiepsko karmią – pośpieszyła donieść babcia Niziołek, co to nie mogła patrzeć na głodnego człowieka.

– Koniec rodziny Niziołków – powiedział katastroficznie dziadek Niziołek.

– Czemu nie zrobiłeś tego w Anglii, tam teraz tyle katolików, przydałbyś się – wyrwał się Rafał, który marzył o emigracji.

– Czy w seminarium wolno mieć komórkę i komputer? – zainteresowali się Miłosz i Herbert.

– A jak ty wytrzymasz bez seksu? – zdumiałam się ja.

Wszystkie głowy jak za pociągnięciem niewidzialnej nitki odwróciły się ze zgorszeniem, wuj Anioł pokulał się pod stół, a Pipowi dało to

sposobność do krótkiej, przede wszystkim do mnie skierowanej odpowiedzi:

– Jako żołnierz zniosę to! – Przy czym teraz zapowietrzyła się mama, bo tylko ona rozpoznała cytat z *Konkwisty* Łysiaka.

Kiedy dziadkowie i wuj Marek poszli, a Anioły zostały ulokowane na kanapie i materacach w dużym pokoju, tata i mama do późna gadali z Jankiem u siebie w pokoju. O czym, nietrudno się było domyślić. Nie mogłam zasnąć. Chyba o dwunastej Jasiek cichutko zapukał do mnie:

– Elka, śpisz?

– Nie, chodź. – Zlazłam szybko z łóżka i rzuciłam mu się na szyję, przerażona, że oto ten mój kochany Pip, ledwo wrócił, odchodzi znowu.

– A ja też mogę? – To była Gośka.

– To chodźcie obie do mnie, wyro Elki we dwoje by nas utrzymało, ale nie z tobą – zakpił Jasiek. Gośka była wyrodkiem wśród Niziołków ze swoja urodą Éowiny i metrem siedemdziesiąt dwa.

Siostrzyczka prychnęła, poszliśmy do Jaśka i wtedy, kiedyśmy już siedzieli przytuleni we troje, po wstępnych pytaniach w stylu „Merry już wie?” (Janek potwierdził), padło wreszcie to zasadnicze: „Dlaczego?”.

Dobrze, że siedzieliśmy po ciemku, Jankowi było łatwiej.

– Dlaczego? Mama i tata też o to pytali. I domyślacie się, oczywiście, że musiałem coś sensownego napisać w podaniu o przyjęcie. Męczyłem się, jakbym miał sobie trzewia wypruć…

– Co to są trzewia? – zapytałam pośpiesznie, bo zabrzmiało strasznie.

– Flaki – krótko i zwięźle burknęła Gośka.

W wyobraźni ujrzałam Janka popełniającego seppuku i aż mną zatrzęsło.

– To nie bądźcie na mnie złe, że będę wam gadał same bzdury. To trochę tak jak Frodo, który zdecydował się ponieść Pierścień. Wszyscy naokoło się kłócili, nic sensownego nie udawało im się ustalić i wtedy Froda coś… lub ktoś… popchnęło…

No nie, on idzie na księdza, bo rodzice się kłócili?! Bez przesady, nie było tak źle, poza tym już dawno się pogodzili!

Ale potem zrozumiałam, że Jaśkowi chodziło o coś więcej.

– … no i w tym liście napisałem też, że my, Niziołki „taki już mamy zwyczaj, że w chwilach wzruszenia uciekamy się do błahych słów i mniej mówimy, niż czujemy. Boimy się powiedzieć za dużo. Dlatego brak nam właściwych słów, gdy nie wypada żartować"…

Gośka się zaśmiała:

– Serio? I nie przegonili cię z punktu na cztery wiatry?

– Nie, chyba im się spodobało…

Znowu miał fuksa, cały Pip.

Padłam im tam podczas tej niekończącej się rozmowy; już w półśnie słyszałam, jak Gośka pyta:

– Termin rozmowy ustaliłeś sobie jeszcze w Anglii? A te wszystkie opinie i inne duperele? – a potem obudziłam się rano w łóżku Pipa, on spał u mnie, nie daliby rady mnie zanieść na moją górną pryczę.

– Elka, przenieś się tu na stałe, będzie ci wygodniej – powiedział Jasiek.

– Nie!… – Porwałam się na równe nogi. Musiałam mieć wszystko wypisane na twarzy, bo Gośka tylko spojrzała i zadysponowała:

– Rób, mała, co ci ten baran każe. On teraz już nie odpuści, nie ma obawy. – I popatrzyła na Jaśka tak jakoś znacząco, jak nigdy, poważnie i z czułością.

Utargowałam, żeby przez wakacje zostało jeszcze po staremu; potem pokój Janka został na moją cześć odnowiony i zainstalowałam się tam z całym dobytkiem. Kiedy Pipa już z nami nie było, nieraz siadałam przy pianinie i wygrywałam prościutkie melodyjki, których kiedyś mnie uczył – to był element mojej edukacji i terapii jednocześnie i Jasiek bardzo się do tego przykładał, przerabiał dla mnie nuty na maksymalnie prosty układ. Jasne, że było to takie czysto domowe granie, ale bardzo to lubiłam i on chyba też.

Moja Komórka Pod Schodami miała teoretycznie służyć jako pokój gościnny, ale jako że była wybitnie jednoosobowa, a nawet półosobowa, to i tak nikt nie próbował lokować w niej na przykład Brendana (od czasu powstania tanich linii bywał u nas często) czy

któregoś Anioła. Przez prawie trzy lata tak stała sobie i zarastała kurzem, aż wreszcie Gośka zaczęła knuć plan.

Było to w mojej drugiej gimnazjalnej, po owym pamiętnym wojażu do Zakopanego w towarzystwie *Harry'ego*. Fred został u nas w domu całkowicie zaakceptowany, bo w istocie nie sposób było go nie lubić. Przede wszystkim miał jakieś takie niezwykle pożyteczne natręctwo, że gdziekolwiek się zjawił, musiał coś przerabiać, majstrować, borować i stukać. W ten sposób machnął z dziesięć nowych szafek na książki, chytrze dopasowanych do różnych kątów, czym zyskał sobie uznanie nas wszystkich. Co prawda trochę się z niego nabijałyśmy z Gośką, że wyślemy mu incognito płytę z fragmentem filmu o Adasiu Miauczyńskim, w którym facet z windy zachęca: „Niech pan wpadnie do mnie, mają przyjść koledzy z wiertarkami udarowymi. Poborujemy sobie!".

Po drugie Fred, jak już go reklamowała Gośka, lubił pogadać o polityce. Tata też. W związku z tym wyglądało to tak: Fred, dajmy na to, montował kolejną półkę, tata mu pomagał w ten sposób, że wachlował się którąś z wyjętych książek i obaj ględzili godzinami. Tata był zachwycony, bo nareszcie trafił na godnego siebie partnera. Do tej pory, jak go coś wkurzyło, dzwonił albo do wuja Anioła, albo do któregoś z bibułowych przyjaciół, ale przez telefon bez końca nawijać nie mógł. Mama była zachwycona, bo nareszcie w domu panował porządek, a ona mogła sobie spokojnie poczytać, zamiast wysłuchiwać mężowskich monologów o Unii Europejskiej albo o upadku rządu. A ja po prostu zrywałam boki z jego kawałów, bo Fred był jak Fred Weasley, zgrywus do kwadratu.

Raz na samym początku, kiedy Fred miał dopiero status fatyganta według określenia taty, poszliśmy we trójkę – on, Gośka i ja – na pierwszą część *Opowieści z Narnii*. Moja siostrzyczka i jej facet mieli wielką ochotę obejrzeć to sobie, ale się wstydzili, więc wykorzystali mnie, też już nie taką najmłodszą, ale przynajmniej małą, jako tarczę ochronną. Siedzieliśmy sobie zatem na seansie, Łucja spotkała pana Tumnusa, a ten, jak wiadomo, zaczął ją kokietować: a może byś do mnie na herbatkę wpadła? Wtedy usłyszałam sceniczny szept Freda:

– Głupia dziewczyno, co robisz!? Kopnij go w jaja i spadaj!

Gośka kopnęła jego, w kostkę, a ja wsadziłam głowę pod fotel i przez najbliższe pół godziny nie mogłam się uspokoić.

Z kolei Fred przyzwyczaił się, że kiedy któraś z nas poprosi mamę:

– Mamo, daj sto złotych! – może usłyszeć odpowiedź:

– Przyjdź po żniwach, może coś do kupy uskładamy!

Albo w wersji rozszerzonej:

– Sto złotych? W tym domu? U Niziołka? Zamocz ręcznik w zimnej wodzie, połóż go na potylicy i idź spać, obłąkana dziewczyno! – i nawet nie musiał prosić o wskazanie tekstu źródłowego, bo edukował się bardzo szybko.

Wobec tego, że nam się życie rodzinne tak ładnie układało, Gośka postanowiła uczynić fakty dokonanymi i ogłosiła, że ona i Fred pobierają się latem.

– Już latem? – zdziwiła się babcia Kotoń. – A może byście poczekali, aż Janek będzie wam mógł dać ślub? Byłoby tak ślicznie…

– Aha, ślicznie – warknęła Gośka. – Mamy czekać trzy czy ile tam lat, aż ten kretyn zostanie księdzem? A co zrobimy, jakby się rozmyślił?

Gośka doskonale wiedziała, że Pip się nie rozmyśli, tak tylko gadała, żeby wybić babci z głowy jej pomysły.

– Psalm może zaśpiewać, jak już koniecznie będzie chciał – dodała jeszcze.

Na sakramentalne zaś pytanie: „Gdzie będziecie mieszkać?” przedstawiła autorski projekt remontu naszej chaty.

Otóż Fred miał wybić przejście z jej pokoju do Komórki Pod Schodami i w ten sposób otrzymać salon z sypialnią. Z drugiej strony z kolei planowane było przebicie do łazienki. Sama łazienka, długa i wąska, miała zostać podzielona na dwie małe z kabinami prysznicowymi zamiast wanny: dla nich i dla nas. Tak bardzo się cieszyłam z ich planów, że postanowiłam nawet poświęcić wannę, a zawsze lubiłam się w niej moczyć godzinami.

Fred wziął się do roboty, a Gośka zajęła się logistyką samego wesela. I tu wylazło szydło z worka.

Mianowicie moja siostrzyczka oznajmiła, że mają zamiar pobrać się na mszy w schronisku na Roztoce. Cała nasza rodzina, łącznie ze mną, kochała górskie wędrówki, więc wybrane miejsce wcale

rodziców nie zbulwersowało. Mama zatroszczyła się za to o coś innego:

– Gosiu, ale jak mają tam dotrzeć dziadkowie? Najpierw pół doby w pociągu, potem na piechotę… Oni nie dadzą rady!

Gośka, jak to solidny poznaniak, strategię opracowała już dawno.

– Spokojnie, mamuśka, ja już wszystko załatwiłam i uzgodniłam. Zrobimy w Poznaniu uroczyste zaręczyny z całą rodziną, a na Roztokę przyjdzie ten, kto będzie się czuł na siłach. Nikt się nie obrazi. Nawet byli zadowoleni.

Aha, byli zadowoleni! Potem dopiero okazało się, że Gośka postraszyła dziadków Niziołków i Kotoniów, że Doliną Roztoki idzie się trzy godziny pod górę. Jasne, idzie się, ale w drugą stronę. Dziadkowie struchleli, że będą musieli oddać wnusi honor w takich warunkach i z niebotyczną wręcz ulgą przyjęli jakże przyjemną wersję alternatywną.

Tata z kolei, pomny własnych kłopotów ze ślubem, dopytywał się:

– A pod jaką parafię to podlega? Nie będą wam robili problemów?

Po czym dowiedział się, że ksiądz z Bukowiny stopniał jak wosk, kiedy mu powiedzieli, że kochają Tatry, mają duże złote odznaki i nie wyobrażają sobie innych zaślubin, jak tu.

Gośka zarezerwowała całe schronisko, czyli tak z siedemdziesiąt miejsc, bo planowała oprócz rodziny na fleku sprosić wszystkich kumpli. Jako że miała jednak żyłkę awanturniczą i dobre serce, umówiła się z panią kierowniczką, że gdyby ktoś przyszedł w ostatniej chwili na podłogę, to będzie mile widziany w charakterze niespodziewanego gościa.

Następny problem wynikł ze świadkami. Ja miałam dopiero szesnaście lat, brat Freda też był niepełnoletni, a Janek się wykpił, że on już nie jest cywilem. Fakt, obłóczyny miał pół roku wcześniej i nigdzie się nie ruszał bez sutanny, a w najgorszym razie bez koloratki; czynił to niezwykle skrupulatnie, według wykładni Cejrowskiego, odpuszczał sobie chyba tylko na basenie. Więc stanęło na Merrym i Wioli, bo nikt sobie nie wyobrażał ślubu bez nich.

Pojechaliśmy do Zakopanego tak jak ongiś ja, nocnym pociągiem, potem busami przetransportowaliśmy się na Palenicę Białczańską, skąd ruszyliśmy pieszo do schroniska. Każde z nas oprócz własnych

ciuchów targało jakiś niezbędny rekwizyt, na przykład Merry taszczył keyboard, Wiolka oczywiście gitarę, a ja kwiaty. Swoją drogą stanowiliśmy zabawny kondukt, dobrze, że w tłumie ceprów wędrujących do Morskiego Oka za bardzo się nie rzucaliśmy w oczy. Na miejscu mieliśmy dość czasu na odpoczynek i odpicowanie się, bo ślub miał być dopiero wieczorem o dziewiętnastej. Powoli dobijali do nas kolejni goście.

Kiedy przypominam sobie tamten wieczór, robi mi się ciepło koło serca. Msza miała być odprawiona w świetlicy; przy polowym ołtarzu czekał Fred w jasnym lekkim garniturze i koszuli z wyłożonym kołnierzykiem à la Słowacki, a my wszyscy staliśmy w jadalni, żeby puścić przodem pannę młodą i świadków.

Wtedy u szczytu schodów pojawił się tata prowadzący Gośkę. Gośka wyglądała fantastycznie w prostej białej sukience i kapelusiku z przewiązanym wokół niego tiulowym szalem, z bukietem zwykłych polnych kwiatów w dłoni. Ale tata… tata po prostu zbijał z nóg. Na ślub swojej najdroższej Perełki ubrał się jak prawdziwy Niziołek: w ciemnozielone aksamitne ubranie, srebrną kamizelkę, zupełnie taką samą jak Frodo na przyjęciu urodzinowym na początku *Drużyny*, a pod szyją zawiązał fular. Zaczęli schodzić, przy czym tata, stary wędrownik, doskonale był świadomy tego, że schody na Roztoce są wąskie i praktycznie na jedną osobę. Z wdziękiem posuwał się więc pierwszy i nieco bokiem, służąc córce ramieniem. Tylko na samym dole, już w drzwiach pomyliły mu się schodki, zachwiał się, towarzystwo zamarło, ale tata błyskawicznie wyrównał krok i doprowadził Perełkę na miejsce, by ją przekazać Fredowi.

Zaczęło się. Świat mi się rozmazał, wycierałam oczy i nos; Janek faktycznie śpiewał psalm, a potem razem z Merrym i Wiolką *Przybądź Duchu Święty*… Chlipałam bezwstydnie, wtulona w mamę, która patrzyła w Gośkę i Freda jak w tęczę, a oni powtarzali: biorę ciebie, Małgorzato, biorę ciebie, Alfredzie…, co brzmiało trochę obco, ale bardzo podniośle.

Po mszy wyszliśmy na dwór, żeby ich wszyscy mogli wyściskać, a w tym czasie przygotowano stoły. Wyżerka zorganizowana była w ten sposób, że pojawiły się ciepłe dania na półmiskach, a jeżeli ktoś chciał co innego, zamawiał sobie na koszt pary młodej

w okienku. Alkohole były limitowane: kieliszek szampana na toast, a potem już tylko piwo i herbatka roztocka.

Jedliśmy i śpiewali, potem mimo ciasnoty zaczęły się tańce, a ja uznałam, że nikt na mnie nie zwraca uwagi, więc też mogę spróbować herbaty. To był błąd, w herbacie było więcej wkładu niż herbaty i zakręciło mi się w głowie. Żeby uniknąć kompromitacji, wyszłam przed schronisko i przycupnęłam z boku na kamieniu.

Na ławce ktoś rozmawiał, dopiero po chwili zorientowałam się, że to byli Gośka z Jankiem.

– Uważaj, stary, jak będziesz tak jechał na samych piątkach, to cię wezmą na sekretarza – usłyszałam kpiący głos Gośki.

– Spoko, nie wezmą – odpowiedział Pip. – Powiedziałem paru kapusiom, co trzeba i mam zagwarantowany święty spokój.

– Co takiego? – Słyszałam rozbawienie w głosie Gośki; oboje byli tacy fajni, wyluzowani, szczęśliwi…

– Jednemu łagiewnickiemu ciągle śpiewałem *Maryjo, królowo Polski*, a toruńskiemu gadałem o Tischnerze. Jak się zdarzył taki bardziej… tęczowy, powiedzmy, to opowiedziałem mu o naszej studniówce i jak była na nią ubrana Wiolka…

Mało nie parsknęłam śmiechem. W budzie Jaśka zażądano, żeby na studniówkę dziewczyny przyszły w biało-czarnych kreacjach. Wiolka strasznie pyskowała, ale nawet takie, co to na co dzień łaziły w stringach i z gołymi brzuchami, zgasiły ją, że to szkolna tradycja. Dobra, jak tradycja, to Wiola przyszła ubrana w czarną suknię do kostek i na to biały żakiecik. Tyle że do pierwszego tańca zdjęła żakiecik i okazało się, że ma z tyłu dekolt jak pani Kalina Jędrusik, o której opowiadała mi babcia Niziołek, czyli do połowy tyłka.

– …a takiemu, co z kolei tropi zachowania homoseksualne głędziłem na okrągło o Merrym, aż zaczął przede mną uciekać.

– Ładnie, braciszku – zaśmiała się Gośka.

– No i w końcu, jak jeden zaczął mi kadzić tak jak ty teraz, to mu wypaliłem, że nie mam szans, bo pochodzę z dużego miasta i uczyłem się w renomowanym liceum, a najlepiej punktowane są małe miejscowości typu Raba Wyżna… Chodź, Elka, tu do nas, bo wilka złapiesz na tym kamieniu.

Struchlałam. Wcale nie chciałam podsłuchiwać, tak jakoś wyszło, a potem nie mogłam się oderwać. A Jasiek wiedział od samego początku…

Podeszłam do nich.

– Siadaj ze mną, pogadamy, Gośka musi już iść pilnować męża, żeby się nie zalał – powiedział lekko Jasiek.

– Czym ma się zalać, herbatką roztocką? – prychnęła Gośka, ale poszła, i to dość pośpiesznie.

Usiadłam koło Pipa.

– Dobrze ci tam? – pytanie samo wyskoczyło mi z ust.

– Elka, no a tobie w budzie dobrze? Raz tak, a raz tak, prawda? Ale pod koniec wakacji już tęsknisz za Dominiką, co?

Dominika była moją przyjaciółką od serca.

– …więc się o mnie nie martw. My, Niziołki, umiemy ścierpieć wszelkie niedogodności, kiedy dążymy do celu, i to lepiej od dużych ludzi.

Zrobiło mi się miło. Jasiek tak fajnie gadał, specjalnie dla nas, on miał metr siedemdziesiąt, ja metr pięćdziesiąt, oboje niziołkowaci i pokonujemy przeszkody…

– Janek, a ty kochałeś Wiolę? – Jezu, co się ze mną działo, język gadał, czego rozum nie chciał.

To było właśnie wtedy, kiedy Jasiek odpowiedział mi Potterowskim cytatem. Musiała mu Gośka nakablować o moich wyczynach w pociągu. Ale ja byłam jakoś tak mało usatysfakcjonowana i dopowiedziałam do końca:

– A Merry'ego?

Jasiek odwrócił się, spojrzał mi uważnie w twarz i zapytał:

– Mała, coś ty piła?

– Herbatę…

– Aha, herbatę… – westchnął i chwilę milczał, ale widocznie uznał, że w przyszłości czeka go jeszcze mnóstwo równie głupich pytań, bo powiedział: – Dobra, musimy sobie parę rzeczy wytłumaczyć. Czy według ciebie Sam kochał Froda?

– No pewnie!

– Ogrzewał go własnym ciałem, oddawał ostatnie krople wody i niósł na plecach?

– Co ty, myślisz, że tego nie wiem?!

– A pamiętasz, jak Gimli mówił, że tylko miłość do Aragorna trzymała go na Ścieżce Umarłych?

– Pamiętam!

– Zrobiliby dla siebie wszystko? Poświęcili życie?

– Jasne!

– To teraz gramy w taką grę: wymieniamy dwóch facetów, którzy się w ten sposób kochali, ale już nie z *Drużyny*. Bo jakbyśmy zaczęli wymieniać wszystkich po kolei w układach dowolnych, to by wyszło dziewięć po dwa… Dziewięć silnia przez dwa silnia razy siedem silnia… Trzydzieści sześć.

– Pip, o czym ty gadasz? – jęknęłam ogłupiała. Co to, on też chlapnął sobie herbatki?

– W tej chwili o matematyce… To co, gramy? Kto wymięknie, przegrywa.

– Dobra, ja pierwsza! – wyrwałam się. – Harry i Ron!

– Wiedziałem, że to powiesz. Pan Wołodyjowski i Ketling.

– Zagłoba i Podbipięta! – poszłam tropem Janka. – Tak płakał po jego śmierci!

– D'Artagnan i Atos.

– Portos i Aramis! – zawołałam szybko.

– Ach tak, to ja mam teraz mówić na krzyż, co? Nic z tego. Wokulski i Rzecki.

– Rod i Wabi – przypomniałam sobie stare lektury. – Nawet Rod mówi coś takiego, że nie zdawał sobie sprawy z tego, że tak bardzo kocha Wabiego.

– Brawo. Poirot i Hastings.

– Oni się kochali? – powiedziałam z powątpiewaniem.

– A nie? W *Wielkiej Czwórce* Hastings szykuje się na śmierć, boi się, ale Poirota nie chce zdradzić. A w *Kurtynie* chodzi jak błędny po jego śmierci…

– No tak. To… – zawahałam się – Jack i Yamato!

– A któż to jest? – zdumiał się Pip.

– To z *Młodego samuraja* – powiedziałam dumnie.

– Nie jestem na bieżąco. Farloon i Krzysztofeczko.

Przypomniałam sobie jego ripostę z *Konkwisty* na pamiętnej kolacji i roześmiałam się. *Konkwistę* czytałam ostatnio z płonącymi uszami, bo była lekko świńska, ale bardzo emocjonująca. I oczywiście ryczałam nad grobem Krzysztofeczki.

– Ale to była trudna miłość, Pip. Doktor House i Wilson!

– Książki ci się skończyły, co? Jak przejdziemy na filmy, to do rana nie skończymy.

– Aha, wygrałam, wygrałam!

– Dobra, poddaję się. To teraz mi powiedz, czy ich wszystkich łączył związek homoseksualny?

Wytrzeszczyłam na Pipa oczy.

– To znaczy, czy byli gejami, tak?

– Niech ci będzie – westchnął Janek. – Więc?…

– No pewnie, że nie!

– Czyli mężczyzna może kochać mężczyznę i… – Pip jednak się zawahał, bo z jednej strony chciał się wyrażać przy mnie elegancko, jak tata, a z drugiej wiedział, że trudnych słów mogę nie zrozumieć.

– I nie chcieć z nim spać? – podpowiedziałam życzliwie, chociaż język trochę mi się zaplątał. Och, co ta herbatka robiła z człowieka. – Oczywiście!

Janek odetchnął z ulgą.

– No to sama sobie teraz odpowiedziałaś. Merry jest moim przyjacielem od zawsze. Pewnie, że go kocham. Ty zresztą też, ale do głowy ci nie przyjdzie, żeby go kokietować, prawda? Bo on jest Wioli. – Normalnie bym spłonęła jak rak, ale przez tę nieszczęsną herbatę tylko pokiwałam głową. – A teraz chodźmy już do środka, zanim mama się zainteresuje, co porabia jej Elunia i co sobie popija.

– Mama tańczy z tatą i świata poza tym nie widzi!

– I bardzo dobrze. – Uśmiechnęliśmy się do siebie. – Chodź, kupię kawę, niech ci ta herbatka wyparuje, bo zmęczyłaś mnie, siostrzyczko…

W środku działy się rzeczy bardzo ciekawe. Trójca archanielska Michał, Rafał i Gabriel wyśpiewywali *Hej, sokoły!*, przy czym wuj Michał próbował pokazywać, jak należy podczas hołubców przyklęknąć, i potem z jękiem trzymał się za kolano. Niespodziewani goście z podłogi w postaci dwóch Niemców, uśmiechnięci od ucha do

ucha, konwersowali sobie z ciociami Beatą i Edytą w dziwnym języku, usłyszałam:

– *Und eine schwarze squirrel ist in Chochołowska Valley gekommen*…[10]

Merry z Wiolą całowali się w kącie, popatrzyłam sobie na nich z zainteresowaniem i mruknęłam jak Ginny Weasley:

– Musicie jeszcze popracować nad techniką – co ich wypłoszyło na zewnątrz, a mama z nutą rozbawienia powiedziała mi, że właśnie teść Gośki zaholował do pokoju naszego tatę po nadużyciu tajnego koniaczku. Zaholował?! Tatę?! Po nadużyciu?! Świat się kończył!…

Następnego dnia Gośka i Fred, żegnani przez nas od progu, wyruszyli z plecakami w podróż poślubną po Tatrach od schroniska do schroniska. Kiedy jedliśmy śniadanie, mama powiedziała sceptycznie:

– Nie wiem, czy to był dobry pomysł. Miesiąc miodowy w schroniskach?! Na Pięciu Stawach nawet umyć się porządnie nie można… – a ja prychnęłam do kubka resztką kakao, bo skojarzenie z panią Weasley z cytowanego kawału było oczywiste. Poza tym przypomniał mi się napis z łóżka piętrowego w schronisku na Przegibku: seks na tej pryczy to męczarnia.

Przy powrocie na Palenicę Jasiek służył mi ramieniem – zawsze robił to albo on, albo tata, żeby mi się lepiej szło – i śpiewaliśmy sobie razem Stachurę:

Opadły mgły i miasto ze snu się budzi,
Górą czmycha już noc,
Ktoś tam cicho czeka, by ktoś powrócił;
Do gwiazd jest bliżej niż krok!
Odpędź czarne myśli!
Dość już twoich łez!
Niech to wszystko przepadnie we mgle!
Bo nowy dzień wstaje,
Bo nowy dzień wstaje,
Nowy dzień!

[10] „Czarna wiewiórka przyszła do Doliny Chochołowskiej”. W połowie po niemiecku, w połowie po angielsku.

Rozdział X

Koncert Wojskiego

Gośka z Fredem wrócili z podróży poślubnej po Tatrach (Gośka przyznała mi się, że po trzech dniach machnęli ręką na rezerwacje i zaliczki, zeszli na Słowację i przytaili się w jakimś urokliwym pensjonacie) i pierwszym ich posunięciem było zainstalowanie na drzwiach nowej wizytówki. Mianowicie obok starej, z grawerowanym napisem „Niziołek" pojawiła się identyczna o treści „Podgórny". W swoim czasie, kiedy rodzice zamawiali sobie wizytówkę, przeżywali chwile wahania: „Niziołkowie" jakoś im zgrzytało, najbardziej podobało im się „Niziołki" („Hobbitowie? Hobbici, królu, jeśli łaska"), ale nie chcieli drażnić babci-polonistki. Stanęło więc po prostu na liczbie pojedynczej bez inicjałów (a przy okazji było taniej). Teraz Gośka, też w końcu filolog, nawiązała do konwencji i osiągniętym rezultatem wprawiła tatę w euforię. Rzeczywiście, „Niziołek Podgórny" był rewelacją takiego kalibru, że próbowałam naciągnąć Gośkę na zwierzenia, czy aby ona też nie wychodziła za mąż dla nazwiska. To byłby już trzeci przypadek w naszej rodzinie. Na takie insynuacje moja siostrzyczka popatrzyła na mnie ze wzgardą i odrzekła:

– Coś ty, ja w ogóle na początku nie wiedziałam, jak on się nazywa! Kiedy się wreszcie dowiedziałam, to i tak już było za późno!… – Nie chciała mnie jednak wtajemniczyć w detale owego „za późno".

Następną domową innowacją, oczywiście również poczynioną rękami Freda, było nowe biurko dla mamy z zawieszoną nad nim tablicą interaktywną, żeby, jak to ujęła Gośka, łatwiej jej się wbijało matmę w te tępe łby. Mama była zażenowana, takie ustrojstwo wydało jej się zbytkiem i rozpustą, chociaż otrzymała zapewnienie:

– Nie martw się, mamuśka, ona była używana, a zresztą możesz to potraktować awansem jako prezent z okazji osiągnięcia wieku Froda!

Do wieku Froda rodzicom brakowało jeszcze z półtora roku; mama urodziła się w połowie marca, a tata, żeby było śmieszniej, był od niej o trzy dni młodszy – urodziny zatem obchodzili zawsze wspólnie. Gośka i Fred po prostu chcieli się odwdzięczyć za przygarnięcie ich na chatę, a ponieważ, jak wiemy, starzy od zawsze zarabiali korepetycjami, dobre dzieci postanowiły usprawnić mamusiny warsztat pracy. Tym bardziej że do mamy zgłaszało się coraz więcej licealistów, przerażonych perspektywą zdawania matmy na maturze.

Przez ćwierć wieku bez mała – z przerwami na rodzenie naszej trójki – mama utrwaliła sobie bowiem sławę tej, co to potrafi każdej łajzie humanistycznej, jak powiadał sam o sobie wujek Marek, załadować do głowy, co trzeba. Jak pamiętamy, swoją karierę nauczycielską zaczynała w podstawówce na Wildzie, ale zaraz po upadku komuny, w dziewięćdziesiątym roku, została przechwycona do świeżo reaktywowanego Liceum św. Marii Magdaleny. Dopiero wtedy mogła zrealizować w pełni swoje marzenie, a jednocześnie dać światu odpowiedź na pytanie, dlaczego oczytana Różyczka wybrała matematykę jako cel studiów.

– Bo widzicie – tłumaczyła nam – humaniści i matematycy to tak trochę jak wojna postu z karnawałem. Jedni drugimi lekko pogardzają, jedni drugich się trochę boją, szczególnie w szkole, chociaż nie tylko. No to ja chciałam przekonać chociaż jedną stronę…

Specjalnie wtedy poprosiła dyrektora o klasy humanistyczne i ruszyła ze swoim autorskim – oj, autorskim! – programem. Przy czym nigdy nie ukrywała, że czerpała pełnymi garściami z pomysłów swojego mistrza i mentora z liceum, o którym potrafiła opowiadać godzinami. Z całego serca jej zazdrościłam, bo moja pani Danusia była oczywiście najdroższa w świecie, ale na takiego – jak to sobie

wyobrażałam – Dmuchawca ewentualnie Keatinga, nigdy nie trafiłam!

Zaczęło się banalnie. Mama truła coś o zbiorach, jak to na początku pierwszej licealnej, a pewien młodzieniec humanistyczny, błądząc myślami gdzie indziej, zapatrzył się w okno. Mama ustawiła go do pionu i zażądała:

– Na następną lekcję napiszesz wypracowanie pod tytułem „Co widziałem przez okno na lekcji matematyki". Minimum na dwie strony papieru kancelaryjnego.

Był to czysty plagiat z jej czasów i mama była tego doskonale świadoma, co więcej, w ten sposób oddawała największy hołd swojemu profesorowi. Klasa zgłupiała, a delikwent sprowadzony na ziemię potraktował rzecz niezwykle poważnie: napisał wypracowanie i odczytał je na kolejnych zajęciach nie bez radosnych rechotów kumpli. Mama bez litości wyłapała wszystkie błędy gramatyczne i stylistyczne, po czym postawiła chłopakowi tróję – z matematyki oczywiście!

Następnym razem przyłapała panienkę, która zamiast zgłębiać tajniki funkcji kwadratowej, czytała pod ławką podręcznik literatury. Mama huknęła gromko:

– Ach tak, tobie się wydaje, że język polski jest ważniejszy od matematyki!

Klasa struchlała, a dziewoję dosłownie wcisnęło pod ławkę. Wtedy mama dopowiedziała:

– I masz rację. Idź sobie do biblioteki, żebyśmy ci nie przeszkadzali, i naucz się porządnie, czego trzeba.

Należy w tym miejscu dodać, że kiedy pewien cwaniak wyrwał się:

– Pani profesor, a ja też mogę? – usadziła go na miejscu bez litości, a funkcję kwadratową od panienki w odpowiednim czasie wyegzekwowała co do joty, co jej zresztą lojalnie zapowiedziała.

Przy okazji zawarła z uczniami pakt o nieagresji.

– Wiecie o tym, że Żeromski nie miał matury, bo oblał matematykę?

Klasa nie wiedziała.

– A o tym, że Sienkiewicz poprawiał matmę w następnym roku?

Też nie wiedzieli.

– Więc słuchajcie: jakby w tej klasie zdarzył się Żeromski albo Sienkiewicz, to ja mu na pewno krzywdy nie zrobię – a przyjrzawszy się krytycznie młodzieży, dodawała: – ale jestem jakoś dziwnie spokojna, że nie będę miała okazji.

Wskutek takich metod bachory jak dzikie uczyły się polskiego, żeby pani matematyczce udowodnić, że i owszem, niewykluczone! Jednakże mama dość krytycznie odnosiła się do poziomu szkolnych wymagań, przy czym im dalej w las, tym krytycyzm rósł. Swoje apogeum osiągnął w roku ślubu Gośki za rządów ówczesnej pani minister. Wobec tego profesor Niziołek poprawiała program nauczania – polskiego oczywiście! – swoimi metodami.

Zbliżał się przykładowo koniec semestru. Wiadomo, co się wtedy dzieje, biegano więc za nią bez końca z pomiaukiwaniem:

– Pani profesor, mogę to zaliczyć?…

No i kiedy delikwent po paru podejściach nie rokował już żadnych nadziei, mama patrzyła mu głęboko w oczy i pytała:

– Co proponujesz?

Najwcześniejsze roczniki były takim pytaniem zdumione i zbulwersowane, bo w pierwszym odruchu wydawało im się, że mama sugeruje łapówkę. Dopiero kiedy jej sława się utrwaliła i zdobyte doświadczenie przekazano młodszym kolegom, nieszczęśnik wiedział, że należy przystąpić do specyficznych negocjacji:

– Koncert Wojskiego, pani profesor! – a ponieważ mama miała sceptyczny wyraz twarzy, szybko podnosił wartość swojej skóry:

– I zachód słońca do tego!

Mama zatwierdzała, a na następnej lekcji znowu cała klasa miała ubaw, wysłuchując niegdysiejszych standardów z *Pana Tadeusza*, obecnie zaniedbanych.

Zapytacie może, jak to się stało, że mama, która miała, jak to było powiedziane, ambiwalentny stosunek do Mickiewicza, zmuszała swoich uczniów do recytacji nielubianej epopei… A, to nie tak. Jak pamiętamy, mama znała *Pana Tadeusza*, i to doskonale, podejmując mecze ze swoim polonistą. Umiała też na pamięć naprawdę dużo kawałków – to ostatnie przychodziło jej lekko, bo do cytatów miała głowę. Natomiast podczas naszej edukacji ze zgrozą zauważyła, że

praktycznie nie uczymy się wierszy. Jeszcze przy Gośce i Janku nie było tak źle, coś tam od nich egzekwowano. Nade mną natomiast mama i babcia Niziołek łamały ręce, bo ostatniego wiersza uczyłam się… w podstawówce chyba? Nie pamiętam…

To było już w mojej pierwszej licealnej; babcia, wtedy oczywiście dawno na emeryturze, wypytywała mnie:

– A co, Eluniu, teraz masz na polskim?

– Średniowiecze – zaraportowałam. – *Bogurodzicę*.

– I co, uczycie się na pamięć. – To było zdanie twierdzące, nie pytające.

– Nieee – przeciągnęłam. – Pół lekcji tylko nam to zajęło, a potem mieliśmy o czymś innym. Współczesnym.

Babcia się wkurzyła.

– Jak to?! To za komuny ja zawsze, zawsze! kazałam się uczyć *Bogurodzicy* i puszczałam uczniom płytę, a jak ktoś umiał zaśpiewać, dostawał piątkę z plusem! (Za babci czasów nie było celujących). I nikt, nikt nie miał co do tego żadnych obiekcji, nawet za stanu wojennego, jak mieliśmy komisarza! A teraz, w wolnej Polsce, takie rzeczy! Odcinanie korzeni! Wasz nauczyciel jest niepoważny!

To był właśnie ten jeden, jedyny raz, kiedy babcia pozwoliła sobie na nielojalność zawodową i deprecjonowanie nauczyciela w oczach jego ucznia.

– Babciu – próbowałam ratować sytuację – ale to się śpiewa na Lednicy i u dominikanów na roratach, ja potrafię…

– Ty potrafisz, a twoi koledzy? Jakie pokolenie nam rośnie! – długo jeszcze pomstowała babcia.

Dlatego właśnie mama egzekwowała Mickiewicza, za co zdarzało się, że dziękowali jej koledzy poloniści, tłumacząc z zażenowaniem:

– Bo wiesz, Róża, ja bym im to kazał zrobić, ale program… No sama rozumiesz… Muszę ich przygotować do matury, rodzice tego oczekują…

Mama miała swój własny cennik, w zależności od imbecylizmu matematycznego zainteresowanego: pała zwykła – dwa urywki z *Pana Tadeusza* albo *Reduta Ordona*, albo *Smutno mi, Boże* Słowackiego. Pała z wykrzyknikiem – *Oda do młodości* plus *Pieśń filaretów* albo dwa sonety krymskie, albo *Wielka Improwizacja*. Przy

zerówie – też używała takiej oceny i to wpisywanej do dziennika; opowiadała nam, że to wcale nie jest ekstremum, bo jej profesor w takiej sytuacji rysował świnkę albo żyletkę Rawa Lux, albo tróję z pięcioma minusami, bo więcej się nie mieściło – mama przerzucała się na Norwida albo któregoś z Młodopolaków.

Natomiast raz, kiedy delikwent zaproponował jej *Przesłanie Pana Cogito*, ustawiła go:

– *Przesłania Pana Cogito* to się nie mówi za karę, tylko w nagrodę. Więc zrobimy tak: teraz *Romantyczność*, a Herberta to ładnie powiesz całej klasie na uroczystości zakończenia roku szkolnego. Dziękuję ci, synku, za dobry pomysł.

Młodzież szkolna z Marii Magdaleny była jednak bardzo inteligentna i dużo czasu nie było jej potrzeba, żeby zauważyć, wzorem Adasia Cisowskiego z *Szatana z siódmej klasy*, jakiego fioła ma pani od matematyki i jak można ją zbajerować („Zawróć do Napoleona!"). Wobec tego zaczęły padać propozycje następujące:

– Pani profesor, prosimy, niech pani przełoży sprawdzian na następną lekcję! A my pani zaśpiewamy *Mury* albo *Modlitwę o wschodzie słońca*, co pani woli!

Trzeba mamie oddać sprawiedliwość, że próbowała walczyć z własnymi skłonnościami. Raz odpowiedziała:

– Nie. Sprawdzian odkładam, ale wy mi zaśpiewacie *Miejcie nadzieję* Asnyka.

Wyszukali, dranie, co trzeba i zaśpiewali jak Wójcicki. Żeby było śmieszniej, działo się to mniej więcej w czasie, kiedy Jasiek brylował w swojej szkole *Pieśnią nad Pieśniami*. I tak samo mamę namierzył dyrektor, tylko że nie wkraczał z interwencją, a postał pod drzwiami, z ukontentowaniem posłuchał, a potem droczył się z nią w pokoju nauczycielskim:

– Róża, a na matematykę czasu ci wystarcza? Jak tam matura?

No, wtedy matma jeszcze nie była obowiązkowa, to tylko Janek był taki stuknięty. Sąd Boży przyszedł na Dzikie Pola na dwa lata przede mną i mama musiała jednak zmodyfikować nieco metody. Co prawda zdarzyło jej się, że raz pewien młodzian, przyszedłszy na korepetycje z matematyki, zagadnął nieśmiało:

– A czy zamiast prawdopodobieństwa nie moglibyśmy zrobić dzisiaj charakterystyki porównawczej Zosi i Telimeny? Bo słyszałem, że pani tak lubi Mickiewicza, a ja nic z tego nie kapuję… – Tak grzechy młodości doścignęły mamę w wieku jak najbardziej Frodowym.

Próbowano też pacyfikować mamę przez podsuwanie jej odpowiedniej lektury w czasie sprawdzianów. Mama ochoczo przystępowała do gry, bo z jednej strony ciekawa była inwencji swoich uczniów, z drugiej doskonale wiedziała, że na matmie nawet zrzynać trzeba inteligentnie, a to w jej mniemaniu już wystarczało na tróję. Przeważnie po wejściu do klasy zastawała na swoim stoliku jakiś kryminał, bo łotry znały i tę słabość pani profesor. Kryminał jednak absorbował tylko jedną jej półkulę mózgową, druga była w pełni operatywna, a sytuacja kontrolowalna w osiemdziesięciu procentach. Jednak dwa razy strategia uczniów zadziałała perfekcyjnie: możliwości operacyjne pani profesor zostały zawłaszczone w procentach stu.

Za pierwszym razem klasa podsunęła jej świeżutkie wydanie *Rio Anaconda* Cejrowskiego. Albo mieli genialną intuicję, albo nastąpiły jakieś przecieki z pokoju nauczycielskiego, w którym mama gorąco zachwalała poprzedni tom, *Gringo wśród dzikich plemion*. Osobiście stawiam na to drugie; tak czy inaczej, kiedy mama weszła do sali, oczy skoczyły jej jak na sprężynkach, pośpiesznie rozdała przygotowane sprawdziany i zabrała się do czytania. Od lektury oderwało ją dopiero grzeczne pytanie przewodniczącego:

– Pani profesor, możemy już iść, bo nie zdążymy na następną lekcję? Kartki pozbieraliśmy, tu leżą…

Mama nie zwróciła uwagi na dzwonek, do tego stopnia się zaczytała. Nawiasem mówiąc, sprawdzian wypadł tylko nieznacznie powyżej przeciętnej, to znaczy na trzy minus, a nie na dopa, co mogło świadczyć o tym, że *Anaconda* zbytnio nie ułatwiła rozpracowania upiornego ostrosłupa ABCS, w którym podstawę stanowił trójkąt równoboczny ABC, a krawędź AS była prostopadła do tejże podstawy…

Nie muszę przy tym dodawać, że *Anaconda* została zakupiona w trybie natychmiastowym i ustawiona na półce z naszymi domowymi Miesiącami Zatajonymi. Czytaliśmy wszyscy, wyrywając ją

sobie podstępnie, a potem kolejne egzemplarze stanowiły dyżurny prezent dla tuzina krewnych i znajomych.

Za drugim razem było inaczej. Sprawdzian odbywał się na pierwszej ze zblokowanych lekcji, żeby, jak to mama określała, „oszczędzić uczniom mąk oczekiwania" (wzięła to z *Jutro klasówka* Niziurskiego). Tym razem czekała na nią *Rzeczpospolita kłamców – Salon* Łysiaka.

Czyżby wywiad klasowy również i tę mamusiną skłonność rozszyfrował? Mama bowiem była namiętnym czytelnikiem Łysiaka od zawsze, to jest od czasów, gdy jako czternastolatka z płonącymi uszami czytała *Kolebkę*. Była ewidentnym domowym ekspertem w dziedzinie Łysiakologii, potrafiła cytować obszerne fragmenty z jego książek, na temat każdej miała swoje zdanie, kochała *Flet z mandragory*, chociaż go przede mną chowała (i tak się dorwałam, obrzydlistwo, rzuciłam po dwudziestu stronach!) i *Konkwistę* (ja też!). Przejęła zapatrywania mistrza co do Napoleona i nieraz staczała w tym duchu walki z kolegami historykami, zaś poglądów na temat męskiego honoru przejmować nie musiała, bo kropka w kropkę miała takie same od pierwszej lektury *Pana Wołodyjowskiego*.

Ale do Łysiakowej publicystyki aż tak jej nie ciągnęło, no, może do tej najwcześniejszej, ale na początku nowego wieku była nią już chyba mocno zmęczona. *Rzeczpospolitą kłamców* czytał tata, bo tata był dużo twardszym zawodnikiem w dziedzinach niebeletrystycznych, no i uwielbiał przecież mecze polityczne. Potem pozycja utonęła gdzieś pod stosem książek i mama do niej nie wróciła. Teraz zaś była w zasięgu jej rąk.

Dzieciątka pilnie wyliczały ciągi arytmetyczne, pani profesor zaś podczytywała sobie dość wybiórczo wybrane fragmenty, aż wreszcie dotarła do początku części czwartej i tu stała się rzecz straszna. Mamie najpierw zatrzęsły się ręce, potem zrobiła się czerwona, wreszcie łupnęła pięścią w stół, cisnęła książką i wypadła z klasy. Ci zaś, co siedzieli bliżej, przysięgali, że usta pani profesor ułożyły się tak, jakby chciały wypowiedzieć najbardziej popularne w języku polskim słowo, znane także powszechnie za granicą. (Jasiek

opowiadał, że kiedyś pewien Turek, chcąc mu sprawić przyjemność, pozdrowił go słowami: Hallo, k....).

Klasa położyła uszy po sobie, pewna, że reakcja była odpowiedzią na ich haniebne wręcz próby zwalania z zastosowaniem wi-fi. Pokornie doliczyli do końca i czekali na wyrok.

Mama zjawiła się równo z dzwonkiem na nową lekcję. Przez ten czas zdążyła ochłonąć, umyć twarz i przybrać pozę godną nauczyciela Marynki. Powitało ją pełne skruchy:

– Pani profesor, my przepraszamy…

Mama spojrzała na nich jak na głupków i odparła:

– Za co? Czy to wy odpowiadacie za to, co ktoś nasmaruje i potem obwieści triumfalnie całemu światu?

Młódź zrozumiała, że mamie chodzi o książkę, odetchnęła z ulgą i uznała, że można zadać pytanie:

– Pani profesor, a co panią tak wkurzyło?

Mama, czując wyrzuty sumienia za swój wybuch i chcąc go odpracować, westchnęła, sięgnęła po sponiewierane dzieło i przeczytała na głos:

> Przez całą drugą połowę lat 90-tych opluwał polski Kościół, „polski antysemityzm" i wszelkie „polactwo" hurtem. Wyemigrował do Australii, tłumacząc, że robi to dlatego, iż nienawidzi Polaków. Tam udzielał prasie wywiadów, w których wszystko co polskie (papieża, religię, patriotyzm) odsądzał od czci i wiary, bez przerwy wałkując mantrę „polskiego antysemityzmu". Mało kto wie, iż godzinę przed śmiercią ów wojujący Żyd pojednał się na wiedeńskim szpitalnym łóżku z chrześcijańskim Bogiem, przyjmując wiarę katolicką, którą tyle lat ganił jako wredny kult. Tak na wszelki wypadek.

Klasa nie wiedziała, co jest grane. Ktoś wreszcie się ośmielił:

– O kogo tu chodzi, pani profesor?

Ale jeden bystry już zrozumiał:

– O Kaczmarskiego?!… Tylko że…

– No właśnie – dopowiedziała mama.

Przez całą matematykę i kolejną lekcję wychowawczą mama wygłaszała klarowny, skondensowany wykład, tak gęsto szpikowany podawanymi z pamięci cytatami, że jej notowania poszybowały w górę na niebotyczne poziomy. Zaczęła od pryncypiów.

– Haniebnym, powtarzam, haniebnym jest babranie się w cudzych relacjach z Panem Bogiem i imputowanie niskich pobudek przyjęcia sakramentu! Nikt z tych, którzy czuwali przy umierającym Kaczmarskim, nie ujawnił okoliczności chrztu i niech tak pozostanie, a każdy człowiek honoru – to mama przeciągnęła w szczególny sposób – winien to uszanować i zamilknąć! Każdy pozbawiony litości i miłosierdzia powinien się lękać, że i on tak kiedyś zostanie potraktowany przed najwyższym trybunałem! – Ostatnie zdanie było bardzo swobodnie oddanym cytatem z *Morderstwa na plebanii* Agaty Christie. Nieznośne dzieciary siedziały cichutko jak myszki, sczytując jej z ust każde słowo.

– …poza tym Kaczmarski zmarł w Gdańsku, nie w Wiedniu, ale to akurat drobiazg. Bo wiecie, co w tym wszystkim jest najbardziej absurdalne? Że piosenkami Kaczmarskiego można by ilustrować książki Łysiaka! Przecież oni czują, myślą i oddychają w jednym rytmie!

Dobrze, że mama była ubrana tego dnia w jakąś bluzeczkę podpiętą wysoko pod szyją. Na bank obsypana była czerwonymi kropkami…

– Weźmy, proszę, *Kolebkę*! I przyrównajmy ją do *Rozbitych oddziałów*:

Po klęsce – nie pierwszej, podnosząc przyłbicę
Przechodzą, jak we śnie, ostatnie granice.
Przez cło przemycają swój okrzyk bojowy
I kulę ostatnią, co w ustach się schowa.
Przy stołach współczucia nurzają się w winie
I obcym śpiewają o Tej, co nie zginie.
I cierpią, gdy śmieje się z nich świat zwycięski,
Niepomni, że mądry
Nie śmieje się z klęski!

Oj, mamuśka, zaczęłaś jak Hitchcock, od trzęsienia ziemi! Teraz musiałaś tylko stopniować napięcie!…

– A chociażby *Milczące psy*! Czytał to kto?

Podniosła się jedna ręka.

– Piątka! – Mama wpisała ocenę do dziennika, z matematyki, oczywiście, jak zawsze. – Nie wiadomo, co bardziej pasuje do tej właśnie powieści! *Sen Katarzyny II*, *Rejtan*, *Krajobraz po uczcie* – proszę bardzo:

A w stolicy Sejm kończy obrady
Na rękach niesiony uśmiecha się król
Ambasadorowie nie zmieniają ról
Wiedząc jak blisko od chwały do zdrady!

– Pani profesor – wtrąciło się nieśmiało dziewczę hoże – ale w tej piosence Kaczmarski się pomylił… Na obrazie Matejki na rękach niosą marszałka Małachowskiego, a król wchodzi właśnie do katedry…

Mama prześwidrowała ją wzrokiem aż do dwunastnicy.

– Piątka za lekcję – wpisała do dziennika – i piątka na koniec roku.

Dziewczę z ogłupiałą miną klapnęło na ławkę.

– Wiecie, oczywiście, że Łysiak kocha Napoleona – klasa pokiwała głowami – i pisze o nim sercem i krwią, nie piórem. Cóż bardziej pasuje do tego, jak nie *Somosierra*:

Pod prąd wąwozem w twarz ognistym wiatrom
Po końskie brzuchy w nurt płynącej lawy
Prze szwoleżerów łatwopalny szwadron
Gardła armatnie kolanami dławić…

– …i ta puenta, tak gorzka, i tak Łysiakowa:

Nie ten umiera co właśnie umiera

Lecz ten co żyjąc w martwej kroczy chwale
Więc ci co polegli – poszli w bohatery
Ci co przeżyli – muszą walczyć dalej!

Dzieciątka wpatrywały się w panią od matematyki jak… chciałam napisać: w święty obraz, ale bądźmy realistami – jak w Facebooka!

– A *Wigilia na Syberii*? A *Zesłanie studentów*? *Karmaniola*? Jak można przypisywać kosmopolityzm – ba! polakożerstwo! – człowiekowi piszącemu, że „jeszcze Polska wtedy żyła, gdy za nią ginęli”! Albo tak:

Dróg, by tam trafić – nic nie ułatwia
W przestrzeniach burz i w czasów kipieli,
Ale istnieje przecież Sarmatia,
Istnieje gdzieś Terra Felix.

– …rozumiecie? „Ale istnieje przecież Sarmatia”… – Mama zdjęła nagle okulary, chuchnęła na nie, wytarła rąbkiem bluzki i kontynuowała:

– A co powiecie na te traktujące o historii współczesnej? *Katyń*, *Jałta*, *Czołg*… Mógłby je napisać ktoś, kto odsądza od czci i wiary wszystko, co polskie? W nich jest ból, żal, pragnienie pomsty i pogarda dla wroga!

To był Sienkiewicz czy produkcja własna?

– A Łysiak pisał przecież o sobie, że jest samotnym wilkiem. Wypada zadedykować mu wobec tego jeszcze i to:

Słuchajcie bracia! Wyje do was wilk – kaleka,
Trzeba odrzucić to, co w nas zniewala nas!
I po dziś dzień naganiacz, strzelec, czy kłusownik,
Przyzwyczajony do czytania tropów map,
Przez zęby mówi – Oto jest wilk wolny!
– Kiedy na śniegu ujrzy ślady trojga łap!

Mama zmierzała do finału:

– Cóż się zatem kryje za tą niezwykłą, absurdalną pogardą mistrza Łysiaka? A tak, mistrza! Bo gdyby był pierwszym lepszym grafomanem, powiedziałabym: zazdrość. Zazdrość Salieriego. Że ten „rozpustny młodzik", ten Żydek z komunistycznymi korzeniami partyjnego chowu, bierze pióro do ręki i po pijaku pisze tak, jak on nigdy pisać nie będzie, choćby się męczył dniami i nocami…

O, matko!

Owocem tej niezwykłej lekcji matematyki były ze cztery prezentacje maturalne z polskiego, poświęcone Kaczmarskiemu, każda bardzo wysoko oceniona. Co dyrektora, prywatnie też miłośnika Jacka, wprawiło w błogostan…

Więcej już takich szaleństw mama nie uskuteczniała, wypychając cierpliwie kolejne roczniki z budy i, jak już sobie powiedzieliśmy, troszcząc się o ofiary reformy, których wiedzę matematyczną będą egzekwować na maturze. Cyrk ten miał się zacząć, kiedy ja byłam w pierwszej licealnej.

Rok ten zapowiadał się dla naszej rodziny niezwykle ciekawie. Najpierw pięćdziesiąte urodziny rodziców. Potem w maju święcenia diakonatu Jaśka. No i wreszcie we wrześniu trzydziesta rocznica ślubu staruszków, a zaraz potem moja osiemnastka…. Nie dziwota, że na sylwestra chichotaliśmy radośnie, składając sobie najlepsze życzenia na cały rok.

Jak to śpiewał Okudżawa z winylowej płyty mamy? „Wy jeszcze nie wiecie, co komu pisane i kto będzie żył"…

Czas szybko leciał, wyprawiliśmy w marcu huczne urodziny, a potem przyszły święta i rocznik 2010 poczuł tykanie zegara z tyłu głowy. Na pierwszą sobotę po Wielkiejnocy mama umówiła dwóch uczniów na godzinę dziewiątą i mnie też pogoniła, bo mieli przerabiać równania i funkcje:

– Przyda ci się – powiedziała stanowczo.

Skupiliśmy się wszyscy dookoła biurka mamy, mama z zapałem pisała po swojej wypasionej tablicy, rósł las liczb… Lekcja trwała tak coś ponad pół godziny, kiedy w drzwiach stanął biały jak ściana Fred.

– Mamo – powiedział załamującym się głosem – przerwij…

Rozdział XI

Najkrótszy, bo po co długo płakać

W środę uczniowie zażądali – tak właśnie, zażądali! – żeby ich zwolnić, bo oni chcą jechać do Warszawy. Decyzje zapadły bardzo szybko, uzgodniono, że pojadą z nimi dyrektor i mama; wszyscy chętni mieli stawić się na dworcu o szesnastej. Mama wpadła do domu, żeby się przebrać, i wtedy zawiesiłyśmy się na niej z Gośką, że my też jedziemy. Mama powiedziała tylko:

– Ubierzcie się odpowiednio, bo w nocy może być bardzo zimno – co było dla nas, lednicowych wiarusów, oczywistością; w czerwcu bywało zimno, a co dopiero w kwietniu. Gośka szybko zadzwoniła do Freda, miał prosto z pracy dobić do nas na dworzec, a gdyby nie zdążył, przyjechać następnym pociągiem.

Wtedy odezwał się tata:

– Elciu, zostań ze mną, proszę. To może być ponad twoje siły – ale ja oburzyłam się, nawet słuchać nie chciałam; tata znowu zaczynał to swoje głupie gderanie i trząsł się o mnie zupełnie bez powodu! Mało tego, byłam zła, że on też się nie zadeklarował, że zostaje ot tak sobie, dla wygody, w cieple domowych pieleszy. Teraz już nawet, niestety, nie było problemu ze zwierzakami, bo Alfowi wystarczyło nasypać suchej karmy. I wydaje mi się, że podobnie myślała mama, chociaż słowa na ten temat nie powiedziała, ale tak jakoś popatrzyła… A tata był dziwnie milczący, zamknięty w sobie.

Czekaliśmy wtedy w kolejce całą noc i przedpołudnie, piętnaście godzin, momentami rzeczywiście myślałam, że nie dam rady, ale

wtedy… przychodziła jakaś taka siła… Wróciliśmy do Poznania dopiero wieczorem następnego dnia i zastaliśmy tatę zwiniętego w kłębek na kanapie, z czterdziestostopniową gorączką; prawie nie kontaktował z otoczeniem. Alf siedział na nim i piszczał po psiemu; zawsze tak robił w sytuacji kryzysowej, w końcu nie na darmo chował się z psem. Natychmiast zawołane pogotowie stwierdziło u taty odmiedniczkowe zapalenie nerek.

Miałyśmy z mamą potworne wyrzuty sumienia. Ja, że nie zostałam razem z tatą, bo mogłabym przecież wcześniej zawołać lekarza. Mama, że na pierwszy gwizdek pojechała w świat z obcymi dzieciakami, a nie zauważyła, że coś niedobrego dzieje się z jej własnym mężem. I obie, że przypisywałyśmy mu niemęskie ciaćkanie się. A tatę musiało brać już przecież co najmniej od poniedziałku, bolało go, i to jeszcze jak, a siedział cicho…

Kurował się potem z miesiąc, bo doszło jeszcze nadciśnienie; był teraz bezwzględnie pilnowany przez całą naszą czwórkę i niewypuszczany z łóżka, więc dyrygował swoim sklepikiem – tak żeśmy się z nim nieraz drażnili jak Peppone z don Camillo – zawinięty w pierzyny z laptopem na kolanach. Choćby jednak gwoździe z nieba leciały, musiał stanąć na nogi na dwudziestego maja.

Może jeszcze kiedyś Janka zapytam, bo do tej pory nie zdarzyła nam się taka chwila szczerości, jak wtedy na Roztoce, co czuł, kiedy niemal w przeddzień święceń zwaliło się na niego tyle smutku… Nie spławiłby mnie oczywiście, co najwyżej próbował się wykpić jakimś cytatem. Jak to było?… „Mniej mówimy, niż czujemy, dlatego brak nam właściwych słów, gdy nie wypada żartować”…

W każdym razie Jasiek został wyświęcony, calusieńka rodzina zryczała się, że szkoda gadać, kiedy leżał krzyżem na posadzce katedry, a najbardziej chyba ja, bo *Litania do Wszystkich Świętych* kojarzyła mi się z naszym papieżem. Chociaż nie, tatę też wzięło tak potężnie, jak nigdy przedtem nie zdarzyło mi się widzieć…

Potem, po uroczystości, babcia Kotoń ściskając Janeczka, zapytała:

– No i co ty teraz, wnusiu, możesz robić?

Jasiek znowu był sobą, drgnęły mu usta, w oczach zapaliły się chochliki i stawiam każdy zakład, że chciał odpowiedzieć tak, jak w tym kawale z kruchty:

– Mogę na przykład babcię na cmentarz odprowadzić! – ale przyhamował, wytłumaczył wszystkim po ludzku, i dobrze, bo później on miałby wyrzuty sumienia.

Na razie przyszło lato, pojechaliśmy jak zawsze do Gołuchowa, a potem pod koniec sierpnia tata i mama sami, jak za młodomałżeńskich czasów, polecieli do Cardiff w ramach ekstrapodróży na trzydziestą rocznicę. Brendan miał ich zawieźć w dwa samochody ze swoim synem Davidem (Brendan nazywał dzieci po ludzku, imionami walijskimi, ale strawnymi) gdzieś tam na wyspę Anglesey, gdzie wynajął dla nich na tydzień domek. Mieli im zostawić jedno auto i w ten sposób zapewnić swobodę ruchów i święty spokój. Najbardziej cieszyła się mama, bo właśnie była na świeżo po lekturze *Lata Duńczyków* z serii o braciszku Cadfaelu i planowała prześledzić całą akcję z książką w ręku. Tata czytał to już jakiś czas temu po angielsku, mama jednak, mimo całych swoich lingwistycznych wysiłków, wolała poczekać na polski przekład. Raz tylko widziałam, jak bez naganiania wzięła się za angielską lekturę; było to po moim pamiętnym rajdzie do Zakopanego, kiedy nie mogąc się doczekać, co dalej, dorwała się do rozdziału *Znowu w Zakazanym Lesie*. No i ciężko to odpokutowała, bo była przekonana przez dłuższy czas, że Harry naprawdę zginął!

W drodze na Anglesey Brendan zagadnął:

– I co, Robert, jak tam *Hobbit*? Nie chcesz go sprzedać? Miałbym chętnego. Wiesz, po ile on teraz idzie? A w dodatku twój jest z autografem. Kupiłbyś sobie porządny samochód…

Ale tata odmówił, chociaż Kapitan odjechał już wtedy do krainy równych dróg (mama, kiedy chciała się ze mną podrażnić, mówiła, że wzięli go na pokazy straży pożarnej, jak się szybko wybija szyby i ratuje ludzi), a my jeździliśmy nexią po dziadku Niziołku. Zaraz, z czego to było, że prędzej sprzedałby swoje dzieci, gdyby znalazł się na nie jakiś klient… Pachnie mi Makuszyńskim, ale nie jestem pewna.

Rodzice spędzili upojny tydzień i wrócili do Poznania radośni, a tata na pewno zdrowszy. Moja osiemnastka też minęłaby bez zgrzytów, gdyby nie jeden problem. Mianowicie, jak wiecie, poszłam o rok później do szkoły, więc zawsze byłam najstarsza w klasie – zupełnie odwrotnie niż Janek. Wynikła więc kwestia natury alkoholowej, bo

mamę gryzło sumienie, że nie wypada sproszonych małolatów poić drinkami. Podano zatem tylko jeden kieliszek szampana na twarz. Tyle że później całe towarzystwo przeniosło się na Stary Rynek, a mamę zaczęli nagabywać spłoszeni rodzice, że nie mogą się dodzwonić do swojej, dajmy na to, Aneczki. Pewnie, w klubie Dragon nie było zasięgu…

Ale dość już zagadywania, muszę napisać wreszcie, co trzeba. Krótko, żeby krócej płakać.

W listopadzie umarł dziadek Kotoń. Jego życzeniem było spocząć w grobie rodzinnym na Ogrodach. Mama poszła do proboszcza, ten pogmerał w kartotece, popatrzył na mamę, która po trzech nieprzespanych nocach wyglądała, jak wyglądała, zaczął coś gadać, wreszcie machnął ręką, podpisał, co trzeba, ale na koniec nie odmówił sobie puenty i burknął:

– I co, ja mam jeszcze odprawiać pogrzeb?

– Nie – powiedziała beznamiętnie mama. – Jeżeli ksiądz proboszcz nie ma nic przeciwko temu, zrobi to wnuk – czym wytrąciła mu oręż z dłoni i zakończyła sprawę.

Potem jeszcze mama załatwiała formalności w biurze cmentarza – holowała ją Gośka – i zawahała się, widząc w poczekalni ogłoszenie trębacza. Dziadek bardzo lubił *Ciszę*.

– Zostaw, mamuśka – powiedziała stanowczo Gośka. – Janek i Merry to załatwią, nic się nie martw. Mają takich starych kumpli z muzycznej…

Rzeczywiście, załatwili dwóch najlepszych, a kiedy mama się dziwiła:

– Jak to, przyjdą tak do obcych ludzi? – Gośka odpowiedziała:

– No pewnie, że przyjdą, jak tylko się dowiedzieli, że to dziadek Jaśka.

Mama się wzruszyła i o nic więcej nie pytała. Ja miałam to szczęście czy pecha, że usłyszałam dalszy ciąg nieprzeznaczony dla mamy, kiedy Gośka i Jasiek coś tam na stronie sobie szeptali. Janek mówił:

– Danielowi też niedawno umarł dziadek, a Paweł jak się dowiedział, że proboszcz nie chciał odprawiać pogrzebu, to z Łodzi przyjedzie…

– A od ciebie?

– Nasz opiekun miał z nim na pieńku od dawna, więc pozwolił wszystkim, będzie nas dziesięciu… Będę mógł wziąć kapę z muzeum…

Wtedy zobaczyli mnie. Gośka się wściekła:

– Spadaj, mała, to nie na twoje uszy!

– Jestem pełnoletnia! – wkurzyłam się na nią. – Mam prawo słuchać!

Janek spojrzał na mnie krótko, poważnie i bez uśmiechu.

– Słuchaj ty, pełnoletnia, tylko uważaj, bo powiem krótko, bez powtarzania, a i tak będę się musiał spowiadać, że deprawowałem maluczkich. Dziadek do kościoła za często nie chodził, tak?

– Tak, ale…

– Nie przerywaj mi. Wiesz od mamy, że w szpitalu się wyspowiadał i przyjął komunię? Więc proboszcz nie powinien był robić przeszkód. Dziadek był dobrym, szanowanym człowiekiem… – Jasiek odetchnął. – Doskonale wiem o tym, że wykorzystuję niechęć mojego opiekuna i urazy przyjaciół. Nie powinienem tego robić, ale zrobię – tu głos mu zazgrzytał – a najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie odczuwam żadnych wyrzutów sumienia. Nie dopuszczę, żeby babcia i mama musiały płakać przez cudzą małostkowość, jasne?

Pokiwałam głową, bo gardło mi się ścisnęło. Takiego Janka widziałam po raz pierwszy… Twardego, zawziętego.

A potem… potem już było zupełnie inaczej.

Kiedy przekroczyliśmy bramę cmentarną, zobaczyliśmy tłum ludzi. Stali wszędzie, na drodze głównej i w bocznych alejkach. Chyba cała Maria Magdalena. Pół piątki. Pół muzycznej, jakieś zupełnie nieznane mi twarze. Pod kaplicą czekał Brendan, który przyjechał tu prosto z Ławicy. I Merry z Wiolą i rodzicami, i moje koleżanki, i wszyscy przyjaciele mamy i taty z czasów bibuły.

Pojawił się Janek w fioletowej kapie, dziwnej, takiej jeszcze nie widziałam, w asyście dziewięciu innych diakonów. Zaczął śpiewać… Boże, jak Jasiek śpiewał! Zawsze wiedziałam, że śpiewa doskonale, ale teraz to było jakieś takie… niesamowite… jak w tym opowiadaniu o don Camillu, kiedy pewien człowiek szedł się utopić do Padu, ale przedtem zaszedł do karczmy i za obiad zapłacił pieśnią. Jakby chciał

wyśpiewać całą swoją duszę, cały swój żal… i przeprosić jednocześnie…

Potem szedł za nami cały ten ludzki tłum, a jakiś starszy pan zdumiony zagadnął pierwszą osobę z brzegu:

– Panie, a kogo tu chowają?

– Dziadka Janka – odparł chłopak, nie wiadomo, czy z muzycznej czy z piątki, czy po prostu z podwórka.

A jeszcze potem zagrali Paweł i Daniel. Ci z muzycznej zaczęli delikatnie dołączać w tle mormorando. I wtedy już wiedziałam na pewno, że tak się nie śpiewa i nie gra komuś na złość. Tak się śpiewa dla kogoś, tylko nie bardzo potrafiłam odróżnić, czy chodziło im o dziadka czy o Janka, czy może o Kogoś jeszcze innego.

Rozdział XII

Helmowy Jar

Koleją rzeczy dwa ważne wydarzenia miały zaprzątać uwagę rodziny w następnym roku: święcenia Janka, teraz już końcowe, kapłańskie i moja matura. Pozwólcie, że nieskromnie, a przy tym nieco niechronologicznie opowiem najpierw o sobie, a potem dopiero szczegółowo o Jaśku, bo doprawdy w jego przypadku jest o czym opowiadać, więc zostawmy to sobie na deser.

Nad moją edukacją, jak wiecie, z przyczyn oczywistych trzęsła się cała rodzina. Za angielski odpowiedzialni byli tata i Gośka, mama oprócz matmy pilnowała też polskiego, a w cięższych przypadkach przekierowywana bywałam do babci Niziołek. Po odejściu Janka, który był dobry ze wszystkiego, fizę i chemię przechwycił Fred; bardzo mile wspominam te lekcje, bo wygłupiał się na nich jak zawsze, układając absurdalne zadania. Jedno z nich brzmiało następująco:

– Kierowca samochodu zobaczył z odległości sześćdziesięciu metrów kota przebiegającego przez jezdnię i przyśpieszył do siedemdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę…

– Nieeee!! – zaczynałam wyć. A Fred kończył:

– Przyjmując prędkość kota na dziewięć kilometrów na godzinę, a szerokość pasa jezdni na pięć metrów, oblicz, czy kierowcy uda się przejechać kota.

Oczywiście Fred tak zawsze dopasował dane, żeby kot zdążył uciec: w tym przypadku byłby lepszy o jedną sekundę. Sprawdźcie,

jak nie wierzycie. Drugim jego ulubionym było zadanie o dwóch pociągach jadących po jednym torze, żywcem zerżnięte ze wspominanego już *Jutro klasówka* Niziurskiego. Ale prawdziwym hitem było zadanie o Bondzie:

– W pociągu jadącym z prędkością stu ośmiu kilometrów na godzinę ucieka ruski szpieg…

Czemu Fred podawał takie głupie prędkości? Żeby łatwiej się dzieliły przez trzydzieści sześć. A czemu miałyby się dzielić przez trzydzieści sześć? A, to już sami pokombinujcie.

– …Bond ściga go samochodem jadącym z prędkością stu sześćdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę. Długość składu pociągu wynosi sto dwadzieścia metrów. Ruski szpieg potrzebuje na załadowanie kałacha osiem i pół sekundy. Czy Bond zdąży wyprzedzić pociąg, zanim tamten go rozwali?

Zadanie było bardzo trudne, ale nie spoczęłam, zanim się nie doliczyłam, że – co było do przewidzenia – Bond by wygrał.

Z kolei babcia Kotoń do czasu trzymała się swojej działki, czyli geografii, ale odmówiła usług w momencie, kiedy obejrzała sobie testy maturalne. Co wtedy powiedziała, słuchać hadko. Nie podpadało to wprawdzie pod paragraf deprecjonowania wizerunku nauczyciela, jak w przypadku babci Niziołek, a co najwyżej wyższych władz oświatowych, niemniej było tak pełne ekspresji, że należy je przemilczeć. W każdym razie od tego momentu stało się dla mnie jasne, po kim mama odziedziczyła swoje skłonności – dziadek był z natury flegmatyczny. Najbardziej spodobało się babci pytanie: „Podaj przykład oszczędzania wody w twoim gospodarstwie domowym".

– Przykład? Proszę bardzo! – zapaliła się. – W jednej wodzie kąpie się najpierw ojciec, potem matka, potem dzieci, a na końcu pies. Merytorycznie jak najbardziej poprawnie i jeszcze literacko do tego! – Nie wiedziałam, o co chodzi, dopiero mama mi wytłumaczyła, że to z *Kto mi dał skrzydła* Porazińskiej. Za moich czasów nie było już tego w lekturze. – Kto zadaje głupie pytania, dostaje głupie odpowiedzi!

Mimo wszystko zdecydowałam się na geografię, bo wydawała mi się bardziej przewidywalna od historii, a znośniejsza dla łajzy humanistycznej od biologii. Tak zresztą poradziła mi Gośka:

– Maturę trzeba przecierpieć, zdać i zapomnieć o tym całym obciachu. Historii nie ruszaj, nigdy nie wiadomo, czy nie trafisz na pytanie o gzymsiki renesansowe. – Na którymś z poprzednich egzaminów były do rozszyfrowania okna w różnych stylach architektonicznych i poległ na nich nawet wuj Anioł.

Trzeba jednak oddać sprawiedliwość, że na rok przede mną pojawił się w teście historycznym fragment *Jałty* Kaczmarskiego jako tekst źródłowy!

Pochodzący z Gorzowa Fred nieraz się ze mnie nabijał, że jestem poznaniarą do szpiku kości, bo wszystko zawsze załatwiałam z dużym wyprzedzeniem. I że rzekomo jeszcze w gimnazjum miałam zrobione dzienniczki do klasy maturalnej włącznie. A kim miałabym być, do krocset, skoro oboje rodzice byli poznaniakami od co najmniej czwartego pokolenia? Co prawda babcia Kotoń spaskudziła mamie metrykę, gdy pojechała ją urodzić do Obornik, do swojej mamy, ale zawsze.

Zatem zgodnie z poznańskimi genami zadbałam już marcu poprzedniego roku przed maturą, żeby wpisać na listę prezentacji z polskiego mój temat: „Kreacja świata we *Władcy Pierścieni*". Chciałam najpierw, żeby było „w dziełach Tolkiena", ale Gośka znowu mnie zastopowała:

– Daj żyć, o tym można ględzić godzinami! A ty będziesz miała piętnaście minut!

No fakt, piętnaście minut to mało. Wtedy nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak strasznie mało. W każdym razie zaczęłam gromadzić materiały, kupiłam na Allegro *Światy Tolkienowskie. Wizje Śródziemia*, których z dziwnych przyczyn u nas w domu nie było. Może wyprowadzili je jacyś kolesie Jaśka i Merry'ego, kiedy zaczął się szał na *Władcę* za sprawą filmu Jacksona.

A we wrześniu okazało się, że mojego tematu nie ma na liście. Sprawdzałam trzy razy. Nie było. Zapieniłam się, bo w trakcie przeglądania trafiałam na takie kwiatki: „Horror w filmie", „Omów trzy utwory Kazika Staszewskiego"… Ja nie mam nic przeciwko Kazikowi, owszem, bardzo go lubię, nawet tata go lubi, chociaż Kazik z kolei lubi sobie rzucić mięsem, ale z całym szacunkiem, Tolkien chyba ważniejszy!

– Ten głupi Wilczur nie oddał mojego tematu! – rozdarłam się w domu pod adresem pana od polskiego o pięknym dołęgowsko-mostowiczowskim nazwisku. Takie są skutki, kiedy starsi przy młodzieży deprecjonują wizerunek nauczyciela…

– Kotku, a może po prostu taki temat był w zeszłym roku i komisja go odrzuciła? – zasugerowała mama, ani słowem jednak nie broniąc Wilczura, na którego od dawna miała, jak to się mówi po poznańsku, rachę. I to ma być solidarność zawodowa?

– Eluniu, nie martw się – koił tata. – Zobacz, tu jest taki temat: „Zinterpretuj kilka przykładów poezji śpiewanej”…

– Co za koszmarne sformułowanie – burknęła mama.

– …może być przecież Kaczmarski – dokończył tata.

Zastanowiłam się.

– Elka, a zobacz takie coś: „Zanalizuj sposoby interpretowania literatury przez film, wykorzystując wybrane przykłady”…

– Czy oni nie potrafią pisać po polsku?! – zirytowała się pani matematyczka. – Co to, korona by im z głowy spadła, gdyby napisali po prostu: „Literatura a film”? No przecież wiadomo, że trzeba omówić na przykładach, a na czym?

– …weź *Władcę Pierścieni*! – udało się dokończyć Gośce. Mówiłam, że moją edukacją przejmowali się wszyscy.

Popatrzyłam spod oka na tatę.

– Bardzo dobry pomysł – powiedział życzliwie. – Tyle się u nas w domu o tym mówiło.

Oj, mówiło się, mówiło… Przez tę bez mała dekadę tata złagodniał, żeby nie powiedzieć zmądrzał, i chyba nabrał do pewnych rzeczy zdrowego dystansu.

Z poznańską pedanterią postanowiłam zrobić rundę po bibliotekach tuż przed Gwiazdką, kiedy nie ma tłoku, a w zimowe ferie machnąć już solidny konspekt.

Tylko że na Gwiazdkę zaczął chorować Alf… nie, basta! Ten rozdział nie miał być do płakania. Więc krótko i zwięźle: kiedy w połowie stycznia szłam na próbną maturę, raczej do niczego nie miałam głowy.

Rozdano arkusze, zgodnie z instrukcjami mamy zaczęłam od części testowej bez podglądania tematu rozprawki, żeby się nie

denerwować; jakoś szło. Może nie najlepiej, ale szło. Mogłam wreszcie przejść do drugiej części. Z prozy byli tradycyjnie *Chłopi*, za to z poezji… O rany!… *Kot w pustym mieszkaniu* Szymborskiej…

Mama mówiła: przyjrzyj się spokojnie obu tematom. Nie zawsze fragment prozy jest łatwiejszy. Czasami wiersz bywa bardzo wdzięczny do interpretacji. Pomyśl nawet i dziesięć minut.

Słuchaj matki co drugi raz, jak powiada nasz ulubiony kuzyn Rafał Anioł, za co zawsze dostaje ścierą od cioci Beaty. Niestety, wypadł mi chyba właśnie ten drugi raz, bo zaczęłam grzecznie czytać.

Umrzeć – tego nie robi się kotu.
Bo co ma począć kot
w pustym mieszkaniu.
Wdrapywać się na ściany.
Ocierać między meblami.(…)
Niech no on tylko wróci,
niech no się pokaże.
Już on się dowie,
że tak z kotem nie można.
Będzie się szło w jego stronę
jakby się wcale nie chciało,
pomalutku,
na bardzo obrażonych łapach.
I żadnych skoków pisków na początek.

A miało być bez płakania, psiakrew!

Przerzuciłam się na *Chłopów*, napisałam byle co, w głowie mi łomotało, chciałam już jak najszybciej wyjść.

Potem się okazało, że napisałam fatalnie, na granicy zdawalności, a w dodatku pomyliłam Kubę z Witkiem. Byłam wściekła, a cała moja solidarna rodzinka serdecznie zasmucona.

– Wszystko przez tę stalinówę! – ulżyła sobie Gośka, świadoma tego, co mnie tak potwornie rozmiękczyło. Gośka ostatnio była taka bardziej z nożem w zębach, Fred zresztą też.

– Słu-cham?! – To była mama. Ale jak ona to powiedziała! Jakby była u siebie w szkole i miała ustawić nieznośnego bachora.

– Oj, mamo, nie rób takiej miny, przecież wiadomo, że pisała wiernopoddańcze wiersze na cześć Stalina i nigdy się od tego nie odcięła! A Nobla dostała dlatego, że trzeba było utrącić Herberta. W ogóle dziwię się, że wujek Marek… – Nagle moja siostrzyczka wyhamowała, bo mama patrzyła na nią już nie służbowo-szkolnym, ale całkiem prywatnym, smutnym bardzo wzrokiem.

– Gosiu – powiedział tata – tak się nie powinno mówić.

– Niby czemu? – Gośka dalej była taka bardziej odporno-zaczepna. – Prawda w oczy kole!

– A wiesz, że Mickiewicz podpisał carską lojalkę, żeby wydostać się z więzienia, o którym potem tak przejmująco pisał w *Dziadach*? – zapytała ni z gruszki, ni z pietruszki mama. – To w wersji soft. W wersji hard był TW Ochrany, co wypomniał mu niejaki Chodźko: „Autorytet pana Mickiewicza jest więcej niż podejrzany, gdyż uważamy go wszyscy za szpiega rosyjskiego!”.

– O, mamuśka zaczyna jechać Łysiakiem! – burknęła Gośka.

– Najpierw wypisywał „zawsze i wszędzie będę ja przy tobie”, a potem pieprzył się z mężatką na oczach jej męża i siostry, gdy po drugiej stronie granicy dogorywało powstanie. – Mamy nic nie mogło w tej chwili zatrzymać. O dziwo, jej ukochany Robert nawet okiem nie mrugnął, usłyszawszy nieprzyzwoity wyraz. – A co wyprawiał później swojej własnej żonie, to nie do końca wiadomo, bo zdewociały syneczek usunął wszelkie archiwa!

– Mamo, *sorry*, ale to niekonsekwencja! – Słodka Perełka nie chciała ustąpić. – Przed pijakiem i rozwodnikiem Kaczmarskim to jesteś na klęczkach!

– Kaczmarski nigdy nie udawał Dziewicy Orleańskiej, w odróżnieniu od wieszcza, który szlochał za Marylą i cierpiał za milijony – warknęła mama.

– Mamuśka, ale czemu tak to przeżywasz? – Gośka musiała poczuć wyrzuty sumienia. – Co ci zależy?

– Zależy! – huknęła mama. – Bo na placu Mickiewicza, pod jego pomnikiem, moi rodzice krzyczeli: „Pracy i chleba!”, a ja sama: „Solidarność!”.

– No dobra, ale co to ma wspólnego z Szymborską?

– Gosiu, nie udawaj idiotki – wtrącił się tata. – Analogia jest oczywista i dobrze wiesz, o co mamie chodzi. Mickiewicz prywatnie mógł być draniem, ale mama od dwudziestu lat wbija go uczniom do głowy. Szymborska napisała elegię o Stalinie, ale Elka zawaliła maturę, bo zryczała się nad jej wierszem. Jak się skupimy na wrzodzie na nosie, to zatracimy zdolność opisu całej twarzy.

Zamiast próbnej matury miałam przedmaturalną lekcję o pryncypiach i dziedzictwie…

Skutek mojej wpadki był taki, że rodzinka zaczęła mnie namawiać na zmianę deklaracji.

– Czemu ty, Eluniu, nie weźmiesz sobie arkusza dostosowanego? – dziwiła się babcia Niziołek. – Przecież ci się należy!

Ale ja nie chciałam. Wtedy uznała za stosowne postraszyć mnie Gośka:

– Mała, uważaj, bo oblejesz maturę!

– To obleję! Odczep się! – warknęłam. No kurczę blade, Janek jeździł im po głowie, nie mając jeszcze piętnastu lat, ja mam rocznikowo dwadzieścia, a każdy pcha się na wyprzódki z dobrymi radami!

Już więcej nic nie mówili, tylko każdy pilnował swojej placówki: mama dręczyła mnie dziesiątkami testów z matmy i kazała bez przerwy pisać te durne wypracowania pod klucz. Gośka i tata tak przemaglowali ze mną wszystkie standardy z ustnego angielskiego, że do dzisiaj mi się śnią. Wyrwana ze snu potrafiłabym zawołać pogotowie po angielsku albo wynegocjować zmianę planów z pójścia na film na pójście do dyskoteki (ja akurat wolałabym odwrotnie). No i oczywiście wszyscy interesowali się moją prezentacją.

Najpierw mama, widząc moje przygotowania, postukała palcem we frazę: „wykorzystując wybrane przykłady”.

– Przykłady, nie przykład – mówiła. – Musisz coś jeszcze dobrać, bo się do ciebie przyczepią. – Mama była pragmatyczna do szpiku kości.

– Może *Ogniem i mieczem* – podsunął tata. – Przecież bardzo to lubisz.

Rzeczywiście, *Ogniem i mieczem* lubiłam najbardziej z całej filmowej trylogii, chociaż doskonale wiedziałam, że mama i tata patrzą na tę część krzywym okiem. Mamy ulubioną był oczywiście *Pan Wołodyjowski*, tata zakochany był w *Potopie*, a temperatury jego uczuć nie ostudziły nawet ostatnie wypowiedzi pana Olbrychskiego. Mnie samej dawno temu *Pan Wołodyjowski* podpadł za oba konie, na których uciekała Baśka – śmierć pierwszego, tego, którego zagryzły wilki, jeszcze jakoś dzielnie zniosłam, ale rozryczałam się w momencie, kiedy drugi utopił się pod lodem. Odmówiłam wtedy oglądania reszty i dzięki temu oszczędziłam mamie cenzurowania dalszego ciągu w postaci zarzynania starszego pana Nowowiejskiego i nadziewania Azji na pal. Smacznego.

Ogniem i mieczem natomiast, chociaż też ociekające krwią, podobało mi się, bo było – nie czarujmy się – bardziej nowoczesne. Nawet jeżeli miało mały budżet i scena śmierci pana Longinusa do pięt nie dorastała swojemu odpowiednikowi z filmowej *Drużyny*. Wiecie, rzecz, jasna, co mam na myśli? U Sienkiewicza Podbipięta walczy przez dwie strony, zdążywszy odmówić niemal całą *Litanię Loretańską*, a w filmie Hoffman załatwił się z nim w niespełna minutę! I odwrotnie, Tolkien pożałował Boromirowi nawet jednej całej strony (Tata mnie nie widzi? Dobra, mogę jechać dalej!), a i tak połowa to kwestie Aragorna, a Jackson zrobił z tego perełkę… (Nie widzi? Nie!) „Święty Sebastian strzałami przeszyty”…

Podwiązywałam się zresztą w swoich preferencjach pod Janeczka, który od czasu premiery *Ogniem i mieczem*, kiedy miał raptem trzynaście lat, nie inaczej mówił do mamy jak „maty”, co zresztą bardzo jej się podobało. Ja natomiast w swoim czasie wyprodukowałam ochoczo następujący fanfik:

Orkowie podchodzą pod Helmowy Jar. Aragorn chodzi po wałach radosny jak szczypiorek na wiosnę.

Gimli: Szczęściarzu, co się tak cieszysz?

Aragorn (z głupawym uśmiechem): Podczas szturmu łatwiej ich ścinać…

Gimli: ???

Legolas (konfidencjonalnie pochylając się do ucha Gimlego): Ślubował czystość, póki trzech głów za jednym zamachem nie

zetnie…

Gimli (po chwili osłupienia): I cóż?!

Legolas: I nic. Nie zdarzyło się! Po dwie głowy naraz bywało, ale trzech nigdy. Nie udało się zajechać, a trudno orków prosić, by się ustawili równo do cięcia. A tu adolescentia uchodzi, Aragorn dziewiąty krzyżyk na barkach dźwiga, królewski ród ginie…

Gimli (przejęty): To staraj się, Aragornie, jak tu nie znajdziesz okazji, to chyba nigdy. Jak nie dla pani Arweny, co pono za morze odpływa, to chociaż dla tej rohańskiej księżniczki…

Aragorn: Słuchać hadko!…

Ogniem i mieczem nie pasowało mi jednak do koncepcji, bo walczyłam przecież o każdą minutę dla *Władcy*. Postanowiłam więc najpierw bardzo szybko powiedzieć dwa słowa o adaptacji wiernej i swobodnej, żeby potem skupić się na tym, co trzeba. W ten sposób stanęło na telewizyjnej *Lalce* Bera i *Romeo i Julii* z Leonardem di Caprio. Leonek zawsze miał u nas w domu wysokie notowania za sprawą *Titanica*, chociaż ja najbardziej lubiłam go w *Co gryzie Gilberta Grape'a*. *Lalkę* w obu wersjach, książkowej i serialowej, kochała z kolei mama, która zupełnie jak Dyna czytała ją co jakieś pięć lat.

– I za każdym razem mam nadzieję, że to się dobrze skończy… – przyznała mi się kiedyś.

Mama w ogóle lubi wracać do starych i bardzo starych książek. Tata, funkcjonujący raczej tak jak koleżanka Zosi, Anka, trochę się z niej śmieje:

– Który raz ty to czytasz?

A mama wtedy odpowiada:

– To są moi przyjaciele. Odwiedzam przyjaciół – czym bezdyskusyjnie zamyka tacie usta.

Wobec tego radośnie umilałyśmy sobie z mamą wieczory, oglądając w ramach przygotowania do matury kolejne odcinki. I wtedy stała się rzecz dziwna. Przy samej końcówce ta twarda, zahartowana w bojach mama rozkleiła się nad losem pana Rzeckiego jak, nie przymierzając, jej młodsza córunia. Chociaż, jak sobie powiedzieliśmy, i książkę, i film zaliczała przedtem kopę razy. Chyba jej też mijające lata zmieniły nieco optykę…

Robiłam sobie potem konspekt, a moja siostrzyczka, zupełnie jak Alina, kiedy Dyna pisała referat o Wierzyńskim, wyrzucała mi z tego już nie trzy czwarte, ale siedem ósmych, twierdząc, że komisja zaśnie od takiego ględzenia po pięciu minutach.

– Możesz być dziesiąta z kolei, oni będą wymęczeni, więc sama rozumiesz, trzeba ich postawić na nogi.

Celem postawienia komisji na nogi zmontowałam, jak to się mądrze mówi, pomoc multimedialną w postaci migawek filmów, w rytm których miałam gadać. Gdyby mnie zatkało, po prostu zatrzymałabym to ustrojstwo na chwilę i cześć. Na deser przewidziałam wejście elfów do Helmowego Jaru pod motyw z Lothlórien przerobiony na marsz bojowy. Miało to ilustrować twórczą rolę muzyki. Jaśkowi by się podobało.

Pod sam koniec kwietnia, już po rozdaniu świadectw ukończenia szkoły, zagoniono nas do klasy informatycznej, żeby tacy jak ja poćwiczyli sobie na laptopach. Wszystko grało, przestałam się martwić o ustne, skupiłam się na pisemnych.

W piątek czwartego maja, w środku długiego weekendu, co ze strony CKE było barbarzyństwem, ledwo żywa ze strachu wychodziłam z domu. Żegnała mnie cała wierna rodzinka, a Fred podrzucił do budy, bo i tak miał po drodze do roboty na Krzesiny. „Mąk oczekiwania" nikt nam nie oszczędzał, bo musieliśmy warować przed aulą już od ósmej. Kiedy wreszcie po tysiącu lat rozdano nam arkusze, zupełnie na przekór mamie, najpierw sprawdziłam tematy wypracowań. *Dziady*… może być… i *Lalka* z *Ludźmi bezdomnymi*! Fajnie! Spokojnie przeszłam do części pierwszej, tekst o Wikipedii był prosty jak stołowe nogi i poszło mi błyskawicznie. Zabrałam się zatem do porównania Izabeli i Joasi, a że był to ten drugi raz, więc według recepty Rafała zastosowałam się do maminych napomnień:

– Nie staraj się być oryginalna – klarowała pragmatyczna mamuśka. – Matura nie jest od orgii intelektualnych. Ty masz się wstrzelić w klucz, a nie wymyślać cuda-niewidy.

Cynizm do kwadratu. Ale jakże przydatny. I pomyśleć, że takich nauk udzielała mi nauczycielka z niemal trzydziestoletnim stażem. W sumie dobrze, że polskiego uczyła mnie matematyczka, bo prawdziwa polonistka prędzej by umarła, niżby coś takiego z siebie

wydusiła. Pisałam więc radośnie komunały, od których aż zęby cierpły, typu: „Izabela była egoistką, nie czującą potrzeby pomocy uboższym w odróżnieniu od Joasi, która”…, bo już wiedziałam, że na pewno nie polegnę. A potem pomknęłam na skrzydłach do domu.

Terminy kolejnych egzaminów miałam bardzo dobrze rozłożone, co dwa-trzy dni, w odróżnieniu od zdających równo ze mną Miłosza i Herberta. No, ale kto im kazał brać sobie wszystkie rozszerzenia i fizykę do tego? Cały nabój w jednym tygodniu!

Matma okazała się całkiem prosta, pisemny angielski też; oczywiście, liczyłam się z tym, że odsłuch mogę mieć do tyłu, ale nadrabiałam sobie czymś innym.

Na geografii nie posłuchałam mamy („nie staraj się być oryginalna…”) i w pytaniu trzynastym o treści: „W kwietniu 2010 r. wybuchł na Islandii wulkan Eyjafjallajökull. W wyniku erupcji w atmosferze znajdowały się duże ilości pyłu wulkanicznego. Podaj trzy negatywne skutki tego zdarzenia dla gospodarki wielu krajów Europy” napisałam: „Koronowane głowy i szefowie państw nie mogli przybyć na uroczystości pogrzebowe pary prezydenckiej do Krakowa”, chociaż doskonale wiedziałam, że mi tego nie zaliczą. Wszak sfera pryncypiów leży poza gospodarką. Za to przy pytaniu dwudziestym siódmym („Podaj cztery korzyści gospodarcze i/lub społeczne wynikające dla Polski z członkostwa naszego kraju w Unii Europejskiej”) napisałam w poprzek: „Odmawiam odpowiedzi z uwagi na konflikt sumienia”. Poza tym już ledwo żyłam.

Przed ustnym angielskim miałam tremę, ale nie aż tak wielką, bo w ogniu walki nabierałam odporności.

– *What would you like to be in the future?*[11] – zapytała mnie na rozgrzewkę pani od angielskiego z czternastki, u nas gościnnie jako egzaminator.

– *I’d like to be a fashion designer, because I always know what to put on and how to wear it*[12] – odpowiedziałam bez zastanowienia, bo akurat te standardy Gośka piłowała ze mną na okrągło.

Pani zrobiła dziwną minę, jakby chciała się roześmiać i tylko z wysiłkiem udało jej się utrzymać powagę godną egzaminatora. Co ja takiego źle powiedziałam? Nie, wszystko w porządku: *I’d like to be*…

Dalej już poszło bez większych zgrzytów i usatysfakcjonowana wyszłam na korytarz. A wtedy Ola powiedziała:

– Elka, masz bluzkę na lewą stronę!

Przy ogłoszeniu wyników pilnie unikałam wzroku pani z czternastki.

Na sam koniec została moja nieszczęsna prezentacja. Miałam stracha, bo dotarły do mnie przecieki, że uwalili Romę z biolchemu, która miała taki sam temat. Z pięć razy robiłam rachunek sumienia, czy aby o wszystkim pomyślałam i do czego mogą się przyczepić. No i tak jak Gośka wykrakała, miałam wchodzić przedostatnia.

Weszłam. Dzień dobry-dzień dobry-siadaj prosimy. Wyjęłam pendrive, włożyłam do laptopa…

Wtedy to ścierwo się zawiesiło.

Policzyłam w myślach do dziesięciu, spróbowałam jeszcze raz. Nic.

Komisja, nie powiem, popatrzyła na mnie ze współczuciem.

– Jeżeli sobie życzysz, przywołamy informatyka – zaofiarowano.

– Nie – powiedziałam bohatersko – dziękuję. Spróbuję poradzić sobie bez ilustracji. – Kolejnej godziny „mąk oczekiwania" bym nie zniosła.

I zaczęłam. Obryta byłam na blachę, w domu musiałam wszystko wyrecytować każdemu po kolei, łącznie z babcią Niziołek, więc choć pod stołem noga mi podskakiwała z nerwów, szło dobrze. Przeleciałam przez *Lalkę* i *Romea i Julię*, przeskoczyłam do *Władcy*, referując Jacksonowe szaleństwa. Byłam właśnie przy transakcentacji (co za nazwy!) i mając przed oczami mecze taty z mamą, waliłam telegraficznie o młodym Frodzie, Gollumie-schizofreniku i rzecz jasna o walce ich obu nad Szczeliną Zagłady.

Wtedy dotarła do mnie rzecz straszna. Przecież nie mam laptopa! Jak puszczę im tych cholernych elfów?!

A żeby było śmieszniej, w tym samym momencie pod szkołę podjechała śmieciara i zaczęła z hukiem wytrząsać zawartość kontenerów.

Zła krew mnie zalała. Zamknęłam oczy, zobaczyłam łopot elfich sztandarów, usłyszałam ryk rogu Helma i niespodziewanie dla samej siebie, zupełnie jak Sam u wrót wieży nad Cirith Ungol, zaśpiewałam:

Man ammen toltha
i dann hen morn
Si dannatha
Nauva
Melmemma nóren sina
nur ala ëaro nur...

Efekt był taki, że zupełnie zapomniałam opowiedzieć im przygotowany na zakończenie kawał: Dwa szczury jedzą taśmę filmową. Pierwszy mówi: dobry film! A drugi na to: dobry, ale książka była lepsza! Bo mówiąc szczerze, powiedziałabym to wbrew sobie. Wybacz, ojcze.

Potem, oczywiście, pytali mnie, w jakim języku śpiewałam i co to znaczy.

– Kto tu wkracza? Kto przynosi do nas ten znak przeznaczenia? Ci, którzy tak długo stawali przeciw ciemności, teraz znikną – odpowiedziałam dumnie.

Ustne mają tę przewagę nad pisemnymi, że wyniki ogłasza się niemal od razu. Dostałam maksa. Myślę, że mimo wszystkich moich tolkienowskich odszczepieństw, tata może być ze mnie dumny.

[11] Kim chciałabyś być w przyszłości?

[12] Chciałabym być projektantem mody, bo zawsze wiem, co trzeba założyć i jak to nosić.

Rozdział XIII

Widzę Shire

Mój ukochany brat został wyświęcony i wtedy okazało się, że ktoś tam jednak pociągnął za odpowiednie sznurki, żeby Janeczkowi zrewanżować się za jego posługę udzieloną dziadkowi. Otóż został on skierowany na cmentarz Junikowski jako kapelan. Była to ewidentna zsyłka, nie wypycha się na cmentarz gościa, który przez całe seminarium jechał na samych piątkach. Jednak zsyłkę tę załatwiono niezwykle inteligentnie: oficjalnie Janek jako jedyny został skierowany do parafii poznańskiej, w nagrodę. Tak, ale do jego obowiązków miało należeć odprawianie pogrzebów, no bo skoro raz mu to tak pięknie wyszło…

Tyle że Janek absolutnie się tym nie przejął. Może Pan Jezus z krucyfiksu jednak go opierniczył jak don Camilla za gorszenie maluczkich i inne sprawki, i Jasiek bez gadania postanowił odpokutować. A może po prostu kontynuował swoją autorską metodę na przetrwanie, którą z powodzeniem stosował przez sześć lat.

Pamiętacie, jakie obiekcje w bardzo przytomny sposób wniosła mama na pamiętnej kolacji, kiedy mój brat ogłosił swoje decyzje? Otóż Jasiek ze ślubami posłuszeństwa radził sobie w bardzo specyficzny, a typowy dla siebie sposób. Mianowicie do wszystkiego, co kazano mu robić, brał się bez dyskusji. Tylko że jeżeli nie miał do tego za dużo serca, robił to bardzo, ale to bardzo dokładnie. Bardzo dokładnie. Nie, nie tak jak Marcinek z *Harpii* Chmielewskiej, który był

po prostu obibokiem. Janek stosował szczególną odmianę strajku włoskiego, polegającą na wykonywaniu wszystkiego za dobrze.

Na czym to polegało? Wyobraź sobie na przykład, drogi czytelniku, że mamusia kazała ci codziennie zmywać po kolacji. W porządku, jako dobre dziecko nie pyskujesz i bierzesz się do dzieła. Tyle że front robót organizujesz sobie na wzór państwa Aniołów seniorów, podniesiony do potęgi. Najpierw obwieszczasz całej rodzinie, że detergenty szkodzą i ty będziesz zmywał z użyciem środków ekologicznych. Potem oczyszczasz talerze, segregując resztki do wydzielonych pojemników. Przy okazji możesz wdrożyć system dziesięciu wiaderek (każde do czegoś innego), i przetresować domowników co do ich wykorzystania. Potem myjesz talerze w jednej komorze zlewowej, szklanki w drugiej, gromadzisz je na stole, płuczesz pierwszy raz w wodzie stojącej, drugi raz szybko w bieżącej, potem w occie, potem zaczynasz glancować, ale inną ściereczkę stosujesz do szkła, inną do talerzy, inną do sztućców… Po trzech godzinach twoich działań domownicy zaczynają się wkurzać, że blokujesz kuchnię i odcinasz ciepłą wodę. Na trzeci dzień masz gwarantowany święty spokój. A mamusia trzy razy pomyśli, zanim każe ci umyć okna. Ale jestem wredna, no nie?

Na dzień dobry Jaśkowi kazano w seminarium umyć kible, zupełnie jak młodemu Janowi Górze w nowicjacie. W porządku, w odróżnieniu od swojego imiennika Jankowi w domu nieraz zdarzało się to robić. Przystąpił do dzieła niezwykle fachowo: najpierw odkręcił wszystkie klapy, żeby porządnie wyszorować je szczotką pod gorącą bieżącą wodą z użyciem sterilu, jak by powiedziała Wandzia z wyżej wspomnianych *Harpii*. Klapy były zasyfione, trochę to trwało, więc klerycy musieli biegać na drugie piętro. Potem Janeczek wypucował muszle i zostawił w nich odkamieniacz, żeby się ładnie przegryzło. Wreszcie zabrał się za odkręcanie od podłogi jednej wytypowanej muszli, co do której uznał, że nie rokuje nadziei na wyczyszczenie i trzeba zaaplikować spiralkę czy jak to się nazywa. W rezultacie prokurator (bez strachu, tak w seminarium nazywa się dyrektor administracyjny) zadecydował o remoncie całej łazienki.

Za drugim razem Jasiek miał wypastować podłogę. Proszę uprzejmie. Wdusił dwa opakowania Sidoluksu w parkiet i tak go

wyfroterował, że świecił się jak… brakuje mi odpowiedniego określenia, a przychodzą do głowy same nieprzystojne. I tak się złożyło, że pierwszy fajtnął na spreparowanej w ten sposób podłodze, i to w niezwykle dekoracyjny sposób, pewien ksiądz, który w bliskiej dość przyszłości miał zmienić nie tylko stan duchowny na małżeński, ale i nazwisko. Janek do dziś czuje się winny. To mogła być kropla, która przelała kielich...

Od trzeciego razu posyłano zatem kleryka Niziołka do roboty do kuchni, gdzie czuł się dobrze jak każdy niziołek, który od dziecka umie sobie przyrządzić pożywienie. Tam nie kombinował, a co najwyżej wdrażał swoje nowatorskie pomysły, jak na przykład obieranie cebuli w okularkach do pływania. Podobno następne roczniki do dziś tak czynią.

Obok dewizy „Rób coś dobrze, a na pewno cię wywalą" druga Jaśkowa zasada polegała na stwarzaniu faktów dokonanych, wychodził bowiem z założenia, że jeżeli o coś poprosisz, to na bank ci odmówią. Najpierw więc robił i w osiemdziesięciu procentach mu się udawało. W pozostałych dwudziestu, kiedy jednak mu czegoś zabroniono, podporządkowywał się bez żalu i bez dyskusji. Raz przykładowo chciał wyjść na miasto w sutannie i sandałach bez skarpetek, ale go cofnięto i kazano założyć półbuty, co uczynił z całą powagą i pokorą, choć jak go znam, w środku pękał ze śmiechu.

Do puli pozostałych osiemdziesięciu procent należało granie. Każdy kleryk był zobowiązany do iluś tam godzin modlitwy indywidualnej, więc Janeczek, nic nikomu nie mówiąc, szedł do kaplicy i cichutko grał na ten przykład *Adagio d-moll* Bacha. Nikt nigdy złego słowa mu nie powiedział, dla wszystkich było oczywistością, że facet po szkole muzycznej potrafi się w ten sposób modlić; przeciwnie, coraz częściej angażowano go, żeby przy jakiejś okazji coś tam zagrał lub zaśpiewał. Ale gdyby poprosił… Poproszony zacząłby myśleć, analizować… I po co to?

Nawiasem mówiąc, co do wątpliwości zgłoszonych przez Miłosza i Herberta, to Janek nigdy nie miał problemów z zakazem używania komórki, był bowiem zwierzęciem bezkomórkowym od zawsze. Dosłownie na siłę mu tę komórkę wepchnęli rodzice, kiedy w wieku szesnastu lat ruszyli z Merrym i Wiolką penetrować Kotlinę Kłodzką,

ze szczególnym uwzględnieniem Gór Bialskich i tras, po których Hłasko kursował ciężarówką. Pamiętam, że byli wtedy rozczarowani; z opisów wychodziło, jakby Hłasko jeździł dosłownie po grani, a tu drogi okazały się całkiem cywilizowane…

Dopiero na trzecim miejscu w repertuarze Janka mieściła się łagodna perswazja. Pewnego razu jego opiekun zaprosił go na rozmowę i zadał pytanie całkiem podobne do mojego ze schroniska:

– Jakiego rodzaju kontakty wiążą cię z dziewczyną, z którą spacerowałeś po Wildzie?

Jasiek przez dobrą chwilę uczciwie się zastanawiał, o kim to opiekun mówi, po czym doszedł do wniosku, że nie mogę to być ani ja, ani Gośka, bo na cholerę miałby z nami spacerować, mając nas po dziurki w nosie w domu, kiedy absorbowałyśmy go głupimi pytaniami podczas jego krótkich odwiedzin; pozostawała zatem Wiola. Udzielił odpowiedzi również bardzo podobnej do tej z Roztoki, roztropnie nie cytując jednak *Harry'ego*:

– To mój przyjaciel i dziewczyna mojego najlepszego przyjaciela – co może zgrzytało odrobinę stylistycznie i gramatycznie, ale merytorycznie nie pozostawiało cienia wątpliwości, nawet ten użyty rodzaj męski.

Ale Jasiek miał coś do dodania od siebie i z odziedziczoną po tacie uprzejmością zapytał:

– A skoro jesteśmy przy tak drażliwych sprawach, jak radzenie sobie z pokusami… Czy byłby ksiądz tak dobry i wyjaśnił mi, jak zapatruje się na pokusę donosicielstwa?

Opiekunowi nie pozostawało nic innego, jak się oburzyć:

– To nie ma nic wspólnego z donosicielstwem! Twój kolega poczuł się o ciebie zatroskany! – czym wsypał delikwenta bezpowrotnie.

– Skoro tak, to zgodnie z receptą podaną w Ewangelii powinien przyjść z tym najpierw do mnie, czyż nie? – zapytał z rozbrajającym uśmiechem Janeczek.

Uszło mu to na sucho, może dlatego, że opiekun był klasa gość, a może zadziałał tu talent Jaśka do spadania na cztery łapy. A może dlatego, że właśnie zdobył dla seminarium złoty medal na Mistrzostwach Polski Księży i Kleryków w Wiśle w kategorii zjazd w stroju służbowym…

Tak więc perspektywę pobytu na Junikowie przyjął mój brat z całkowitą pogodą (pewnie już coś knuł), a na razie zajął się dwiema istotnymi sprawami: własną prymicją i ślubem Merry'ego z Wiolką.

Janeczek bowiem, porąbany jak jego rodzice, a niewątpliwie zainspirowany przez wuja Anioła, u którego raz i drugi był na wykopaliskach, postanowił odprawić mszę prymicyjną na Ostrowie Lednickim, w ruinach kaplicy książęcego palatium. Jak zawsze dopiął swego, zgodził się i biskup jako ordynariusz miejsca, i dyrektor skansenu! Jasne, pamiętałam o jego licealnych pasjach, kiedy to brał udział w olimpiadzie historycznej; przepustką do finału był wtedy znakomicie napisany esej o królu Bolesławie Śmiałym i biskupie Szczepanowskim. Na bierzmowanie zaś wybrał sobie imię Jordan i tak mniej więcej to umotywował na polecenie katechety (pamiętacie przygody Gośki?): biskup Jordan nie został wprawdzie oficjalnie kanonizowany ani chociażby beatyfikowany, ale Thietmar zapisał, że „wiele się z nimi (tj. poddanymi Mieszka) napocił, zanim – niezmordowany w wysiłkach – nakłonił ich słowem i czynem do uprawy winnicy Pańskiej", więc musiał być świętym człowiekiem. No i jak zawsze uszło mu to płazem.

Poza tym Janek zgłosił się w odpowiednim momencie jako ochotnik do nauki liturgii trydenckiej – na każdym roku kogoś takiego łapano i zaganiano, ale Jaśka łapać nie trzeba było, języki przychodziły mu bez trudu jak tacie i Gośce, a od czasu lektury *Sire* Raspaila miał do przedsoborowej mszy ciągoty. Zatem prymicja nie dość, że w milenijnych klimatach, to jeszcze miała zostać odprawiona po staremu.

Przepłynęliśmy promem na wyspę, przeszliśmy do palatium i wtedy wuj Michał zaczął grymasić:

– Jak Janek mógł wstawić między tysiącletnie relikty krzesła w stylu późne rokokoko? – To było oczywiście nawiązanie do *Seksmisji*, a krzesła faktycznie miały powyginane nóżki. – Całkiem już smaku nie ma? Zwykłą ławę trzeba było szurnąć!

– Wujek, wyluzuj – ustawiła go Gośka. – Janek będzie odprawiał mszę trydencką, wujek wie, tyłem do nas. – Jasiek zawsze się wtedy złościł i tłumaczył, że nie tyłem do wiernych, tylko przodem do

ołtarza. – To będzie trwało tak coś ze trzy godziny, na ławie by wujek padł od bólu kręgosłupa…

Miała rację, no może nie trzy, powiedzmy dwie z hakiem, ale kręgosłupa nie czułabym nawet na betonie, takie to wszystko było cudowne! No i oczywiście przy błogosławieństwie z nałożeniem rąk wszyscy zryczeli się po pas…

Tydzień później był ślub Merry'ego i Wioli. Ci przynajmniej byli rozsądni albo może po prostu bardziej wytresowani przez rodziców i brali ślub po ludzku, bez fanaberii, w parafii. Jedyną ekstrawagancją, poza chórkiem z muzycznej, było czynne uczestnictwo w tej imprezie Janka. No, jeszcze świadków dobrali sobie bez oglądania się na konwenanse, a były nimi dwie kobiety, w tym jedna mężatka: Gośka i ja. Czułam się wyróżniona ponad miarę, chciałoby się powiedzieć: zbytek łaski! Chyba im Jasiek coś szepnął, że zawsze byłam pomijana przy takich okazjach, bo wyprzedzało mnie starsze rodzeństwo, a bardzo mi zależy…

Kiedy doszło do samego momentu zawierania małżeństwa, Jasiek zwrócił się do Merry'ego:

– Ja, Marcin… – po czym zasłonił ręką mikrofon i powiedział półgłosem słyszalnym tylko przez nas czworo – …Merry… – i znowu do mikrofonu:

– …biorę ciebie, Wiolu, za żonę…

Ten sam numer powtórzył przy Wioli:

– Ja, Wiola, biorę ciebie, Marcinie… Merry… za męża…

Mam cichą nadzieję, że ślub ten był jednak całkowicie legalny.

A potem od pierwszego lipca Janek zaczął działać na cmentarzu. Przy czterdziestostopniowych upałach lejący się z nieba żar roztapiał wszystko łącznie z chodnikiem. Co zrobił Jasiek na dobry początek? Pożyczył od ojca Jana Góry tyle białych lednickich parasoli, ile się dało, i wystawił je w stojakach u wejścia kaplicy, zachęcając przybyłych:

– Bierzcie, proszę, żeby nikt nie dostał udaru! – a musiał sobie pewnie ozór przy tym przycinać, żeby nie dodać: – I żebym nie miał podwójnej roboty!

Mama, której instynkty analogiczne do pani Weasley z cytowanego niegdyś kawału nie osłabły nawet po sześciu latach seminarium,

łamała nad Jankiem ręce:

– Jak ty wytrzymujesz pod tym całym księżowskim oprzyrządowaniem!

Na co Jasiek uspokoił ją beztrosko, miksując drugiego domowego wieszcza i *Wesele*:

– Nie martw się, maty, pod spód więcej nic nie wdziewam, od razu się lepiej miewam!

Dostałam wtedy hopla, nie mogłam się na Jaśka napatrzeć, więc kiedy tylko mogłam, latałam na cmentarz, żeby się przyjrzeć odprawianej przez niego ceremonii. Braciszek był jednak bystry i chociaż chowałam się za krzaki, przyłapał mnie bardzo szybko:

– Odbiło ci, mała? Co ty tu robisz?

– No co, no co – zaczęłam się szarpać – nie wolno mi grobu babci odwiedzić?! – Na Junikowie pochowani byli dziadkowie taty, pradziadka znałam tylko z opowiadań, ale prababcię pamiętałam.

– Już ty się nie martw, o grób dziadków ja zadbam! – powiedział stanowczo; fakt, miał po drodze z kaplicy do bocznego wyjścia w kierunku swojej Cyniowej.

– Ale ja… – Miałam psie oczy.

– Elka, daj sobie spokój, proszę cię – powiedział stanowczo. – To jest chore, co robisz! Oglądaj koreańskie dramy albo chłopaka sobie znajdź! – Był brutalnie szczery, ale jak zawsze miał rację. No i miał też tyle rozsądku, żeby nie straszyć mnie mamą, bo nie wytrzymałabym i fiknęła.

Zdążyłam wtedy tylko podejrzeć, jakie Janek miał zwyczaje: najpierw podchodził do żałobników, przedstawiał się i pytał:

– Co państwo sobie życzą, żebym zaśpiewał? Jaka była ulubiona pieśń pani – dajmy na to – Ireny?

A jeżeli rozkojarzona rodzina nie mogła naprędce nic wymyślić, mówił życzliwie:

– To może *Chwalcie łąki umajone*, taka ładna pogoda…

Cały Jasiek… Modlić się muzyką…

Mijały miesiące, dla urozmaicenia przyszły kilkunastostopniowe mrozy, zupełnie nie jak w łagodnym Poznaniu, tylko gdzieś w Suwałkach. Mama dla odmiany martwiła się, że Jasiek uświerknie, i wtedy zaproponowałam:

– Mamo, masz znajomą krawcową… Ja zaprojektuję, ty kup gruby filc i uszyłoby się Jankowi kapę taką jak ornat ojca Góry.

Zawsze robiłam dużo rysunków do swoich własnych tekstów, a ostatnio zaczęłam tak sama dla siebie wymyślać kostiumy do filmów. Marzyło mi się wzornictwo w Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych. No i teraz machnęłam projekt: kapa w formie peleryny długiej niemal do ziemi, co przy Jaśku i jego metrze siedemdziesiąt nie byłoby niczym ekstrawaganckim, z dużym kapturem, pozszywana z fragmentów o różnych odcieniach fioletu od prawie czarnego do ametystu i purpury, a na plecach czarny krzyż opleciony białą koroną cierniową. Mama trochę narzekała, czy to nie za duże wyzwanie dla krawcowej, ale obiecałam, że wszystkie naszywki zrobię sama. Skąd mi się to wzięło, zawsze się migałam od babskich robótek…

Nieskromnie powiem, że kapa wyszła genialnie, to był prezent dla Jaśka na Gwiazdkę. Tym razem sobie nie odmówiłam: poszłam obejrzeć go w całej krasie, a on udawał, że mnie nie widzi. Zgodnie ze swoimi zwyczajami zapytał o ulubioną pieśń zmarłego i wtedy córka nieśmiało powiedziała:

– Tato tak bardzo lubił góralskie kolędy…

Wyobraźcie sobie Janka kroczącego przez cały cmentarz w naszej kapie, z kapturem na głowie, śpiewającego swoim pięknym głosem *Oj, maluśki, maluśki*…

Jakie to było motto mojego braciszka? Rób coś dobrze, a…

Zaraz po mojej maturze znowu go przenieśli, na Krzesiny, do niesamowitego norweskiego kościółka z drewna, trochę w stylu Wang w Karpaczu. Miał tam już normalnie być wikarym, ale okoliczności tej delegacji były dość osobliwe.

Proboszcz z Krzesin był trochę w stylu don Camilla, sam sobie chciał ze wszystkim radzić, a niestety, siły przestały dopisywać. Przyplątała mu się cukrzyca i inne paskudztwa, ale bronił się rękami i nogami, że wikarego nie chce, nie potrzebuje i tak dalej. Wtedy biskup wpadł na genialny pomysł. Proboszcz miał swoje specyficzne pasje: kochał science fiction i fantasy, pisywał pod pseudonimem do *Nowej Fantastyki* i tolkienowskiego *Aiglosa*. A gdyby mu tak podsunąć Niziołka?

Z biskupim dekretem w garści wyruszył tedy Jasiek na nową placówkę. Uczynił to na całkiem świeżo zakupionym motorze. Zwyczaj ludowy każe, żeby wyświęconemu księdzu rodzina zrzuciła się na brykę, ale rok wcześniej Janek kategorycznie zapowiedział, żeby tego nie robić.

– Na co mi to? – uciął stanowczo. – Żeby jeździć z cmentarza na osiedle Kwiatowe?

Teraz wyciągnął z konta swoje stare pieniądze, jeszcze zarobione w Anglii, i kupił sześcioletnią hondę. Jak nam się z Gośką przyznał, marzył o tym od lat. W Lewes jeździł na rowerze i zawsze pokonując wzgórza, sto pięćdziesiąt metrów wysokości względnej w obie strony, myślał sobie, jak dobrze byłoby mieć coś solidniejszego.

Zgadnijcie, jaka była reakcja mamy?

– Matko Boska, Janeczku, ty się zabijesz!

Pani Weasley zawsze żywa…

Jasiek dużo majątku własnego nie miał, załadował go do sakw i ruszył z fasonem jak ksiądz Mateusz, to znaczy w pełnym księżowskim rynsztunku. Nawiasem mówiąc, zawsze się zastanawiałam, jak pan Żmijewski to robi, żeby mu się sutanna w szprychy nie wkręciła.

Jasiek zajechał na Jarosławską pod plebanię, zsiadł i właśnie miał się doprowadzić do porządku, czyli zdjąć kask, kurtkę i te inne motocyklowe gadżety, ale nie zdążył, bo zaintrygowany hałasem proboszcz wyszedł na próg. Janeczek nie stracił rezonu i powiedział życzliwie:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, jestem ksiądz Jan Peregryn Niziołek.

Proboszcz obejrzał go sobie od góry do dołu, a było na co patrzeć, bo jedną połę sutanny Jasiek jednak przytrzasnął sobie nóżkami motoru, i odrzekł:

– Jaja sobie ze mnie robisz, synu?

Problem polegał na tym, że proboszcz w nerwach ledwo rzucił okiem na biskupi dekret; wiedział, że mają mu tu kogoś na siłę wcisnąć, ale nawet dobrze nie przeczytał nazwiska, nie mówiąc o drugim imieniu. Jasiek się nieco speszył i pośpiesznie podał przyszłemu zwierzchnikowi dokumenty do rąk. Teraz zawstydził się

proboszcz, że jego słowa ten miły w końcu młodzieniec może potraktować jako naigrawanie się z nazwiska. Sam nazywał się Wieczorek i wiedział dobrze, jak głupio było człowiekowi, kiedy kumple zaczynali się nabijać: „Idziemy do Wieczorka?" „Nie mówi się »do wieczorka« tylko »na wieczorek«". „Ale wapno, nie mówi się »na wieczorek« tylko »na imprezę«!"… Nie pozostawało mu nic innego, jak zaprosić gościa do środka.

Janek wszedł… i nie zgadniecie, jakie były jego pierwsze słowa!

– O, mapa Śródziemia!

Nie trzeba dodawać, że jeszcze tego samego wieczoru owinął sobie proboszcza dookoła małego palca, do północy dyskutując z nim o filmie Jacksona. Jak to wszystko się może człowiekowi w życiu przydać.

Chyba jednak i proboszcz miał na Janka zbawienny wpływ, bo następnego dnia mój braciszek całkowicie z własnej inicjatywy zabrał się za rzecz długo już zaniedbywaną, a mianowicie za generalne sprzątanie kościoła. Forsy miał proboszcz mało, a do czynów społecznych jakoś się parafianie nie garnęli.

Cóż, Janek nie byłby sobą, gdyby i tego nie załatwił w sposób autorski. Najpierw nastawił na cały regulator Kazika, co prawda tylko te kawałki, w których mięsem się nie rzuca. Potem, rozebrany do hobbicich spodni i koszulki z obowiązkową koloratką, przystąpił do dzieła.

Nie trzeba było i pół godziny, jak na dziedzińcu pojawiła się zaciekawiona młodzież płci obojga. Po wstępnych pytaniach („Ksiądz nowy?") ktoś rzucił:

– A może my księdzu pomożemy?

Jasiek popatrzył na nich sceptycznie.

– E, chyba nie. To trzeba umieć. Jakbyście coś spieprzyli, ksiądz proboszcz mi głowę urwie.

– Proszę księdza, my potrafimy! Niech ksiądz nam pozwoli! – zakrzyknęła błagalnie młódź.

Nie była to pełna metoda Tomka Sawyera, bo Janek nie zainkasował od nikogo kulek do gry ani karteczek ze szkółki niedzielnej, ale po trzech dniach kościół błyszczał, a jeden z ojców, który zaciekawiony przyszedł zobaczyć, gdzie się obraca jego

dziecko, przyrzekł dokonać jakichś tajemniczych machinacji związanych z impregnowaniem drewna oraz naraić dekarzy.

Następnym krokiem Janka było przygotowanie akademii na rozpoczęcie roku szkolnego. Tak, dobrze przeczytaliście. W poprzednim roku nie pognano go do szkoły z przyczyn oczywistych, teraz miał to odpracować z nawiązką. Tuż obok kościoła funkcjonował zespół szkół, dość wyjątkowy jak na dzisiejsze czasy, bo było w nim wszystko, od podstawówki do liceum, z klasami dwujęzycznymi i poszerzonym angielskim. Ksiądz proboszcz, dbający o nerwy, uczył tylko w podstawówce. Dla Jaśka została reszta. A Gośka zawsze mnie straszyła, że dzieciaki w gimnazjum są okropne, bo sama miała kupę złych doświadczeń, zanim osiadła w robocie, która absolutnie nie miała nic wspólnego z nauczycielstwem. Bałyśmy się zatem, że nasz kochany brat będzie dla nich łatwym celem.

Janek, jak to on, postanowił się nie martwić na zapas i przede wszystkim zrobić sobie dobre wejście. Szkoła, jak już powiedziałam, była w dużej mierze dwujęzyczna. Wobec tego Jasiek z weteranami od sprzątania przygotował na trzeciego września piosenkę Sabatonu *40:1*. Nie mogę odżałować, że tego nie widziałam, bo musiało wyglądać imponująco, kiedy paskudne dzieciaki, wymachując biało-czerwoną flagą ryczały:

No army may enter that land
That is protected by Polish hand
Unless you are 40 to 1
Your force will soon be undone
Undone!
Baptised in fire
40:1
Spirit of Spartans
Death and glory![13]

I potem:

Always remember, a fallen soldier

Always remember, fatheers and sons at war

Always remember, buried in history...[14]

Ja naprawdę się powtarzam, ale cóż: gdyby Gośka zrobiła coś takiego na rozpoczęcie roku, usłyszałaby, że kala wizerunek szkoły i niepotrzebnie fraternizuje się z młodzieżą. A Jaśka od tego czasu dosłownie zaczęli nosić na rękach, i to zarówno uczniowie, jak i nauczyciele.

Wobec tego ksiądz Niziołek poszedł dalej i zapytał uprzejmie:

– Czy nie macie nic przeciwko temu, żebyśmy na religii mówili po angielsku?

Młodzież nie zrozumiała:

– A czemu mielibyśmy mieć coś przeciwko temu?

– No wiecie, dzieci wrzesińskie…

Dalej nie bardzo chwytali, więc Janek musiał tłumaczyć, przy okazji przemycając trochę historii. Stanęło na tym, że dobrze, chcą po angielsku. Ktoś się wyrwał:

– To ksiądz potrafi?

Kiedy się okazało, że i owszem, całkiem nieźle, jego akcje skoczyły jeszcze wyżej. Potem zaś wyszło na jaw, że to, czego w żaden sposób nie można od nich było wyegzekwować po polsku, po angielsku idzie bez żadnych krępacji i jak z płatka. Po prostu w obcym języku nie wstydzili się mówić o uczuciach, zupełnie jak na ustnej maturze, kiedy trzeba w pięć minut uzasadnić, dlaczego się lubi morze, na przykład.

Oczywiście, nie oszczędziło to Jankowi tradycyjnych pytań, będących zmorą katechetów:

– A ksiądz kiedyś uprawiał seks?

Podobno młodzi księża robią zakłady, jakie będzie pierwsze pytanie w klasie: ile ksiądz ma kasy na miesiąc czy tak jak wyżej.

Janek odpowiedział pogodnie:

– *In English please*.

Młodzieniec wydukał, nie bez współtowarzyszących rechotów:

– *Did you have sex, father?*

Na co Janek:

– A nie sądzisz, że lepiej byłoby użyć *Present Perfect*? Bo przecież ty nie pytasz, kiedy dane wydarzenie miało miejsce, tylko czy miało, a poza tym może nie należy jeszcze do przeszłości.

Nieszczęśnik zgłupiał, po czym niepewnie pokiwał głową.

– Zatem ułóż to zdanie poprawnie.

Chłopię miało już dość, ale Janek był bez litości.

– Eee… *Have you*…

– *Ever* – podpowiedział słodko Jasiek.

– *Have you ever had sex, father?* – zebrał się do kupy delikwent.

Teraz już Jasiek mógł odpowiedzieć:

– *No, I haven't*.

Do dzisiaj nikt inny nie próbował go zaczepiać na ten i podobne tematy ze strachu, że stanie się pośmiewiskiem całej klasy przy przepytywaniu na religii z angielskich czasów.

Sławę Janka utrwaliły jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, cała szkoła gadała o tym, że ksiądz zadaje pokutę z YouTube. Nie do końca była to prawda, choć owszem, Jasiek udzielał nieraz takich zaleceń:

– Znajdziesz sobie na YouTube *Litanię do Wszystkich Świętych*, ale żeby była nie krótsza niż dziesięć minut, i w spokoju posłuchasz.

Cięższym przypadkom dodawał:

– Po łacinie, a równolegle ustawisz sobie stronę z tekstem i proszę śledzić, a jak się zgubisz, to od początku.

Nie było to jednak regułą, zadawał też pokutę z książek. Mówił na przykład:

– Przeczytasz sobie w skupieniu i ze zrozumieniem rozdział dwudziesty siódmy tomu drugiego *Ogniem i mieczem*.

Chociaż w klasach licealnych preferował co innego:

– Proszę przeczytać ostatnie dziesięć stron *Kwatery Bożych Pomyleńców* Zambrzyckiego.

W obu przypadkach chodziło oczywiście o *Litanię Loretańską*; mama przyznała mi się kiedyś, że długo, bardzo długo nabożeństwo majowe kojarzyło jej się ze śmiercią pana Podbipięty. Dopóki nie przeczytała *Kwatery*…

Po drugie, Jasiek poruszał się na motorze, i to, jak było powiedziane, w pełnym umundurowaniu. Myślę, że wyglądał jak

kresowy zagończyk pana Michała, szczególnie kiedy jechał do chorego. Mieszkańcy Krzesin mówili wtedy:

– O, ksiądz Janek z Panem Jezusem na motorze jedzie.

Aż raz mało brakowało, żeby jego rajd nie skończył się bardzo źle.

Było to grudniowym popołudniem; Jasiek pichcił w kuchni dla księdza proboszcza jakieś dietetyczne danie, bo gospodyni na plebanii też nie mieli, więc jej obowiązki bez oporów wziął na siebie wikary. Zadzwonił telefon. Proszono o przyjazd do chorego na Śmigi, po drugiej stronie torów kolejowych.

– Będę za dwadzieścia minut – powiedział Jasiek, ubrał się, wziął Najświętszy Sakrament, wsiadł na motor i pojechał. Robiło się już szaro, więc trochę pobłądził, zanim znalazł właściwy numer. Wszedł na podwórko i zwątpił, bo dom był ciemny i wyglądał na opustoszały.

Wtedy zza węgła wyszło trzech facetów, każdy o głowę wyższy od Janka i o połowę cięższy. Jasiek już wiedział, że dał się zrobić, a że szanse miał zerowe, więc tylko zasunął kurtkę motocyklową pod samą szyję.

– Słuchaj, no – odezwał się pierwszy – jedno pytanie i możesz iść. – Przyjmijmy, że podaję jego słowa w nieco bardziej literackiej formie, niż to miało miejsce. – Była dzisiaj u ciebie w kościele Kaśka? Tylko nie mów, że tajemnica spowiedzi, bo… – Tu Jasiek otrzymał propozycję taką, jak platoniczna miłość Ludwika Drozda w *Najlepszym* Łysiaka.

– Tajemnica spowiedzi – potwierdził bez emocji Janek.

Nie zdążył się nawet bać, bo dostał raz, potem drugi i trzeci, a następne, co udało mu się zarejestrować, to dwie pochylone nad nim sylwetki i pośpieszne głosy.

– Kuba, k...., ja p....., patrz, ksiądz Janek, do ch… ciężkiego! – szeptał jeden.

– Zamknij ryj, k...., nie widzisz, że ksiądz z Panem Jezusem! – ustawił go drugi. Niech czytelnik wybaczy mi osobliwą formę powyższych wypowiedzi, ale gdybym ich nie wykropkowała, mój ojciec nie odezwałby się do mnie do końca życia.

Głosy należały do przerośniętych gimnazjalistów, takich, których Gośka bała się najbardziej.

– Proszę księdza, może ksiądz wstać? Powolutku, o tak. – To chyba był Kuba. – Niech ksiądz się o mnie oprze, proszę się nie bać, to my, z trzeciej b, może ksiądz już puścić…

Janek z całej siły przytrzymywał kurtkę na piersi, żeby chronić bursę.

– Posadzimy księdza na motor, dobrze? – dyrygował Kuba. – Proszę się położyć na kierownicy, ja księdza zawiozę.

Janek nie miał siły odpowiedzieć, więc poddawał się ich zabiegom. Poczuł, jak Kuba bez wysiłku obejmuje go z siedzenia pasażera, a potem znowu musiał mu się urwać film, bo ni stąd, ni zowąd znalazł się na swoim łóżku na plebanii. Słyszał nerwowe głosy i tupot nóg.

– Zawołajcie księdza Tadeusza. – Miał w głowie tylko to, że trzeba odłożyć hostię do tabernakulum.

– Ksiądz odprawia mszę…

– To pana Bogdana!

Pan Bogdan był świeckim szafarzem komunii.

Proboszcz kończył właśnie odprawianie wieczornej mszy, kiedy zrobił się jakiś dziwny ruch. Najpierw ktoś wypsykał pana Bogdana, który dyskretnie wyszedł do zakrystii. Potem jeden z ministrantów przekazał mu kartkę o treści: „Zabili księdza Janka”. Proboszczowi zrobiło się słabo, przerwał w połowie ogłoszeń, błyskawicznie udzielił błogosławieństwa i pobiegł, na ile pozwalały mu zdumiewająco miękkie nogi, na plebanię. Wpadł do pokoju, gdzie spoczywający na łóżku Janek wyglądał doprawdy dekoracyjnie: z zapuchniętej twarzy widać było tylko jedno oko. Proboszcz skoczył do niego:

– Janku! Janeczku, słyszysz mnie? Powiedz coś!

Jasiek odchylił jedną sprawną powiekę i szepnął:

– Widzę Shire…

Ksiądz proboszcz wpadł w amok podobny do tego, któremu uległa mama na zakopiańskim dworcu:

– Zabiję!…

Przez rosnący na korytarzu tłumek przeszedł szmer:

– Już po księdzu Janku… Proboszcz od zmysłów odchodzi…

Ciekawe, że nikt ze zgromadzonych nie pomyślał o wezwaniu pogotowia. Każdy przypuszczał, że zrobił to ten poprzedni i że

sprawa jest beznadziejna.

Wszedł pan Bogdan, poszeptał do proboszcza, a potem dodał:

– Chcemy się modlić w intencji umierającego w kościele.

Po jego wyjściu proboszcz warknął:

– Widzisz, coś narobił!…

– Ja? – oburzył się Janek silniejszym już głosem. – A kto tu przed chwilą wykrzykiwał jakieś głupoty?

W tym samym czasie wśród wiernych dokonał się błyskawiczny, a niezwykle konserwatywny, rzekłabym klasyczno-westernowy podział ról. Kobiety, dzieci i starcy udali się do kościoła, mężczyźni ruszyli na polowanie. Ponieważ tożsamość sprawców była łatwa do rozszyfrowania i nawet nie trzeba było do tego angażować pana Żmijewskiego, bo wystarczyły namiary od Kuby i jego kumpla, w dwie godziny cała trójka została odszukana, stłamszona i rzucona na próg komisariatu na Polance. Mieszkańcy Krzesin za policją nie przepadali, bo zbyt często na drodze dojazdowej pojawiał się przenośny radar, ale to był wyjątek.

Kiedy w kilka dni później Janek stanął na nogi, dowiedział się, że zaszło parę zmian. Między innymi zgłosiła się już nie gospodyni, ale dietetyczka, która będzie im gotować obiady. Reszta zadeklarowała, że jako wotum dziękczynne za cudowne ocalenie księdza i na stulecie istnienia kościoła dokonają kapitalnego remontu z wymianą podłogi włącznie.

Do znudzenia powtarzam, że Jaśkowi zawsze się udaje.

Dosłownie wszystko.

Ładnych parę lat później mój braciszek przyznał mi się, jaka była puenta tejże deklaracji.

Otóż pysk miał jeszcze siny, kiedy ksiądz Tadeusz zademonstrował mu projekt nowego ołtarza. Janeczek obejrzał, oczy mu się zaświeciły, ale nic nie powiedział. Jednakże proboszcz zdążył drania już na tyle dobrze poznać, że wiedział, co należy myśleć o tym jego rozkosznym uśmieszku.

– Co jest, synu? – spytał rzeczowo.

– Nic, nic! – zarzekł się momentalnie Jasiek. – Tylko…

– Tylko?… – indagował proboszcz.

– Co to jest? – ośmielił się wikary, pokazując dziwną półokrągłą rzecz przylegającą z przodu do stołu ofiarnego.

– Misa na kwiaty – wyjaśnił surowo proboszcz.

– Ach, misa! – ucieszył się Janeczek. – Bo już myślałem… – I widząc, że proboszcz właśnie podnosi rękę, żeby go palnąć, błyskawicznie dodał: – No chyba nie będzie ksiądz bił pobitego?!

Kto nie wierzy, niech pojedzie na Krzesiny i sprawdzi.

[13] „Od ziemi tej wara wam!/Polski żołnierz tu strzeże swych bram/na czterdziestu jeden/i tak poślemy was w krwawy piach!/Ochrzczeni w ogniu/jeden na czterdziestu/sercem Spartanie/śmierć i chwała!” Może nie jest to najlepszy i najwierniejszy przekład, ale mnie się najbardziej podoba.

[14] Nie zapomnijcie poległych w boju/nie zapomnijcie ojców i synów/nie zapomnijcie pogrzebanych w historii...

Rozdział XIV

Hobbit

Na Boże Narodzenie obdarowaliśmy się wzajemnie, poza książkami oczywiście, biletami na pierwszą część *Hobbita*. To znaczy Gośka kupiła rodzicom i mnie, a ja – Gośce i Fredowi… lub jakoś tak. Premiera przypadała na pierwsze święto i oczywiście nie mieliśmy zamiaru czekać ani dnia dłużej.

Szukając trailerów, miałam dziwne poczucie déjà vu. Już to żeśmy kiedyś przerabiali: nerwowe oczekiwanie, przeglądanie fotosów, niekończące się pogaduchy… Tylko że teraz było dużo spokojniej. Nikt nikomu do oczu nie skakał, wszyscy od razu polubili młodego – młodszego, chciałoby się rzec, bo przecież pięćdziesięciojednoletniego – Bilba. I wszyscy, łącznie z tatą, cieszyliśmy się, że zobaczymy choć przez chwilę Iana Holma i Elijaha Wooda. No, ja osobiście najbardziej cieszyłam się na Legolasa i potem byłam zła, kiedy dowiedziałam się, że wystąpi dopiero w drugiej części.

Tata rozmarzył się:

– Och, jak by to było fajnie, gdyby w Rivendell przemknął gdzieś dziesięcioletni Aragornek!

– Właśnie! – entuzjastycznie przyłączyła się Gośka. – Byłoby jak w kawale rysunkowym Elenai!

Parsknęłam śmiechem, bo doskonale ten dowcip pamiętałam: młody Aragorn w stroju takim bardziej jak paź króla Zygmunta

wycina na drzewie napis: „Koham Arwene”, na co zniesmaczona Arwena cedzi: „Spadaj, szczylu!”

– Tato, a jak ty liczysz? – zapytałam, bo coś mi się nie zgadzało. Urodziny Bilba były w sześćdziesiąt lat po *Hobbicie*, czyli Aragorn powinien mieć… zaraz… osiemdziesiąt siedem odjąć sześćdziesiąt… dwadzieścia siedem!

Gośka odwróciła się do mnie z oburzeniem na taką ignorancję, ale tata miał świętą cierpliwość. Mówiłam, że przez te lata złagodniał.

– Zapominasz, że Jackson zjadł sobie siedemnaście lat pobytu Froda w Shire i zaczął akcję niemal zaraz po urodzinach Bilba.

No tak, racja. Jak to miło, że tata nie pyszczy, tylko żartuje razem z nami.

Wtedy sobie przypomniałam, że tata nigdy wielką estymą *Hobbita* nie darzył. Babcia przecież obraziła się na niego za komentarz, że jest to książka dla dzieci. Ileż to tata miał wtedy latek? Siedem? Osiem? A skoro tak, to startował teraz z pozycji mamy sprzed dziesięciu lat. Jako obserwator-sympatyk, a nie pasjonat, który wścieka się, że jego pilnie strzeżony ssskarb został zawłaszczony przez nowozelandzkiego barbarzyńcę.

Może po prostu tata i my wszyscy musieliśmy przejść razem z Jacksonem przez te trzy trudne części *Władcy*, żeby teraz bez zahamowań cieszyć się *Hobbitem*? Bo przecież gdyby Jackson zrobił *Hobbita* jako pierwszego, w takiej jak dziś formie, zostałby zjedzony żywcem, przeżuty i wypluty. A tak wszyscy się zahartowali. Szczepionka.

W pierwsze święto poszliśmy do kina. To było cudowne! Film po prostu genialny! I te uśmiechnięte, trochę rozczulone, trochę rozbawione twarze rodziców… Miód na serce!

Poza Bilbem najbardziej podobał mi się oczywiście Thorin, taki mężny, taki rycerski! Stanowczo odziedziczyłam po mamie jakieś ciągoty, bo ona też, rzecz jasna, stopniała jak wosk podczas walki Thorina z Białym Orkiem. No i oczywiście Kíli i Fíli byli klasa, ale co do nich Gośka ostrzegła mnie brutalnie:

– Nie przywiązuj się za bardzo, mała! Wiesz, że oni są na straty?

Jasne, że wiedziałam, ale tak mi się jakoś zapomniało. Oj, popłaczę sobie w trzeciej części.

Fred najwięcej rechotał przy scenie, kiedy Gandalf kazał Radagastowi dla relaksu zaciągnąć się fajkowym zielem. Wolałam nie analizować, co właściwie miał na myśli. Fred, nie Gandalf, chociaż Gandalf też.

Tata zachwalał tłumaczenie (ja śnię!):

– Te „tasiemce" są po prostu genialne! Klasyczny przykład, kiedy czasem warto odstąpić nieco od wierności tłumaczenia na rzecz, w tym przypadku, komizmu! Mamy tasiemce grube jak powrozy! – I zaśmiewali się z mamą jak dzieciaki. Chodziło o moment, w którym Bilbo wmawia trollom, że krasnoludy mają pasożyty, czy jak to ujęto, tasiemce, żeby zniechęcić je do jedzenia. Ciekawe, tata jakby w ogóle nie zauważył, że cały ów dialog o tasiemcach został przez Jacksona dodany. Nie zauważył czy nie chciał zauważyć? Bo powiem wam szczerze, książkowy odpowiednik wypada bez tych błyskotliwych wstawek strasznie drętwo i sztucznie. A w filmie – perełka! Chyba jestem cholernym ćwierćinteligentem, dla którego hollywoodzkie produkcje są wyznacznikiem smaku…

Po powrocie do domu, kiedy zasiedliśmy do kolacji, Gośka zaanonsowała:

– Mamo, tato, chcielibyśmy wam z Fredem coś powiedzieć – i zaczęli się śmiać do siebie, więc wszystko było już jasne; mama wykrzyknęła z ulgą:

– No, nareszcie!

Na co moja siostrzyczka się oburzyła:

– Co nareszcie, co nareszcie, tak się rwałaś do tego, żeby wnusio ci wył za ścianą?

I przedstawiła najnowsze plany: teraz, kiedy i ona, i Fred mają już stałą robotę, chcą wziąć kredyt i kupić sobie mieszkanie. Mają coś tam upatrzone na Saperskiej, Fred wyremontuje i przeprowadzą się jeszcze przed urodzeniem dziecka. Trochę jak mama i tata na Manifestu.

Cieszyłam się, jasne, że się cieszyłam (będę ciocią! rany!), ale jednocześnie zrobiło mi się żal, że ich dwa pokoje opustoszeją. Fred przyrzekł, że na odchodne wymaluje je dla mnie, tylko mówiąc szczerze, nie bardzo miałam ochotę ruszać się z pokoju Jaśka – tak ciągle o nim myślałam, mimo upływu lat. Niechby tamte były dla

gości, przynajmniej jak Brendan przyjedzie, ulokuje się go w apartamencie z własną łazienką, a nie w salonie na kanapie.

W Sylwestra wpadł Janek – przed Bożym Narodzeniem to my odwiedziliśmy jego, żeby za dużo nie łaził; ciągle na twarzy miał siniaki, chociaż teraz zaczęły już zmieniać barwę na zielonożółtą. Kolorystycznie wyglądało to bardzo interesująco, co mogłam potwierdzić autorytetem studentki wydziału artystycznego.

Ciekawe, że mama, ta sama mama, która zamartwiała się, czy Jankowi nie za gorąco pod trzema warstwami szat liturgicznych i czy aby się nie zabije na motorze, teraz nie powiedziała nic. Pogłaskała go tylko po twarzy i spojrzała w oczy tak jakoś… z dumą? Ja sama byłam przerażona i co tu ukrywać, miałam trochę o ten spokój do mamy pretensję.

– Jaśka mogli zabić! – naskoczyłam na nią.

– Elciu, nie dramatyzuj, nic się nie stało.

– Ale mogło się stać! W ogóle to ciebie nie obchodzi?

Mama popatrzyła na mnie dziwnie. Nie, nie obraziła się, tylko zbierała myśli.

– Pamiętasz, co ci odpowiedział Janek tego wieczoru, kiedy ogłosił, że idzie do seminarium?

Trudno było nie pamiętać.

– Więc sama widzisz. Żołnierz nie może zejść z posterunku, nie wolno mu.

– Ale…

– Córeczko, Janek dokonał pewnych wyborów i teraz musi im być wierny – włączył się z boku tata. – Rozumiesz? A nasza rola to przytrzymać mu strzemię.

Znowu gadali Sienkiewiczem, cholera! Czułam, że mają rację, ale jeszcze musiało mi się to przegryźć.

Poszłam do Gośki i Freda, siedzieli tam sobie z Jaśkiem i przekomarzali się. Już mnie nie przeganiali, wreszcie do nich dotarło, że za moment nawet w Stanach Zjednoczonych mogłabym kupować sobie alkohol!

– Nareszcie przestaną mnie maglować przy spowiedzi, czy nie używam środków – mówiła Gośka. – No wścieklicy można było dostać! Jak żeśmy się chajtnęli, to myśleliśmy, że będziemy mieć

spokój z dociekaniem, czy czasami nie robimy czegoś na boku. I co? Guzik! Za każdym razem: ile lat po ślubie i czemu jeszcze dzieci nie mamy! Mam nadzieję, braciszku, że ty nie jesteś taki porąbany i masz na względzie, że oprócz szóstego przykazania jest jeszcze dziewięć innych!

– Osiem – udało się wtrącić coś Jaśkowi, a widząc zdziwione spojrzenie Gośki, dodał: – Dziewiąte to w zasadzie powtórka.

– No dobra, plus siedem grzechów głównych! Sześć, bo ten jeden to też powtórka. Tyle gnoju naokoło, a czy chociaż raz mnie zapytali, czy jestem dobra dla rodziców? Czy nie donoszę na kolegów w pracy? Czy nie robię kariery po trupach?

– Czy nie maltretuję brata…

– Biedaczek uciśniony! Słuchaj głosu ludu! Macie obsesję sam-wiesz-czego, nie będę się wyrażać przy Elce!

A jednak!

– Siostrzyczko, kto tu ma obsesję? To ty nawijasz od pół godziny o… sama-wiesz-czym – śmiał się Jasiek. – Zupełnie jak moi gimnazjaliści!

– A mnie ojciec Góra zapytał, co czytam – wyskoczyłam znienacka.

– I co mu powiedziałaś? – zainteresowała się Gośka.

– *Młody samuraj. Krąg ziemi* – odpowiedziałam. Jasiek prychnął. – No przecież nie będę kłamać na spowiedzi! Ale nie był zadowolony i kazał mi przeczytać *Mój brat Papież*.

– No pewnie. Chyba już trochę za duża jesteś na *Młodego samuraja*.

– Za duża, tak?! Mama przeczytała to jeszcze przede mną!

– Bo mama jest tak samo dziecinna jak ty.

– O mnie mówicie? – zajrzała do nas mama.

– Chodź, mamuśka, do nas, chodź! – podskoczyła Gośka. – Opowiemy ci coś. Wyobraź sobie, że w parafii Janka zawsze się jeździło na rekolekcje do benedyktynów w Lubiniu. A w tym roku rodzice sobie zażyczyli, że chcą do Łagiewnik! Rozumiesz? Co oni tam mają w tych Łagiewnikach?

– Jak to co? – odezwał się ze śmiertelną powagą Jasiek. – Oko Saurona.

Podniósł się i dodał:

– Muszę lecieć, maty, jeszcze tylko Elka ma do mnie dwa słowa.

Skąd wiedział?!

Przeszliśmy do naszego pokoju. Wykręcałam sobie palce.

– Chcesz mnie o coś zapytać?

– Niezupełnie – wydusiłam z siebie wreszcie. – Chciałam zapytać, ale mama i tata mi tłumaczyli i teraz… – zająknęłam się, ale postanowiłam to z siebie wyrzucić. – Chcę ci tylko powiedzieć, że cieszę się, że jesteś moim bratem.

Jasiek się uśmiechnął, w zasadzie tylko oczami, bo twarz miał poważną.

– *I'm glad to be with you too, Samwise Gamgee*…[15]

– Co takiego?

– Oj, przepraszam cię, Elciu, już mi trochę odbija. To chyba nie był najlepszy pomysł z tą religią po angielsku. Ja już przestaję myśleć po polsku. A dzieciaki zażyczyły sobie jeszcze, żebym mszę młodzieżową też odprawiał po angielsku, i ogłosiły to w Internecie. Od czasu do czasu przychodzą jacyś turyści, raz byli nawet Koreańczycy…

– O! Ja też mogę kiedyś przyjść?

– Pewnie, że możesz.

Zawahałam się.

– Pip, słuchaj, ale nie będziesz się ze mnie śmiał?

– Ja? Z mojej małej siostrzyczki? W życiu! – I usta mu, draniowi, zadrżały.

Pogrzebałam w szufladzie.

– Masz. To dla ciebie, ode mnie. Sama zrobiłam.

Kiedyś, na jakiejś rodzinnej imprezie podejrzałam Miłosza z Wisią. Miłosz był wtedy w bardzo korzystnej dla siebie fazie pierwszej męskiej urody, a mała Wisia zasnęła mu w ramionach. Wyglądali tak fajnie, że po kryjomu pstryknęłam im zdjęcie. I potem w domu namalowałam na wyciągniętej z piwnicy starej desce pseudoikonę: młodziutki, czarnowłosy święty Józef ze śpiącym Dzieciątkiem na rękach.

Jasiek patrzył i patrzył, nie podnosząc na mnie oczu.

– Dziękuję – powiedział wreszcie. – To jest piękne… – I poniosło go do drzwi, jakby za skarby nie chciał na mnie spojrzeć, ale w progu jednak się odwrócił i dodał:

– Wiesz, mała, że pierwszy raz od pięciu lat powiedziałaś do mnie „Pip”?

I jeszcze szybciej się zwinął. Potem już tylko słyszałam, jak wystartował z rykiem.

W którąś kolejną niedzielę pojechałam do niego na Krzesiny. Jak mogę, to mogę, nie? Dobrze, że byłam tylko ja sama, bo Jasiek zrobił sobie na moją cześć rodzinny benefis. Mama chyba by padła.

Mówił bardzo ładnie, wyraźnie i powoli, używając prostych słów, prawie wszystko rozumiałam. Przeczytał ewangelię o Marii i Marcie i nagle zaczął się głupio śmiać. Młodzież gimnazjalno-licealna wlepiła w niego zdumione oczy. Wiedzieli, że ich ksiądz jest porąbany, ale pewno nie przypuszczali, że aż tak bardzo.

Jasiek opanował się.

– *I’m so sorry!* – powiedział. – Musicie mi wybaczyć, ale tutaj siedzi moja siostra – wskazał ręką; chciałam się zagrzebać pod tę drewnianą podłogę – i nagle przypomniałem sobie, że nasza mama zawsze strasznie pomstowała na to czytanie. Mówiła tak: typowo męska reakcja! Co miała zrobić Marta, kiedy do domu zwaliło jej się trzynastu brudnych i głodnych mężczyzn? Wziąć się do roboty, nieprawdaż? Przecież inaczej wszystkie kumy z podwórka by jej żyć nie dały! A Maria była ponad to i miała ochotę tylko słuchać. Marta też chciała wreszcie usiąść z wszystkimi i w końcu miała dość. I co? Panu Jezusowi nie przeszkadzało, póki dookoła niego skakała, ale jak każdy facet nie ścierpiał, kiedy się go poprosiło o interwencję! Na drugi raz Marta powinna im postawić na stole suchy chleb, a obok miskę z wodą do samoobsługi!

Myślałam, że zagrzebię się już nie pod podłogę, ale pod skałę rodzimą.

– …teologicznie nie można mamie nic zarzucić: skoro Pan Jezus został wcielony jako mężczyzna, to musiał mieć typowo męskie cechy. Ale pozwólcie, że odpowiem i jej, i wam: czasami naprawdę warto odpuścić sobie to całe latanie dookoła kuchni i usiąść z gościem, porozmawiać, posłuchać, co ma do powiedzenia. Choćby i o suchym chlebie. I choćby kumy z podwórka miały nas obgadać.

Byłam obrażona w imieniu mamy aż do „Przekażcie sobie znak pokoju”, ale co miałam zrobić, kiedy ten łotr osobiście podszedł

i mnie uściskał?!

Na zakończenie chórek zaśpiewał:

> Jasna nadziejo, pocieszycielko,
> Świeć mi nad lękiem, rozpaczą wszelką.
> Bądź mi latarnią, gdy zajdzie słońce,
> Bądź mi ochłodą na dni gorące.
> Jasna nadziejo, ciemność rozjaśnij,
> Gdy wiara, tak jak te gwiazdy zgaśnie.
> Pomóż w wędrówce w świetle, w ciemności
> Nadziejo nasza, pani jasności.[16]

A mnie zrobiło się słabo, bo jeżeli ktokolwiek inny poza mną by rozszyfrował, skąd Jasiek wziął ten tekst, ani chybi spaliliby go na stosie! Bowiem ten przecudny wiersz Karoliny Pajnowskiej traktował o Elbereth… No, chyba że potraktujemy rzecz jak zapożyczenie tego samego gatunku, co u brata Anzelma ze Shrewsbury, który „Wróblowi ze świątyni” ukradł piosenkę.

Potem Janek zaprosił mnie na plebanię, przedstawił proboszczowi, poszedł do kuchni i postawił na stole suche, dietetyczne wafelki bez cukru. Wtedy już rechotaliśmy razem, a proboszczowi trzeba było tłumaczyć dlaczego. Jeszcze by pomyślał, że jego stuknięty wikary ma równie stukniętą siostrę. Rozmawialiśmy o naszej rodzinie i o Tolkienie, a ja w pewnym momencie się pochwaliłam:

– Nasz tata ma pierwsze wydanie *Hobbita* z trzydziestego siódmego roku! – Do głowy mi wtedy nie przyszło, jaką rolę tenże *Hobbit* odegra w najbliższej przyszłości.

A opowieść jest mocna, więc lepiej usiądźcie dobrze.

Było to w lutym; siedzieliśmy w dużym pokoju, Gośka pokazywała wydruk USG i wszyscy pytali, czy można już określić płeć.

– Chłopiec – powiedziała z rozanielonym uśmiechem Gośka, a Fred radośnie przytakiwał.

– Myśleliście o imieniu? – zagadnął niby to obojętnie tata. Aha, młodość mu się przypomniała!

– Boromir Fidelis! – obwieściła dumnie moja siostrzyczka, a tata rozjaśnił się jak księżyc na niebie, bo oto jego ukochana Perełka miała się wpisać w rodzinną tradycję i do tego nadrobić jego własne zaległości. I jeszcze ten „Wierny” na drugie imię, jak przydomek zaprawdę godny władcy Gondoru.

Wtedy zadzwonił telefon. Mama podniosła się, zobaczyła na wyświetlaczu, że to od cioci Beaty, i pstryknęła na głośno, mówiąc radośnie:

– Tak, Beatko? Coś ci powiemy… – i urwała, bo usłyszała, że ciocia Beata płacze. Z jej bezładnych słów można było zrozumieć tylko „Rafał”, „Newport” i „wypadek”. Dwa tygodnie temu Rafał wreszcie zrealizował swój plan: kiedy tylko obronił licencjat na polibudzie, natychmiast wyruszył w świat, do Newport, tego w Walii; był właśnie na etapie szukania pracy, a potem chciał się uczyć fotografii dokumentalnej w Newport School of Art, Media and Design. Poruszał się tak jak Janek, na motorze…

Tata energicznie przejął słuchawkę.

– Beata? Daj Michała, proszę! Michał? Spokojnie, po kolei! Kiedy was zawiadomili? Gdzie go zawieźli? Ach, do Cardiff, już rozumiem, dobrze, Michał… Michał! Zdaj się na mnie, już dzwonię, a wy przez ten czas… Michał, daj mi Gabriela, proszę!

Z wujem nie można się było dogadać, tak jak z ciotką. Tyle tylko rozumieliśmy, że Rafał rozwalił się na motorze w drodze z Newport do domu w Marshfield i że zabrali go do Cardiff na urazówkę. Do szpitala, w którym Brendan był radiologiem. Widać było, że tata się hamuje, żeby nie wrzasnąć: „Michał, do cholery!”, ale postanowił odwołać się do ostatniej instancji, czyli do Gabriela.

– Gabriel? Słuchaj, co ci powiem: niech rodzice spakują najpotrzebniejsze rzeczy, bierz ich do samochodu i przyjeżdżajcie do nas! Tylko siedemdziesiątką, słyszysz, Gabryś? Ani kilometra więcej! Zanim do nas dojedziecie, wszystkiego się dowiemy!

Z Gołuchowa do Poznania jedzie się półtorej godziny, biorąc poprawkę na przykazaną Gabrielowi siedemdziesiątkę i korki po drodze, niechby było i dwie. Wystarczająco dużo, żeby w tym czasie dopaść Brendana.

Tata wydawał rozkazy:

– Róża, bierz komórkę i dzwoń do naszego NFZ-u, dowiedz się, jak formalnie Rafał jest w tej chwili traktowany. – Jak mówiłam, Rafał jeszcze nie pracował, więc nie miał brytyjskiego ubezpieczenia. – Gosia, ty sprawdź bilety na jutro rano na Luton, tylko sprawdź na razie, dobrze? Jak się czegoś dowiemy, zaraz będziesz bukować.

Sam wcisnął numer Brendana. Telefon nie odpowiadał, co nie było niczym osobliwym, bo w szpitalu Brendan komórkę wyłączał. Przeciwnie, był to dobry znak, bo mogliśmy przypuszczać, że jest na miejscu. Tata sięgnął po swój święty notes, wyszukał numer szpitala w Cardiff – jak dotąd zdarzyło mu się z niego skorzystać tylko raz, przed ładnymi kilku laty – i zadzwonił.

– Nie ma takiego numeru – obwieścił beznamiętny głos.

Tata jeszcze raz wstukał cyfra po cyfrze.

– Nie ma takiego numeru.

– Sprawdziłam samoloty, tato. – Gośka odwróciła się do niego. – W porządku, są miejsca na jutro.

– Dobrze. Znajdź mi szybko telefon do Cardiff.

Palce Gośki błyskawicznie skakały po klawiaturze. Do taty podeszła mama:

– Robert, jest źle. Rafał nie ma żadnego ubezpieczenia. Studentem już nie jest, tam jeszcze nie zaczął, a jako członek rodziny wpisany być nie może, bo się wymeldował.

– Już tato, proszę. – Gośka podała nowe namiary.

Tata zadzwonił.

– Nie ma takiego numeru.

– Gosiu, jeszcze raz, dobrze? Jakiś inny numer.

Gośka zaczęła dygotać.

– Zaraz… Już!

Tata ponowił próbę.

– *University Hospital of Wales* – usłyszeliśmy z głośnika.

Nareszcie! Tata szybko przeszedł do rzeczy:

– Dzień dobry, nazywam się Robert Niziołek, proszę uprzejmie połączyć mnie z doktorem Bachem, radiologia.

– Proszę dzwonić na centralę – usłyszeliśmy trzask słuchawki.

Tata odetchnął głęboko, odsunął Gośkę od komputera, sam chwilę poszukał i spróbował raz jeszcze.

– *University Hospital of Wales!*

Tata powtórzył swoją kwestię.

Sygnał-sygnał-sygnał… Przerwało.

Tata ponownie wystukał ostatni numer.

– Raz jeszcze Robert Niziołek, radiologia się nie zgłasza, czy byłby pan tak dobry i połączył mnie z informacją oddziału intensywnej terapii?

– Informacji udziela się w godzinach od dziesiątej do czternastej.

– Chodzi o wypadek, sprawa pilna. – Tata skrócił swoje wypowiedzi, co świadczyło o tym, że ciągnie resztką sił, chociaż cały czas zachowywał spokój.

– Informacji udziela się w godzinach od dziesiątej do czternastej.

– Proszę pana, mówię, że chodzi o wypadek, zagrożenie życia, czy mógłby pan…

– Informacji udziela się w godzinach od dziesiątej do czternastej.

– Rozumiem, ale proszę mi wyjaśnić, dlaczego nie mogę dowiedzieć się o osobę z wypadku!

– Takie są procedury.

– OK, ale próbuję tłumaczyć…

– Proszę nie blokować linii, bo będę zmuszony się z panem rozłączyć.

I wtedy tata nie wytrzymał.

– *Cay dy geg, a dos i ffwcio dy gath i fyny'r pen ol!* – krzyknął z całej mocy.

Gośka, jedyna, która w naszym towarzystwie rozumiała po walijsku, wydała z siebie dziwne stęknięcie.

W słuchawce zamilkło, myśleliśmy, że facet spełnił groźbę, ale wtedy doszedł nas niepewny głos:

– *Hallo, sir?* Kogo pan chciał przywołać?

– Doktor Bach, radiologia!

– Proszę odłożyć słuchawkę i poczekać nie więcej niż dwadzieścia minut, pan doktor oddzwoni, osobiście go zawiadomię. Czy mógłby pan powtórzyć nazwisko?

– Robert Halfling!

No, jeżeli tata przedstawia się jako Halfling, to znaczy, że jest przy ścianie i nie ma nawet siły przeliterować nazwiska!

– *Of course, sir, wait please*.

Tata odłożył słuchawkę i klapnął na fotel.

Mama, nie spuszczając z niego dziwnego spojrzenia, powiedziała:

– Gosiu, Elciu, chodźcie ze mną do kuchni, zaraz tu będą Anioły, zrobimy herbatę i kawę, przyda się!

Kawa? Herbata? Na cholerę?

Zaraz za progiem mama wczepiła się w Gośkę.

– Co tata powiedział?

Gośka zachichotała nerwowo, co w tym momencie było doprawdy nie na miejscu.

– Mamuśka, uwierz mi, nie chcesz wiedzieć!…

– Tak myślałam – powiedziała z namysłem mama.

To był właśnie ten drugi raz, po z górą trzydziestoletniej przerwie….

Zdążyłyśmy przygotować dwa dzbanki, kiedy rzeczywiście wpadli ciocia z wujkiem i Gabrielem. Tata momentalnie się podniósł, otoczył ich ramionami i usadził na kanapie.

– Już, już, kochani, czekam na telefon Brendana, zaraz wszystko będziemy wiedzieć.

W tym momencie zadzwoniła komórka taty. To był Brendan.

– Robert? Co się dzieje? – Od razu wiedział, że coś nie tak, kiedy tylko usłyszał „Halfling”.

Tata błyskawicznie przedstawił sprawę.

– Już, stary, już pędzę na OIOM, czekaj!

Czekaliśmy niekończące się dwadzieścia minut. Mama podała kawę, której nikt nie tknął.

Zadzwoniła komórka. Tata wyłączył funkcję głośnomówiącą i tylko z zadawanych przez niego pytań mogliśmy wywnioskować, że z Rafałem jest źle, że miał już jedną operację, a teraz jest podłączony do krążenia pozaustrojowego. Rozumiałam tylko dlatego, że osłuchałam się z terminami medycznymi przy oglądaniu *House'a*.

Nagle tata przeszedł na walijski, na co mama zareagowała jak ukłuta i poszukała oczami Gośki, a ta leciutko skinęła głową.

Czy tata pyta Brendana, kiedy Rafał umrze?!

Ale tata wrócił do angielskiego.

– Brendan, rozumiem, że twoje poręczenie wystarczy, tak? Dobrze, róbcie swoje, my przylatujemy jutro rano piętnaście po siódmej i zaraz łapiemy pociąg… David przyjedzie? Dzięki, stary! Zabieram *Hobbita* ze sobą, będziesz mi musiał dać namiary. Nie chrzań, Brendan, rób, co mówię! Dzięki raz jeszcze, cześć!

Mama patrzyła na tatę jak w obraz.

– *Samwise the Brave*…[17] – powiedziała tak cicho, że chyba tylko ja wyczytałam to z jej ust.

Tata głęboko odetchnął.

– Gosiu, bukuj trzy bilety… nie, czekaj! Gabriel, dla ciebie też?

– No pewnie!

– To cztery! Tu masz moją kartę, załatw, co trzeba.

Tata odwrócił się do cioci i wujka.

– Beatko, Michałku… Trzymajcie się, proszę! Rafał będzie miał następną operację, jak tylko znajdą dawcę. – Ciocia z jękiem schowała się w ramionach wujka. – Bądźcie dobrej myśli, Rafał miał szczęście w nieszczęściu, w Cardiff mają najlepszą transplantologię w tej części kraju.

– Robert, ale jak… ubezpieczenie… koszty… – Wuj dygotał i nie umiał wydusić z siebie sensownego zdania.

– Michał, niech was o to głowa nie boli! – stanowczo powiedział tata. – Wy myślcie tylko o Rafale! Wszystko potem! Niech szwagier się do czegoś przyda. Różyczko, ułóżmy ich jakoś, jutro musimy wstać o czwartej. Elciu, sprawdź rzeczy wujka i cioci, może coś trzeba od nas dołożyć, przepakować?

– Tato, pokładówki. – Gośka podała tacie gotowe wydruki. Musiała bez pytania powyciągać ich dowody z kieszeni i torebek.

Rzuciłam się do bagaży; rzeczywiście, trzeba było je przepakować w nasze wymiarowe torby, zrobiłam to błyskawicznie. Gośka do mnie dołączyła.

– Słuchaj – szepnęłam. – Czy ja dobrze zrozumiałam? Tata wyłoży na operację?

– Tak. Brendan coś tam na razie pokwitował, żeby tylko wszystko ruszyło z miejsca, a tata spyli *Hobbita* i zapłaci.

– A to starczy?

– Nie wiem, na początek na pewno, potem będziemy walczyć dalej.

– To ile *Hobbit* teraz kosztuje?

– Różnie, w zależności od stanu książki. Ten taty jest prawie nietknięty i ma autograf. Od dwudziestu pięciu do trzydziestu tysięcy.

– Ale to mało!

– Funtów, Elka…

Funtów? I tata trzymał to tak po prostu, w domu?

Kątem oka zobaczyłam Freda z komórką przy uchu.

– Dobra, dziękujemy – mówił.

– Do kogo dzwonisz? – zapytała Gośka.

– Do specjalisty – burknął Fred, a widząc nasze zdziwione spojrzenia, dodał: – No do Janka przecież. Będzie się modlił przez całą noc.

Ciekawe, że pierwszą osobą, która o tym pomyślała, był właśnie Fred.

Tata z Aniołami wyruszył następnego dnia o nieprzytomnie wczesnej godzinie, a ja przytuliłam się do mamy.

– Mamo… Dlaczego powiedziałaś wtedy Samwise the Brave?

– Przecież to jasne, Elciu. Sam wyrzucił wszystkie swoje skarby, żeby było im łatwiej iść…

– A tata oddaje *Hobbita*, tak?

– No tak. To był jego największy skarb przez trzydzieści pięć lat. To znaczy, wydawało się nam, że największy. Nie chciał go tknąć nawet wtedy, kiedy z firmą źle się działo. A teraz tak po prostu, w jednej chwili…

– Mamo…

– Co, kotku?

– Z całej drużyny ty najbardziej lubisz Sama, prawda?

– Prawda. Chodź, pokażę ci coś, ale to będzie nasz tajemnica.

I mama pokazała mi swoje notatki o *Władcy Pierścieni*; od lat chyba je spisywała i chowała do szuflady, to jest do tajnego folderu.

Znalazłam taki fragment:

Boże, pozwól mi być taką, jak Sam.

Daj serce proste, do którego wrogowie wstępu nie mają. Którego czym kupić nie mają.
Daj pogodę ducha, dziecięcą chęć zobaczenia elfów i spełnienie marzeń o bohaterskim eposie.
Daj wierność i siłę, i wiarę, by nie zwątpić w sens ofiary.
Daj, bym umiała odrzucić, co zbędne, a zachować przy sercu skarby.
Pozwól, kiedy nie można nieść za kogoś, żebym poniosła jego.
Jeśli to Twoja wola, ocal od ognia Orodruiny.
Daj długie życie, miłość bliskich i poważanie wśród ludzi.
A u kresu dni zabierz mnie z Szarej Przystani za morze, żeby i dla mnie szara zasłona deszczu przemieniła się w srebrne szkło.

I oczywiście się poryczałam.

[15] Jasne, że tak mówił Frodo do Sama na Orodruinie z dodatkiem „too” to będzie: „Cieszę się, że ty też jesteś ze mną...”.
[16] Karolina Pajnowska *Modlitwa*
[17] Samwise Mężny

Rozdział XV

Terra Felix

Kolejne dni zlały mi się w jedno i dzisiaj nie potrafię już odtworzyć kolejności wydarzeń, tyle tego było. Pewnie jest i tak, że mózg zaczyna odrzucać wspomnienia złe i straszne. Dość powiedzieć, że kiedy tata, wujek i Gabriel wrócili po dwóch tygodniach – ciocia została na dłużej – nie musieliśmy się już tak potwornie bać każdej chwili, każdego telefonu. Było ciężko, ale powoli, powolutku szło ku lepszemu.

– To nie jest tak jak u doktora House'a, że pacjent idzie do domu dosłownie na drugi dzień – tłumaczył tata. – Rafała czeka jeszcze długa rekonwalescencja i wszyscy musimy uzbroić się w cierpliwość.

– Ale teraz już nie umrze? – wyrwałam się.

– Elciu, powtórzę ci to, co tłumaczył nam Brendan: jak do tej pory nie wystąpiły żadne objawy odrzucenia przeszczepu. Bądź dobrej myśli.

– Kiedy wyjdzie ze szpitala?

– Jeżeli nic złego się nie będzie działo, to wkrótce. Będą przez jakiś czas z ciocią u Brendana. Nie potrafię wam powiedzieć, kiedy wrócą do Polski. Raczej nie liczcie na Wielkanoc.

Skoro tata przywołał przykład House'a… Doskonale pamiętałam odcinek o dziewczynie po transplantacji, która miała kleszcza, i jej rozmowę z doktorem Foremanem o przeżywalności. „Pomyślę o tym później" – powiedziałam sobie jak Scarlett O'Hara.

Wrócili w maju; Rafał rwał się do domu, do Gołuchowa, ale nikt nawet nie śmiał go zapytać, jak widzi swoje dalsze życie. W każdym razie ciocia z wujkiem już nie wyglądali tak, jakby byli starsi od mamy i taty o dobre dziesięć lat. Zbiorowym wysiłkiem klanów Kotoniów i Aniołów załatane zostały też wszystkie sprawy finansowe. Gośka i Fred z początku chcieli nawet zrezygnować ze swoich planów i dorzucić się do puli – nie miałabym nic przeciwko temu, żeby sobie jeszcze z nami pomieszkali – ale stanęło na tym, że nie, nie trzeba. Mieli zatem wyprowadzić się do końca czerwca, żeby mieć półtoramiesięczny zapas do urodzenia Boromira.

Tata prowadził jakieś tajemnicze męskie rozmowy z Brendanem na Skypie; tajemnicze, bo gadali przeważnie po walijsku jak za dawnych czasów, a przecież nie mogłam prosić Gośki, żeby trochę podsłuchała. Nie wiedziałam, czy dotyczą one forsy czy po prostu ogień bitewny spowodował renesans ich przyjaźni. Nie, źle powiedziałam. Brendan zawsze był najlepszym przyjacielem taty, choć za morzem, i zawsze mieli sobie dużo do powiedzenia, ale teraz wyczułam instynktownie przez skórę, że ton tych rozmów się zmienił. Jakby zaczęli mówić o sprawach poważniejszych i całkiem poważnych. Smuga cienia?

– Elciu – powiedział raz do mnie tata po zakończeniu jednej z takich rozmów – nie miałabyś ochoty po skończeniu sesji pojechać do Walii? Brendan zapraszał nas wszystkich, ale wiesz, Gosia i Fred mają swoje sprawy, a my z mamą wolelibyśmy się nie ruszać z miejsca.

O kogo się najbardziej martwili, o Gośkę, o Rafała czy o Michała i Beatę?

– Wuj Brendan nie ma jeszcze dosyć naszej rodzinki? – zażartowałam. – A co na to ciotka Jennifer?

– No coś ty, chatę mają dużą, zmieścilibyśmy się wszyscy, a Una wyjeżdża na całe lato do Stanów. – Una była córką Brendana; zawsze lubiłam jej imię, bo kojarzyło mi się z Anią z Zielonego Wzgórza i Doliną Tęczy. Poza mamą tylko ja jedna przeczytałam wszystkie części *Ani*, Gośka nie przebrnęła nawet przez *Anię na uniwersytecie*.

Uzgodniliśmy, że pojadę zaraz po wyprowadzce Gośki i Freda. Tata bardzo skrupulatnie przepytał mnie, czy wiem, na jakich stacjach będę się musiała przesiadać, zaczynając od lotniska w Luton. No pewnie, że wiedziałam: z Luton na London St Pancras, potem metrem na Paddington i stamtąd już do Cardiff, dwie godziny jazdy. Z satysfakcją zauważyłam, że tata nareszcie znormalniał, nie trzęsie się o mnie, nie jęczy: „Jak ona sobie poradzi" i „Czy będzie umiała kupić bilet". Co najwyżej zrobi mi ściągę z peronów. Mama, jak to mama, zawsze rzucała nas na głęboką wodę. Kiedyś dawno temu, kiedy byłam jeszcze mała, zapytała mnie na lotnisku:

– Dokąd teraz idziemy?

– Tam. – Pokazałam ręką.

– A dlaczego?

– Bo jest napis „Departure" – odpowiedziałam dumnie.

– Dobrze – pochwaliła mama. A po chwili:

– A teraz dokąd?

– Tam. – Znowu pokazałam kierunek.

– A dlaczego?

– Bo ludzie tam idą…

– Dobrze! – powiedziała z uznaniem mama.

No i co, ja bym sobie miała nie poradzić?!

Postanowiłam zatem, że choćby gwoździe z nieba leciały, sesję zrobię w terminie. Niestety, jedno zaliczenie musiałam sobie przełożyć, bo ktoś całkiem nieprzytomny wyznaczył je na sobotę pierwszego czerwca. W ogóle nie było dyskusji, pierwszego musiałam być na Lednicy!

Odszukałam wtedy na placu Jaśka z jego szkołą, co nie było trudne, bo na gigantycznej wysuwanej wędce powiewał widoczny z daleka napis „Poznań-Krzesiny"; operatywnie wepchnęli się do pierwszego sektora, zaraz przy Rybie. Kiedy ojciec Góra zadysponował: „Podziękujcie waszym księżom, że tu z wami przyjechali", młódź ochoczo skoczyła do Janka i zaczęła go entuzjastycznie podrzucać. A ja zupełnie jak mama pomyślałam sobie: „Boże, jeżeli łapki im się omskną, to Jasiek skończy na Polach Lednickich w charakterze mokrej plamy!". Na szczęście podołali.

Siedziałam potem na kocu z dziewczynami z gimnazjum – w swoich terenowych ciuchach dużo się pewnie od nich nie różniłam – które najpierw powiedziały z podziwem i zazdrością:

– Fajnie mieć takiego brata! – a potem wyciągnęły tablety i pochwaliły się wrzuconym właśnie na YouTube filmikiem z bierzmowania. Jako motyw przewodni służyła melodia Vangelisa z *Rydwanów ognia*, pod którą podłożono słowa: „Bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem, wieniec zwycięstwa ozdobił mi skroń". Na zmianę z kadrami filmowymi, tym genialnym wejściem i biegiem finałowym, przeplatały się wizerunki – tak się domyślałam – uczniowskich patronów. Przy tym główny montażysta miał lekką rękę, bo świętą Joannę d'Arc ilustrowała Milla Jovovich, świętego Tomasza More – Paul Scofield z *Oto jest głowa zdrajcy*, a świętą Łucję… Łusia z Aslanem! Ponoć puścili to w kościele na rzutniku w czasie uroczystości. No, ładnie! Wolałam nie pytać, ile w tym było inspiracji Janka i jak zareagował biskup.

Leciałam w piątek dwudziestego pierwszego. Loty od nas na Luton to droga przez mękę, samolot startuje o szóstej piętnaście, więc sami policzcie, o której musi wstać skrupulatny poznaniak, żeby na pewno nie odbić się od zamkniętej bramki. No, ja w każdym razie nie miałabym takich silnych nerwów, jak pewna matka Polka, która z dzieckiem na jednej ręce, a walichą w drugiej wykłócała się, że zamknięto odprawę o pięć minut za wcześnie! Siłą rzeczy o tak nieludzkiej porze nikt nie jest w stanie przełknąć ani kęsa, i zawsze zabieraliśmy sobie wałówkę na drogę. Teraz też mama wepchnęła mi paczuszkę do plecaka. Ja sama do jednej bocznej kieszeni wcisnęłam w ostatniej chwili parę płyt Kaczmarskiego do posłuchania w samolocie, a do drugiej – *Młodego samuraja. Krąg wody*. Niech się obaj wielebni Janowie wypchają.

Wylądowaliśmy o czasie, ruszyłam do wyjścia według sprawdzonej recepty z dzieciństwa, to znaczy jak zaczynałam mieć wątpliwości, szłam tam, gdzie ludzie, kiedy przyszedł esemes: „Czekam w *pick up zone*. David". David? Chciało mu się? Wtedy w lutym to co innego, zresztą na pewno Brendan go prosił, ale teraz? Sto siedemdziesiąt mil w jedną stronę? Też musiał wyruszyć o jakiejś nieprzytomnej godzinie…

Odnalazłam *pick up zone* bez problemów, napisy były jak wół. David siedział w dość wiekowym daihatsu.

– *Hi, Elanor the Fair* – powiedział na mój widok i zaśmiał się, jakby wyszedł z tego dobry kawał. Trochę się obraziłam. Co to, wyglądam aż tak strasznie? No przecież nie założę do samolotu butów na obcasach!

Ruszyliśmy.

– Dziękuję, że przyjechałeś po mnie – rozpoczęłam trochę sztywno staranną konwersację. – Nie trzeba było, pojechałabym pociągiem…

– Coś ty, bilety są drogie, na benę w obie strony wydam połowę tego – odburknął. Przed słowem „drogie" było jeszcze jakieś inne, walijskie, którego nie zrozumiałam. – Musimy jechać autostradą, *sorry* – dodał. – To będzie nudne – tu znowu zrobił walijski wtręt – ale pryskajmy jak najszybciej z tego bajzlu. – Ostatnie słowo zrozumiałam bardzo dobrze dzięki oglądaniu amerykańskich seriali.

Pojechaliśmy na obwodnicę Londynu, a potem skręciliśmy na zachód. Wtedy przypomniałam sobie, że jestem bardzo głodna. Sięgnęłam po paczuszkę mamy – o, pumpernikiel z serem, fajnie – i podsunęłam gościnnie Davidowi.

W oczach Davida pojawiły się dwa wielkie znaki zapytania i lekkie przerażenie, a ja w tym momencie zaczęłam się śmiać niemal tak samo, jak Jasiek na ambonie. Zaraz wytłumaczę dlaczego.

Kiedy babcia Kotoń pojawiła się w Poznaniu w połowie lat pięćdziesiątych, pumpernikiel był jej całkowicie nieznany. Trzeba trafu, że koleżanka miała śniadanie zrobione właśnie z takiego chleba.

Dalszy ciąg przerobiłyśmy z Gośką na *Harry'ego Pottera*:

Początek I części. Harry i Ron jadą Hogwart Ekspresem. Ron wyciąga kanapki z pumpernikla i zaczyna zajadać. Harry myśli sobie:

– Boże, jaki on musi być strasznie biedny! Nie dość, że ma zupełnie czarny chleb, to jeszcze tak cienko pokrojony!

Dokładnie tak pomyślała sobie babcia i dokładnie to samo miał wypisane na twarzy David. Spracowałam się, zanim mu to wszystko ładnie wytłumaczyłam z użyciem odpowiednich czasów, chociaż miałam je opanowane znacznie lepiej niż gimnazjaliści Janka. Chyba zrozumiał. Pokiwał głową i powiedział:

– Dobrze znasz angielski. A tata mi kładł w głowę, że ze względu na twoją głuchotę mam mówić wyraźnie. I otwierać usta na trzy palce jak przy śpiewie – dodał z lekkim uśmiechem.

Zesztywniałam, ale zaraz potem zorientowałam się, że David napomknął o moim niedosłuchu zupełnie naturalnie, ot, jakby stwierdzał fakt: ładną mamy dziś pogodę. W ogóle zauważyłam, że oni tutaj, w Wielkiej Brytanii, nie robią z niepełnosprawności żadnego halo, mnóstwo ludzi miało aparaty słuchowe, chodziło o lasce, o kuli. I dobrze. Dzięki temu odechciało mi się nawet tłumaczyć, że nie jest tak źle, na jedno ucho trochę słyszę…

Jechaliśmy tak sobie, prowadząc *small talk*, czyli jak to Gośka ujmowała, rozmówki o d…. Maryny. Ja mu opowiadałam o naszej rodzinie i moich studiach, na co on wydusił coś o sobie: że za rok skończy psychologię. Policzyłam po cichutku na palcach, David był cztery lata ode mnie starszy, ja poszłam do szkoły rok później, zatem powinien już skończyć. Znaczy, też miał jakieś obsuwy. No tak, tata był niezwykle dyskretny i lojalny wobec rodziny przyjaciela, ale coś tam jednak do mnie dotarło o problemach Davida bodajże z kategorii uczuciowych.

Na całej trasie do Cardiff David ciągle przepraszał za jazdę autostradą. Obsesję jakąś miał czy co? W ciągu następnych dni okazało się, że i owszem, ma obsesję bocznych dróg. Od razu się upewnił:

– Cardiff nie chcesz zwiedzać? Nie? To dobrze! – I woził mnie wzdłuż wybrzeża. Kiedy po kilku dniach uznał, że wszystkie National Parki w okolicy mu się skończyły, ni stąd, ni zowąd rzucił gburowato:

– Ile masz forsy?

Trochę speszona, a trochę zdziwiona na takie obcesowe pytanie, przyznałam mu się, że mam trzysta funtów. Miało być po stówie na pociąg w obie strony plus kieszonkowe. Do tej pory nie miałam okazji nic wydać.

– Może być – powiedział. – Ja mam sześćset… Powinno wystarczyć.

– Na co?

– Zobaczysz – zbył mnie krótko. Wieczorem przy kolacji zahaczył Brendana:

– Tato, czy mógłbym zabrać Elanor – on jeden tak mnie nazywał, wuj i ciotka mówili do mnie „Ella” – na tydzień do Szkocji? Nie uwiodę jej i nie rozwalę nas w samochodzie – dodał z brutalną szczerością.

Brendan i Jennifer popatrzyli na niego, a potem na mnie z takim, powiedziałabym, zastanowieniem. Też byli stuprocentowo lojalni wobec taty i jego bliskich, ale w tej chwili dosłownie mieli wypisane na twarzy: dałby Bóg! Nie rozwalenie samochodu z zawartością, oczywiście, tylko to pierwsze. Poczułam się trochę nieswojo. Poza tym zdziwiłam się, że całkowicie dorosły, dwudziestopięcioletni facet prosi ojca o pozwolenie, bo Janek miał zupełnie inną taktykę. Ale nie powiem, spodobało mi się to. Było tak trochę jak ze stareńkiej *Bonanzy*.

– Dobrze – powiedział Brendan – ale zadzwoń do wuja Roberta i z nim też to uzgodnij.

Już się najeżyłam, że prawda, pełnoletnia przecież jestem i mogę sama decydować, ale w końcu nic nie powiedziałam. Dobra, róbcie po swojemu.

David zadzwonił i trafił, jak się domyśliłam, na jakąś parapetówę u Gośki i Freda na Saperskiej, bo rozmowa trwała krótko i zakończyła się udzielonym z roztargnieniem błogosławieństwem. Pomyślałam, że może tata dyskutuje właśnie z Fredem o OFE albo o projekcie referendum w Warszawie i nie bardzo wie, o co chodzi. Dopiero po powrocie dowiedziałam się, że przeciwnie, to mama wrzeszczała na cały regulator na Łysiaka, że w *Wyspach bezludnych* jeszcze kochał papieża, a teraz przestał, i to tak, że człowiek honoru powinien go wyzwać na pojedynek.

– Idź spać, wyjeżdżamy o szóstej – zadysponował David. Znowu tak wcześnie?! – Pewnie chcesz przejechać przez Shrewsbury? – Jasne, że chciałam, kiedy byliśmy tam ostatni raz, miałam cztery lata. – Przynajmniej z początku nie będziemy musieli jechać tą autostradą. – Znowu przed „autostradą” pojawiło się walijskie słowo, na bank nieprzyzwoite, ale według recepty Cejrowskiego uznałam, że niezrozumiały zwrot w obcym języku nie jest wulgarny. Jak piinga-piinga na przykład.

– Zabierz czapkę, rękawiczki i kostium kąpielowy! – nakazał mi jeszcze David. Cały ten ekstremalny ekwipunek musiałam za zgodą cioci wygrzebać z szafy Uny. Ciekawe, do czego będzie potrzebny.

Rano David wygarnął chyba całe żarcie, które było w domu, do turystycznej lodówki – ciekawe, o forsę ojca nie prosił, ale jedzenie zarekwirował bez skrupułów – i podłączył ją gdzieś z tyłu. Przy tych machinacjach zobaczyłam w bagażniku puchowy śpiwór i poduszkę.

– Ty będziesz spała w hostelach, a ja w samochodzie – wyjaśnił, widząc moje zdziwione spojrzenie. – Prysznic tylko będę sobie brał.

Ruszyliśmy. Shrewsbury było ładne, wypielęgnowane, ale trochę mnie rozczarowało. Kiedy David znienacka zatrzymał się i powiedział:

– No to chodź! – nie wiedziałam, o co mu chodzi. Dopiero po chwili skojarzyłam, że stoimy pod opactwem. Ach, ta wyobraźnia! Wbiłam sobie w głowę zupełnie coś innego, a zobaczyłam zwykłą ulicę i trochę podniszczony kościół przy niej. Tam z tyłu, na trawniku, była kiedyś chata Cadfaela…

Napiliśmy się jeszcze kawy w mieście, ale już mi się odechciało łażenia po uliczkach i odtwarzania, gdzie mógł mieszkać rzeźnik Flesher, a gdzie wdowa Perle, więc w sumie nie miałam nic przeciwko temu, że David mnie pogonił:

– Obejrzałaś sobie? To jedziemy, bo drogi mamy (…) dużo! – Zaczynałam się przyzwyczajać do jego walijskich wstawek, nawet, o zgrozo, niektóre umiałabym powtórzyć.

Autostrada nas nie ominęła, ale ja i tak byłam wniebowzięta, bo im dalej na północ, tym krajobraz robił się ciekawszy. Moje zachwycone piski David uciszał krótko:

– Poczekaj, poczekaj, tu jeszcze nic nie ma. Zobaczysz potem.

Jechał jak pirat, szybko, ale bardzo pewnie, i ani przez chwilę się nie bałam. Jego stare auto skrywało pod maską moce wehikułu Pana Samochodzika, i ani się obejrzałam, jak w południe byliśmy pod Glasgow. David upewnił się rytualnie:

– Nie chcesz zwiedzać? – ale w głosie miał coś takiego: no tylko spróbuj! Zresztą ja też już nie chciałam do żadnego miasta. Gnało mnie na północ w góry i w ciasnych miejskich uliczkach między domami robiło mi się duszno. Niesamowite!

Przejechaliśmy przez urocze Stirling; myślałam, że może zatrzymamy się na lunch czy coś w tym rodzaju, ale David zjechał tylko na stację benzynową i zadysponował:

– Zrób kanapki! – co uczyniłam bez gadania, elegancko komponując chlebek z szynką, serem i sałatą.

Tuż za miejscowością o śmiesznej nazwie Callander (śmiesznej, bo kojarzyła mi się z nazwiskiem Klunder, które nosili znajomi rodziców z Chojnic) David skręcił z głównej szosy w lewo.

– Pokażę ci coś – zapowiedział krótko.

No i się zaczęło! To była pierwsza z niezliczonych wąskich bocznych dróg, którymi później miałam zaszczyt być wożona. Z początku było jeszcze całkiem, całkiem, na dwa samochody, potem miałam okazję zobaczyć, jak wygląda szkocka droga jakby żywcem wyjęta z kart kryminałów Josephine Tey, z zatoczkami do wymijania i wyprzedzania, wijąca się wzdłuż kolejnych lochów. Mam na myśli, rzecz jasna, fiordy, nie lochy. To jest, nie kazamaty. Rany, jak w *Lesiu* Chmielewskiej. Wzdłuż kolejnych jezior szkockich.

Krajobraz przypominał… bo ja wiem co? Podhale? Nie, niezupełnie. Zalew Soliński? Też nie… David gnał, lekceważąc ograniczenia i pokrzykując na samochody:

– Jak jedziesz, (…) Angliku, przepuść mnie! – co w wykonaniu Walijczyka w Szkocji brzmiało niezwykle ciekawie.

Po dobrej półgodzinie zatrzymaliśmy się w Inversnaid przed urokliwym hotelikiem przerobionym ze starego kościoła.

– Mam tu spać? – zapytałam.

– No co ty – lekceważąco odparł David. – Za wcześnie! Musimy dzisiaj dojechać minimum do Fort William!

I dodał:

– Ale podoba ci się?

Miałam okazję potem słyszeć to pytanie milion razy i każdorazowo solennie zapewniałam, że jeszcze jak! David zafundował mi cydr, bardzo smaczny i zawróciliśmy na główną trasę, kierunek północny zachód. A mnie oczy robiły się coraz bardziej kwadratowe, bo jechaliśmy teraz czymś, co od biedy przyrównać można było do monstrualnej, ciągnącej się dziesiątkami kilometrów Doliny Chochołowskiej. Pomyślałam sobie: ten Qwilleran w *Kot, którego*

tam nie było miał chyba bielmo na oczach! Jak mógł powiedzieć, że „przejeżdżali wzdłuż niekończących się jezior, jedli posiłki w ciągle takich samych zajazdach…”! Czy naprawdę nie ruszyły go takie widoki? Stary, zblazowany milioner! (Stary… w wieku taty, ot co). Albo może ta ich przewodniczka idiotycznie zaplanowała im trasę, zamęczyła towarzystwo i wtedy nie dziwota, że ktoś ją utrupił. Przepraszam potencjalnych czytelników za ten spoiler, ale to było do przewidzenia od dziesiątej strony.

W Glen Coe odrobinę oprzytomniałam i zaczęłam wysyłać do wszystkich ememesy z widoczkami, a wtedy David ogłosił:

– Troszeczkę zawrócimy. Muszę ci coś pokazać! – i pognaliśmy kolejną boczną drogą wzdłuż jakiejś tam River Etive czy coś w tym guście, a ja na każdym zakręcie, niepomna na grzech przeciw drugiemu przykazaniu wołałam: o Jezu!

– Co tak piszczysz, Jezus jest jeden, a ty Go już dwudziesty raz widzisz! – mitygował mnie David, w sumie chyba zadowolony z moich reakcji. W pewnym momencie przyhamował i powiedział:

– Popatrz na ten zielony kamień, dokładnie tu stali Bond z M! – a ja postanowiłam po powrocie do domu odrobić zaległości, bo z ostatnich Bondów widziałam tylko *Casino Royale*.

Droga nam się skończyła nad Loch Etive, który, jak się okazało, w istocie był fiordem, polizaliśmy wodę i zawróciliśmy, kłócąc się po drodze, czy to białe u góry to śnieg czy spieniona woda. Ja stawiałam na śnieg, ale rację miał David, który specjalnie podjechał całkiem blisko, żeby sprawdzić – to jednak były wodospady. Widzicie to?

Żeby za szybko nie dojechać do Fort William – a tak, tak – przeprawiliśmy się promem do Corran na drugą stronę kolejnego lochu i jechaliśmy dalej na przedłużenie. Dobrze przeczytaliście, na przedłużenie. David miał niespożyte siły, chociaż siedział za kółkiem od szóstej rano. Objechaliśmy loch dookoła, podziwiając Ben Nevis; David warczał, że (…) chmury zasłaniają czubek, już myślałam, że skręcamy do naszego celu, kiedy David powiedział… zgadnijcie co?

– Coś ci pokażę! – i podjechał pod most Harry’ego Pottera! No nie! Kto mu nakablował?! Co ten tata właściwie nadawał Brendanowi?!

W hostelu SYHA w Glen Nevis byliśmy na pięć minut przed zamknięciem. David zabukował mnie, pokonwersował z facetem z recepcji, tłumacząc, że zostaję tylko ja, bo on ma klaustrofobię – klaustrofobię, kurczę, facet z klaustrofobią w zamkniętym samochodzie?! – odprowadził mnie pod pokój i powiedział:

– To cześć, biorę natrysk i spadam na parking pod Ben Nevis.

I tak skończył się dzień pierwszy i nastał poranek.

Następnego dnia David zaczął tradycyjnie od przeprosin:

– Ben Nevis musimy sobie darować – powiedział. – Cały dzień byśmy mieli w plecy, zresztą zobacz, znowu skubany w chmurach! – Jak już powiedziałam, po walijsku rozumiałam coraz więcej i to słówko przed „w chmurach" można chyba było tak oddać.

– Nie szkodzi, przecież możemy przyjechać tu kiedyś specjalnie po to, żeby go zdobyć! – wymknęło mi się spontanicznie, a Davidowi coś błysnęło w oczach.

– Jedziemy na Isle of Skye – zaanonsował.

Oczywiście dwie godziny jazdy dalszym ciągiem zmodyfikowanej Doliny Chochołowskiej go znudziły, i zamiast wjechać na wyspę jak Pan Bóg przykazał mostem, skręcił do małego promu. Znowu przypomniał mi się Qwilleran i jego grupa i znowu z ubolewaniem pokiwałam nad nimi głową. Mieli oczy, a nie widzieli!…

Na promie wiało jak diabli, z ochotą zrobiłam użytek z przykazanych mi czapki i rękawiczek. Poza tym robiło mi się zimno z zupełnie innego powodu: po sterburcie, po samej krawędzi, biegał sobie beztrosko jak po podłodze promowy pies.

– Nie bój się, on jest tutejszy, wie, co robi! – pocieszał mnie David. Ale sam mrużył oczy.

Wjechaliśmy na wyspę i wtedy stwierdziłam, że naprawdę nie mam pojęcia, do czego mogłabym ją przyrównać! Tak marsjańskich krajobrazów w życiu nie widziałam!

– Wrzuć jakąś płytę – poprosił David. Po co, żeby popsuć te widoki? Pogrzebałam jednak w jego zasobach i z uznaniem stwierdziłam, że jest w czym wybierać, prawie jak u Janka. Nastawiłam *Koncert brandenburski*. Dobrą chwilę jechaliśmy w milczeniu.

– Czemu ludzie słuchają takiego gówna – zaczął nagle ni stąd, ni zowąd David, a ja aż podskoczyłam, ale okazało się, że tylko w skrócie myślowym chciał wyrazić zupełnie coś innego. – Wchodzisz do sklepu i umcy bumcy, musisz spieprzać, bo nie wytrzymasz. A tu, posłuchaj, posłuchaj! – no słuchałam przecież – jak te instrumenty ze sobą rozmawiają, dwadzieścia minut dialogu, rozpisanej akcji! Albo *Bolero*! Cztery takty w kółko, melodia prościusieńka, a można słuchać godzinami i nie zbrzydnie!

Kiedy ja ostatni raz słyszałam, żeby ktoś tak opowiadał o muzyce? No, na pewno ładnych parę lat temu, może wtedy, kiedy Janek próbował nam mówić o swoim prywatnym muzykowaniu w kaplicy seminarium. Tyle że Jasiek się wstydził, nie dopowiadał do końca, dlaczego to robił. David walił słowami jak cepem, a mnie ani w głowie nie postało zgorszyć się tymi idiomami podawanymi w jego rodzimym języku.

Po niezwykle skrupulatnym objechaniu dookoła całej Isle of Skye wzdłuż wszystkich możliwych zatoczek zostałam odholowana do schroniska w Glenbrittle, a David odjechał na kemping na brzegu oceanu.

– Szykuj się na jutro – rzucił na odchodne. Ciekawe, co wymyślił, zastanowiłam się. Do głowy mi nie przyszło, że nie bez kozery kazał mi kompletować ten nieszczęsny ekstremalny ekwipunek.

Następnego dnia od rana podjechaliśmy tylko odrobinę w górę doliny i David zarządził wysiadkę. Fajnie, bo dotąd zwiedzanie odbywało się z samochodu i po wczorajszym trochę mnie już rozbolał tyłek.

– Dokąd idziemy? – zapytałam.

– No tu, zobacz. – Pokazał mi napis „Fairy Pools”. Dobra nazwa, pomyślałam jeszcze bez głębszej refleksji.

– Wyjmij kostium i ręcznik – zadysponował.

Co?! Mamy się w tym kąpać?! W górskim stawku o temperaturze jak na *Titanicu*?!

– Chodź, chodź – pogonił mnie energicznie.

Naprawdę nie wiem, jak to się stało, ale kiedy zobaczyłam z bliska wybrany przez niego Fairy Pool, bez żadnych oporów wlazłam do lodowatej wody i nawet przepłynęłam tam i z powrotem pod

skalnym mostem. Może zadziałał nomen omen czar miejsca, a może zdopingowała mnie wizja Harry'ego skaczącego po miecz Gryffindora. W każdym razie ufałam, że gdyby mnie sparaliżowało z zimna, David zdoła mnie na czas wywlec. Będę miała o czym w domu opowiadać!

– Fajnie było? – zapytał, narzucając na mnie ogromny ręcznik od ciotki Jennifer, a widząc, że entuzjastycznie potakuję, uśmiechnął się i dodał: – Przebierz się spokojnie, poczekam na górze – i zniknął za skałami.

Potem na parkingu konsumowaliśmy drugie śniadanie z domowych zapasów; trzeci dzień ciągnęliśmy bez gotowanego, na samych kanapkach, ale pomyślałam sobie, że

po co tłuszcz ma spływać nam po brodzie,
gdy można żyć o owocach i o wodzie
jadąc

…gdzieś w nieznane w Highlandzie?

Z wyspy wyjechaliśmy tym razem normalnie, po moście przez Kyle of Lochalsh, tyle że David tradycyjnie niemal natychmiast porzucił główną trasę, skręcając raz i drugi wzdłuż fiordu w boczną drogę. Mignął mi drogowskaz „Applecross", droga wyglądała łagodnie, łaziły nią jak wszędzie owce… i zaczęło się!

Do tej pory, słowo uczciwego Niziołka, nie bałam się ani przez chwilę. Teraz wczepiłam się w kokpit i starając się nie patrzeć na boki myślałam rozpaczliwie: gdzie ja jestem?! W Alpach?! Kiedy to się skończy, rany boskie! Cały czas wspinaliśmy się pod górę w poprzek turni dróżką krętą jak baranie kiszki, przed nami wyrosła jakaś potworna skalna ściana… Zaczerpnęłam oddechu, obejrzałam się i wykrzyknęłam spontanicznie:

– O, kurwa!

Przepraszam, tatku, tak jakoś samo mi to wyskoczyło. No, przepraszam.

David zerknął na mnie kątem oka. Pozostałe części tego oka i całe drugie potrzebne mu było do czego innego.

– Kurrwa – powtórzył ze smakiem. – Kurrrwa.

Uszy mi płonęły i pilnie wpatrywałam się w krajobraz. Cóż, było na co popatrzeć. Tak jakby ktoś przekroił Czerwone Wierchy na pół, w części słowackiej pacnął morze z wyłażącymi wyspami, a do polskiej podoczepiał te co lepsze kawałki Doliny Roztoki. A wszystko skąpane w ostrym, srebrno-złotym, południowym słońcu.

Kiedy konfuzja mi przeszła, mówiąc językiem drugiego co do kolejności domowego klasyka, zaczęłam się zastanawiać.

Skąd Brendan znał to uniwersalne polskie słowo, którym właśnie przed chwilą się skompromitowałam? Przecież na pamięć znałam opowieść o tłumaczu na ślubie i o tym, w jakim zakresie Brendan posiadł język polski. Jeżeli nawet założymy, że podsunął mu je nie jego przyjaciel, ale inna młodzież męska pierwszego liceum, to i tak należy zadać pytanie: a jak tata z kolei nabrał wprawy w artykulacji tego piętrowego walijskiego bluzgu, którym nas niedawno poczęstował? Przecież musiał go ktoś nauczyć, i to właśnie w formie mówionej, nie pisanej!

Poczucie winy wobec własnego ojca odrobinę zelżało.

Tego dnia dobiliśmy na nocleg do Gairloch nad zatoką jak Szara Przystań; słońce świeciło dla odmiany na zachodzie, co tym bardziej nasuwało odpowiednie skojarzenia.

– Może byś jednak spał w hostelu? – wypsnęło mi się, kiedy wchodziliśmy po schodkach.

– Masz za dużo forsy? – burknął David i dopełniwszy codziennego rytuału, odjechał gdzieś w głąb zatoki. Następnego dnia pokazywał mi nakręcony komórką filmik, jak zaczepiało go tam kudłate szkockie bydło z dwumetrowymi rogami.

Rano zaczęłam liczyć dni. Wyruszyliśmy w czwartek, w piątek na Isle of Skye… sobota… Wyszło mi, że mamy niedzielę. Podzieliłam się tym problemem z Davidem.

– Chcesz iść na mszę? – chwycił od razu. – W Ullapool jest kościół katolicki, podjedziemy.

Skoro był taki bystry, postanowiłam złamać konwenanse i dowiedzieć się paru rzeczy.

– A ty jesteś anglikaninem? – zapytałam bezpośrednio.

– Tak – odpowiedział i uśmiechnął się tak jakoś kątem ust – ale gdybym miał się kiedyś ożenić z katoliczką, to nie robi mi żadnej różnicy, w jakim kościele.

Przynajmniej szczerze, pomyślałam sobie.

– Co do dzieci też bym nie robił żadnych przeszkód – rzucił w przestrzeń i odpalił z rykiem samochód.

Jeszcze szczerzej…

Trzeba w tym miejscu dopowiedzieć, że cała nasza wyprawa zorganizowana była w najlepszym chyba dla takich przedsięwzięć momencie: dni trwały niewiarygodnie długo, jeszcze o jedenastej wieczór nie było ciemno, a o trzeciej nad ranem już świtało. Poza tym janowce kwitły jak dzikie na żółto, a rododendrony we wszystkich odcieniach fioletu, co z zielenią gór i błękitem morza dawało orgię barw i kształtów na miarę płócien van Gogha. Pogmerałam w plecaku i wyjęłam zabraną do samolotu *Sarmatię*. Kaczmarski zaczął śpiewać o rzekach i jeziorach, pomiędzy które wciska się statek, i o mijanych wioskach i miastach, a David mruknął z uznaniem:

– Piękna pieśń! – zaś kiedy doszło do refrenu, tego samego, o którym mama mówiła na lekcji matematyki:

> Dróg, by tam trafić – nic nie ułatwia
> W przestrzeniach burz i w czasów kipieli,
> Ale istnieje przecież Sarmatia,
> Istnieje gdzieś Terra Felix

poczułam nagle, w jednej chwili, że moja Ziemia Szczęśliwa jest właśnie tu, wśród gór i fiordów dalekiej Szkocji i niespodziewanie dla samej siebie powiedziałam to na głos:

– Chciałabym tu zostać do końca życia!…

David rozpromienił się, na chwilę położył rękę na mojej ręce, ale zaraz niestety musiał zrobić z niej użytek przy przekładaniu biegów. Tyle tylko, że nie musieliśmy już nic gadać aż do samego Ullapool.

Kościół w Ullapool okazał się zwykłą kaplicą w najzwyklejszym domu. David wszedł ze mną i nawet potrafił sensownie odpowiadać

kiedy trzeba i co trzeba, lepiej ode mnie, bo u Jaśka za często nie bywałam od owego czasu, gdy tak skompromitował mamę, a gdzie indziej miałabym się osłuchać z angielską liturgią.

Jak tak dalej pójdzie…

Tego dnia celowaliśmy w sam nieomalże koniuszek stałego lądu brytyjskiego, a mianowicie spać miałam w miasteczku o dźwięcznej nazwie Tongue. Przed samą groblą spinającą brzegi Kyle of Tongue David powiedział:

– Pokażę ci miejsce, gdzie kiedyś zepsuł nam się z tatą samochód. A wiesz, auto tu jedzie raz na trzy godziny…

Podjechał do malowniczej zatoczki, zgasił silnik. W tym momencie przyszedł esemes, jak się potem okazało, od Brendana, o treści następującej: „Tylko w Tongue nie zatrzymujcie się w tej zatoczce, bo ona jest obciążona klątwą!”.

Ryczeliśmy z Davidem jak wariaci, on zaczął szybciutko odpisywać ojcu, że i owszem, właśnie tu stoimy, ale kiedy przyszło odpalić silnik, robił to… z pewną taką nieśmiałością, rzekłabym.

W hostelu obsługiwał nas miły facet, jak się potem okazało, też Polak. Nasi są nawet na krańcach ziemi! David odprowadził mnie pod drzwi i zadecydował:

– Wracam i będę tam spał. Trzeba zdjąć klątwę. Jakby co, to jutro rano polecisz do wsi po mechanika. – I znowu zaczęliśmy się śmiać.

Wieczorem, kiedy już się kładłam, ja z kolei dostałam esemesa: „Wyjrzyj przez okno, zamigam ci światłami”. Podskoczyłam do okna, trochę zasłaniały drzewa, ale błyski było dobrze widać. Odpisałam: „Dziękuję, dobranoc”. Albo coś w tym rodzaju.

Ponieważ dotarliśmy do krańców, trzeba było nieuchronnie zacząć wracać. Oboje nas mierziła cywilizowana droga wzdłuż wybrzeża, więc David mknął zakosami po niesamowitych połoninach, żeby tylko nie przez Inverness – już nawet nie pytał, czy chcę zwiedzać – co zajęło calutki dzień aż do Loch Ness. Potwora nie było, tylko pogryzły nas meszki, takie małe wredne komarki; drapałam się po nich tydzień.

A potem właściwie nie bardzo pamiętam. Kręciliśmy się po Grampianach i w zasadzie jak Qwilleranowi urwał mi się wątek. Tylko

że Qwilleran myślał o jedzeniu, spaniu i swoich kotach, a ja zupełnie o czymś innym.

Droga z Edynburga, którego również, o zgrozo, nie chciałam zwiedzać, do Cardiff przeszła nam prawie niezauważalnie. Przez następne dni z bólem przyzwyczajałam się do cywilizacji i oswajałam z nieuchronną koniecznością powrotu do Poznania z wszystkimi tego konsekwencjami, czyli w oko cyklonu pod tytułem narodziny pierwszego wnuka.

Kiedy David odwoził mnie na Luton, musiałam wysłuchać ostatnich instrukcji:

– Pamiętaj, powiedz twoim starszym, że przyjadę tak jak ustaliliśmy, pod koniec sierpnia. Wcześniej nie mogę, *sorry*, przez sześć tygodni mam praktykę, nie mogę jej odpuścić…

W Poznaniu, faktycznie, wszyscy tak byli podekscytowani Gośką, że mało kto miał czas i chęci na wysłuchanie moich relacji. W końcu się wkurzyłam, przestałam za nimi latać z mapą i pomyślałam sobie: nie, to nie. Zgodnie z instrukcją powiedziałam tylko rodzicom:

– Mamo, tato, pod koniec sierpnia przyjedzie do nas David…

Na co mama odpowiedziała nieuważnie:

– Tak?… Ale on wie, że nie będziemy mogli mu poświęcić dużo czasu, bo urodzi się dziecko?

No jasne, Gośka i dziecko najważniejsi! Nie chcecie wiedzieć, to nie. Będziecie mieli niespodziankę.

Moja ukochana siostrzyczka miała termin na sam Cud nad Wisłą, ale już siódmego rano postawił nas na nogi telefon Freda, że właśnie odwozi ją do szpitala. Rozpoczęło się nerwowe oczekiwanie jak w typowej komedii romantycznej.

Koło czternastej wreszcie zabrzmiał długo wyczekiwany dzwonek telefonu. Mama i tata skoczyli jednocześnie, ale mama była o rzut na taśmę lepsza, porwała słuchawkę i zawołała:

– Tak, słuchamy!…

I potem słuchała, słuchała i słuchała, a minę miała jakąś dziwną. Odrobinę zaczęliśmy się denerwować, ale mama powiedziała:

– To całuję cię, Fredziu, przyjeżdżaj, czekamy! – I odwróciła się do nas.

– W porządku?! – skoczyliśmy z tatą.

– Tak, tak, w porządku, trzy czterysta pięćdziesiąt, dziesięć w skali Apgar…

– Zuch chłopak – z uznaniem powiedział tata.

– Właściwie – zająknęła się mama – to zuch dziewczynka…

Osłupieliśmy.

– Co takiego?!…

– No mówię wam, Gosia i Fred mają córkę.

– Ale jak to? Przecież było robione USG! Pomylili się? W dzisiejszych czasach? – nie mógł zrozumieć tata.

– Pomylili się tylko przy tym pierwszym, robionym w trzecim miesiącu. Na wszystkich następnych było już dobrze widać, że to dziewczynka.

– To dlaczego nie powiedzieli Gosi?!

– Bo nie pytała…

Tylko moja siostrzyczka mogła zrobić coś takiego!

W cztery dni później Gośkę z zawiniątkiem w ramionach przewieźliśmy z fasonem na Saperską. Kiedy tak sobie bardzo dekoracyjnie spoczywały we dwie na przygotowanej kanapie, tata ośmielił się zadać pytanie, z którym zmagał się samotnie i bohatersko przez całe te cztery dni:

– Więc jak będzie miała na imię?

– Jagoda Aurelia! – oznajmiła z szerokim uśmiechem Gośka.

Tatę zatkało.

Milczał.

I patrzył.

I na bank kombinował sobie tak: „Na Boga, dlaczego ja sam na to wcześniej nie wpadłem?!”.

Wreszcie otrząsnął się i z całej swojej duszy, z całej mocy i z całego serca powiedział:

– Mojaś ty Perełko!

A było w tym krótkim wykrzyknieniu wszystko: miłość, radość i satysfakcja, że oto za sprawą małej Złotej Jagody będzie rosło nowe pokolenie władcomaniaków.

Tak to moja najdroższa siostra popełniła ostatni plagiat i, zupełnie jak Alina Zosi, odebrała mi puentę opowieści o naszej rodzinie i książkach.

KONIEC

Władcę, Hobbita i Harry'ego Pottera wszyscy znają,
Trylogię mam nadzieję też, a zatem poniżej
TEZAURUS całej reszty

Adaś Cisowski – Szatan z siódmej klasy, obłąkany chłopiec, który znalazł sto złotych w domu lekarza i parę innych rzeczy;

Adaś Miauczyński – bohater potwornie schizowych filmów Marka Koterskiego, po których ma się doła jak stąd do Mordoru;

Alf – kosmita, który zjadał koty;

Alina i Dyna (Zosia) – dwie siostry, bohaterki powieści Marii Pruszkowskiej *Przyślę Panu list i klucz*. Rodzinka, składająca się z rodziców i sióstr, ma fioła na tle czytania; ukochane książki nazywali Miesiącami Zatajonymi. Dyna czyta w pociągu *Trędowatą*, po czym szlocha, że „Stefcia umarła". Stefcia była ich kucharką;

Anatol Stuknięty na początku – tytułowy bohater książki, którą namiętnie czytają Matusy
(patrz: Matusy);

Andrew, son of Kmita – Andrzej Kmicic;

Aslan – lew z *Opowieści z Narnii*;

Atos, Portos i Aramis – trzej muszkieterowie;

Bari – syn Szarej Wilczycy;

Bączek – chomik z opowiadania Małgorzaty Musierowicz, po którym odziedziczył imię chomik Gośki i Janka;

brat Anzelm – kantor z opactwa w Shrewsbury;

brat Cadfael – zakonnik w opactwie w Shrewsbury, zielarz i detektyw;

Bruce Willis – aktor specjalizujący się w rolach zabijaków i innych typów spod ciemnej gwiazdy;

d'Artagnan – czwarty z trzech muszkieterów;

Dmuchawiec – nauczyciel polskiego w powieściach Musierowicz;

Dominic Monaghan – odtwórca roli Merry'ego w filmie Jacksona;

don Camillo – ksiądz z nadpadańskiego miasteczka, adwersarz komunisty Peppona;

Dziewczyna Bez Rąk – i wszystko jasne;

Farloon i Krzysztofeczko – bohaterowie *Konkwisty* Waldemara Łysiaka. Heteroseksualni;

Funia – jamniczka z opowiadania Andrzeja Grabowskiego *Funia, Kicia i cała reszta;*

Gabrysia, Ida, Natalia i Patrycja (Pulpecja) Borejko – bohaterki książek Małgorzaty Musierowicz;

Hastings i Poirot – bohaterowie kryminałów Agaty Christie. Heteroseksualni;

Jack i Yamato – bohaterowie *Młodego samuraja*. Wszystko wskazuje na to, że też heteroseksualni;

Jan Góra – chyba nie muszę tłumaczyć

Jem i Smyk Finch – bohaterowie powieści Harper Lee *Zabić drozda;*

Kalina Jędrusik – aktorka, seks-bomba czasów PRL-u;

Kapitan – zaczarowany ford (nie mercedes) z powieści Jerzego Broszkiewicza;

Kasia – dziewczynka, która wzięła pod opiekę zwierzątka, miedzy innymi krokodyla;

Keating – nauczyciel angielskiego ze *Stowarzyszenia Umarłych Poetów;*

Koloniści – banda chłopaków z *Awantury w Niekłaju* Edmunda Niziurskiego.
Patrz: Matusy;

kot ze Shreka – robił wielkie oczy, gdy chciał coś wybłagać. Potem atakował;

Kowalski – taksówkarz, w ostatniej chwili uniknął zabetonowania w kanale;

Koziołek Matołek – kozioł, który chciał się podkuć, bohater komiksu Kornela Makuszyńskiego i Mariana Walentynowicza;

Kreska i Maciek Ogorzałkowie – przyjaciele Borejków;

Królewna Wanda – ta, co nie chciała Niemca;

Krzysztof Dowgird – rycerz bez skazy, bohater *Czarnych chmur;*

Krzyś – przyjaciel Kubusia Puchatka;

Kuba (1) – bohater *Elektrycznych gitar* (nie mylić z Kubą Sienkiewiczem);

Kuba (2) – bohater trzecioplanowy z *Chłopów*, a i tak męczą nim młodzież szkolną;

Kubuś Puchatek – przyjaciel Krzysia (nie Dowgirda; przyjacielem Dowgirda był Kacper);

Laura i Wolfi – bohaterowie powieści Małgorzaty Musierowicz, para dziewiętnastoletnich idiotów;

Leonek, czyli Leonardo di Caprio – ulubiony aktor Gośki;

Łucja – najmłodsza z rodzeństwa, które zawędrowało do Narnii;

Małgorzata Musierowicz – chyba nikt nie ma wątpliwości, że tego też nie muszę tłumaczyć;

Małpka Fiki-Miki – bohaterka komiksu Kornela Makuszyńskiego;

Minnetaki – siostra Wabiego, dziewczyna Roda (patrz: Wabi i Rod);

Marcinek – bohater drugoplanowy *Harpii* Chmielewskiej. Żarł jak wołoduch i wszystko robił bardzo powoli;

Matusy – banda chłopaków z *Siódmego wtajemniczenia* Edmunda Niziurskiego.
Patrz: Koloniści;

Misiek i Zenek – koledzy z pierwszej b;

Miś – film Stanisława Barei;

Nel, Staś i Saba – no chyba jeszcze każą to czytać?;

Okrętka i Tereska – przyjaciółki z młodzieżowych kryminałów Joanny Chmielewskiej;

Pan Młody z Wesela – a gdzież on, zapytacie? No, to ten, co pod spód więcej już nic nie wdziewa;

Pan Samochodzik – muzealnik-detektyw, właściciel niezwykłego auta. W pewnym momencie dotarło do mnie, że także ormowiec, ale już było za późno. Za późno, żeby się obrazić;

Pan Tumnus – faun z *Opowieści z Narnii*, który zaprosił Łucję na herbatkę;

Pani Tańska – babcia z *Awantury o Basię*, zawsze miała siedemdziesiąt lat;

Panna Price – czarownica, bohaterka *Gałki od łóżka;*

Podgórny – wbrew pozorom to też z *Władcy*. Underhill po prostu;

Porazińska – pisarka, która już nie jest w lekturze;

Profesor Biedronka – przyrodnik i społecznik w stylu Korczaka;

Qwilleran – starszy pan w wieku mojego ojca, właściciel dwóch kotów syjamskich, z których jeden jest genialny, a oba rozpaskudzone;

Robin Williams – ze względów oczywistych ulubiony aktor mamy;

Rodziewiczówna – autorka przestarzałych bestsellerów;

Róża Pyziak – córka Gabrysi Borejko, siostra Laury;

Salieri – kompozytor, który nie cierpiał Mozarta;

Szerszeń – bojownik o zjednoczenie Włoch;

święta Winifreda – ulubiona święta brata Cadfaela;

Timba – psica wilczurka, która dała imię foksterierce mamy;

Tjuzdejek – wredny ratlerek, bohater negatywny opowiadania Jana Grabowskiego *Puc, Bursztyn i goście*. Jadał tylko siekaną cielęcą wątróbkę;

Tomek, Tosia, Ela, Cela, Adelka, Józinek – bohaterowie *Dziewczyny i chłopaka* Hanny Ożogowskiej;

Tomek Sawyer – łobuz znad Missisipi, potrafił zachęcić wszystkich kumpli do malowania płotu i jeszcze dostał za to prezenty;

TW – tajny współpracownik;

Viggo Mortensen – odtwórca roli Aragorna w filmie Jacksona;

Wabi i Rod – bohaterowie *Łowców wilków*, *Łowców złota* i *Łowców przygód*. Heteroseksualni jw;

Wandzia – superharpia;

Wawrzuś – samorodny talent rzeźbiarski, według Antoniny Domańskiej zgubił ciżemkę za Ołtarzem Mariackim;

Wilczur (profesor) – znachor z książki Dołęgi-Mostowicza, bardzo ładnie grał go pan Jerzy Bińczycki;

Witek – bohater czwartoplanowy z *Chłopów*, a jak widać, też się można na nim przejechać;

Wróbel ze świątyni – wędrowny komediant niesłusznie podejrzany o zbrodnię, szukający azylu w Shrewsbury. Chłopaczek-niedorostek, a ostro sobie poczynał. Polecam;

Zbig from Godsbounty – Zbyszko z Bogdańca;

Zły – tragiczny mściciel o czarnym, acz krwawiącym sercu;

Żakowie – tacy inni Borejkowie, których losy, niestety, zostały przez panią Musierowicz zaniedbane. Szkoda. Zawsze chciałam się dowiedzieć, czy Cesia została lekarzem.

Spis treści

Drzewo genealogiczne rodziny Niziołków

Rozdział I
Tata
Rozdział II
Mama
Rozdział III
Tata i mama
Rozdział IV
„Słowem czołgi straszyć”, czyli o papierowej amunicji
Rozdział V
Gośka
Rozdział VI
Pip
Rozdział VII
Ja
Rozdział VIII
Srebrne szkło
Rozdział IX
Herbatka na Roztoce
Rozdział X
Koncert Wojskiego
Rozdział XI
Najkrótszy, bo po co długo płakać
Rozdział XII

Helmowy Jar
Rozdział XIII
Widzę Shire
Rozdział XIV
Hobbit
Rozdział XV
Terra Felix

Tezaurus